ZBIGNIEW ROKITA O ŚLĄSKU NIEZNANYM

POLSKA-UKRAINA: TIRY NA GRANICY

DUBAJ, SZCZYT BEZ KLIMATU

DOBRE KSIĄŻKI POD CHOINKĘ

Kraków 6 – 12 grudnia 2023 nr 50 (3883)

cena 13 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

TygodnikPowszechny.pl

Jak Sejm stał się hitem

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

STRONY SPECJALNE
MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

REKLAMA

Muzeum Getta Warszawskiego
www.1943.pl

Premiera książki

PRZEWODNIK
PO DAWNYM GETCIE WARSZAWSKIM

www.sklep.1943.pl

KS. ADAM

Boniecki: *Świadek nadziei*

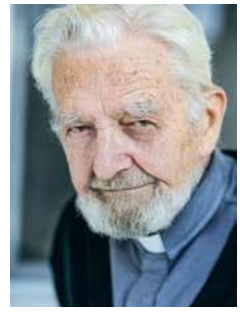

Ksiądz Piotr Żelazko od lat pracuje w Izraelu. Można by wyliczać pełnione przez niego funkcje, lecz nie funkcje są istotne, ważna jest znajomość świata, w którym żyje – z własnego wyboru i dość długo. Wojna, która w październiku wybuchła na Bliskim Wschodzie, dotknęła go jak wszystkich tam żyjących. W publikowanym w tym numerze wywiadzie mówi: „Bóg jest wszędzie, ale jakoś sobie szczególnie ten kawałek ziemi upodobał. Trochę bez sensu wciśnięty między trzy kontynenty, ani ładny, ani ciekawy – a jednak Pan Bóg się w nim zakochał. My musimy to uszanować i powiedzieć: zróbmy wszystko, żeby oddać cześć Bogu, który ukochał tę ziemię, więc zachowujmy się. Chodząc po niej, zdejmijmy sandały, tak jak Bóg nakazał Mojżeszowi. A my zakładamy trepy wojskowe, depczemy, palimy, niszczymy, próbujemy zalać krwią. To jest ten paradoks natury ludzkiej”.

Ksiądz Piotr wie, że chrześcijańskie podejście do doznanych krzywd jest trudne, że chrześcijańskie przebaczenie wymaga czasu. Także z pewnością wie, że krwawy konflikt izraelsko-palestyński jest efektem długiego procesu, w którym strona żydowska nie jest bez winy. Wie, ale o tym nie mówi. Ani w tym wywiadzie, ani w ogóle. W tym jest mądrość księdza Piotra Żelazki. Mądrość niemówienia na pewnym, bardzo niskim stopniu konkretności. Bez pójścia wyżej nie sposób się wyplątać z wielu uzależnień i ostatecznie pozostaje się w matni.

Zachowując wszystkie proporcje, ks. Żelazko mówi dziś do nas. Czasem to dobrze, kiedy nauka przychodzi z dalszej, a nie najbliższej okolicy, bo wtedy traktujemy ją z większą uwagą. Twardość, bezwzględność i uzasadniona stanowczość są w zasadzie dobrymi przewodnikami. Jednak tylko w zasadzie, ale nie w konkretnym życiu społeczności. To prawda, że mieszkańcy Ziemi Świętej początkowo zamierzali żydowskie państwo zepchnąć do morza. Lecz to nastawienie z biegiem czasu ustępowało miejsca większej tolerancji, wydawało się nawet, że w końcu zostanie wytworzony jakiś system pokojowego współistnienia. Niestety, łagodniejszy system nie znaczy łagodny, a on był w ostatnich latach twardy, by nie powiedzieć – okrutny. Trudno formułować kategoryczne sądy. Atak na mieszkańców państwa Izrael naruszał wszystkie reguły, podobnie jak sposób obrony. Izrael działa pod hasłem całkowitego zlikwidowania zagrożeń. Boję się, że na dalszą metę to jest po prostu niemożliwe.

A jednak pokój, i to pokój trwały, dobrowolnie zaakceptowany przez zainteresowane strony, jest konieczny i... możliwy. Żeby państwo Izrael mogło trwać we względnym spokoju, musi być państwem życzliwym dla sąsiadów, przyjaznym dla wszystkich swoich mieszkańców, szanować ich prawa. Swoją wyższość militarną czy inne rodzaje wyższości musi łączyć z pokorą (jednak!) swych obywateli. Nie może dominować we wszystkim i wobec wszystkich.

Liczby zabitych, dorosłych i dzieci, liczby rannych po obu stronach są ogromne. Liczba osób wysiedlonych, często niezaangażowanych w spory, wszystkie straszne konsekwencje wojny, budzą grozę i sprzeciw. Ksiądz Piotr Żelazko, naoczny świadek tego, co się dzieje, kończy rozmowę słowami nadziei. Nie ma wątpliwości, że będzie trzeba dużo czasu, żeby rany się zagoiły, ale wierzy, że się zagoją i – co ważniejsze – że zwycięży pragnienie ludzi, którzy chcą lepszego Izraela, lepszego Bliskiego Wschodu, lepszego świata. ©℗

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

22 Na scenie Sejmu
DARIUSZ KOSIŃSKI
Transmisje z Wiejskiej okazały się dla wielu Polaków hitem. Co właściwie oglądamy?

26 Granica przyjaźni
MAREK RABIJ
Z kryzysu na wschodniej granicy, gdzie ruch ciężarówek blokują kierowcy, będzie jeden pożytek: polscy politycy już teraz przekonują się, co oznacza wejście Ukrainy do Unii.

32 Dajcie nam przeżyć żałobę
ROZMOWA Z PIOTREM ŻELAZKĄ, KSIĘDZEM KATOLICKIM W IZRAELU:
Europejczycy mówią nam, że mamy wybaczyć zamach Hamasu i upominać się o Palestyńczyków. A my mamy w sobie różne odczucia.

42 Europa chce być psem
PIOTR OLEKSY
W Brukseli dokonuje się strategiczna zmiana w myśleniu o świecie. Jeden z jej efektów to zgoda na poszerzenie Wspólnoty o nowych członków.

90 Plechokracja
ROZMOWA Z MERLINEM SHELDRAKIEM, MYKOLOGIEM:
Sposób, w jaki opisujemy relacje zachodzące między innymi organizmami, najwięcej mówi o nas samych.

76 Schodzę z ulicy Urwańskiej
ROZMOWA Z WOJCIECHEM BONOWICZEM, POETĄ:
Próby ujmowania niedoskonałego życia w doskonałych zdaniach mnie nie interesują. Życie jest dynamiczne, indywidualne – język musi to wyrażać.

TOMASZ JASTRZĘBOWSKI / REPORTER // MAREK RABIJ // ABDULA BERISHA / ANADOLU / GETTY IMAGES // JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL // ARCHIWUM PRYWATNE // AHMAD GHARABLI / AFP / EAST NEWS

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Jaki klimat, taki szczyt
KRZYSZTOF STORY

8-9 Komentarze

10-11 Wydarzenia

19 Tygodnik Czytelników

■ ■ CZYTANIA

20-21 MAŁGORZATA KORDOWICZ, O. WACŁAW OSZAJCA, KARD. GRZEGORZ RYŚ, PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

22 Na scenie Sejmu
DARIUSZ KOSIŃSKI

26 Granica przyjaźni
MAREK RABIJ

29 Ukarane za macierzyństwo
STEFAN SĘKOWSKI: *Polski rynek pracy zawłaszcza prywatne życie kobiet*

■ ■ WIARA

32 Dajcie nam przeżyć żałobę
ROZMOWA Z PIOTREM ŻELAZKĄ, KSIĘDZEM KATOLICKIM W IZRAELU

35 Teologia nie jest nauką
STANISŁAW JAKÓBCZYK: *Filozofowie? Nie na wydziałach teologii*

37 Konfesyjność rozumna, rozumny ateizm
ARTUR SPORNIAK: *Gdzie wiara, gdzie fundamentalizm*

■ ■ ŚWIAT

42 Europa chce być psem
PIOTR OLEKSY

GRAŻYNA MAKARA

TEMAT TYGODNIKA

13 Gruba
ZBIGNIEW ROKITA
Kopalnia to antyświat. Byłem w paru miejscach na świecie, ale chyba żadne nie zrobiło na mnie tak wielkiego wrażenia jak podziemia mojego miasta.

12 Zysk spadł o połowę. Co zrobi nowy rząd?

12 Pożegnanie z węglem

■ STRONY SPECJALNE ■

61 KSIĄŻKI W TYGODNIKU

86 MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

■ FELIETONY ■

40 TOMASZ STAWISZYŃSKI **41** ZUZANNA RADZIK **60** ELIZA KĄCKA **88** OLGA DRENDA **89** PAWEŁ BRAVO **94** STANISŁAW MANCEWICZ **94** BARTOSZ MINKIEWICZ

ILUSTRACJA NA OKŁADCE:
MAREK ZALEJSKI // ADOBE FIREFLY / SEJM.PL

Redaktor prowadzący: MARCIN ŻYŁA

46 Jak amnestia podzieliła cały kraj
AGNIESZKA ZIELIŃSKA Z ANDALUZJI: *Hiszpania nie chce wypuszczenia z więzień katalońskich separatystów*

48 Wołanie o bochenek chleba
KATARZYNA MALAROWSKA *o Egipcie przed kluczowymi wyborami*

50 Chińczycy w Kambodży
BARTOSZ KOWALSKI *o strachu przed mocarstwem*

■ ■ HISTORIA

52 Widziałem raj. Czyli piekło
MACIEJ PIOTROWSKI *o tym, co młody inżynier z Zachodu zobaczył 90 lat temu w kraju Wielkiego Głodu*

■ ■ NAUKA

56 Jak buk to robi
MICHAŁ BOGDZIEWICZ: *Drzewa różnych gatunków synchronizują swoje kalendarze reprodukcji nawet na dystansie dwóch tysięcy kilometrów*

■ ■ KULTURA

76 Schodzę z ulicy Urwańskiej
ROZMOWA Z POETĄ WOJCIECHEM BONOWICZEM

80 Kino grywalnego niepokoju
MICHAŁ WALKIEWICZ: *Dlaczego tak trudno zamienić grę na film*

84 Autoportret syreny
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „20 tysięcy gatunków pszczół”*

85 Pakiet przetrwania
LEKTOR *o książce Tiyi Miles „Wszystkie rzeczy na drogę”*

■ ■ ZMYSŁY

90 Plechokracja
ROZMOWA Z MERLINEM SHELDRAKIEM, MYKOLOGIEM

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Co oglądać na VoD WATCH DOCS
Filmy, które warto obejrzeć online, poleca w cotygodniowym cyklu ANITA PIOTROWSKA
TygodnikPowszechny.pl/weekend

Rosyjska ruletka
Putin ogłosił zamiar prowadzenia wiecznej „wojny narodowowyzwoleńczej” z NATO – pisze ANNA ŁABUSZEWSKA
TygodnikPowszechny.pl/rosyjskaruletka

TYGODNIK POWSZECHNY

Dziękujemy, że kupujesz „Tygodnik Powszechny”.
Najnowsza oferta prenumeraty na stronie
TygodnikPowszechny.pl/sklep

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

JAKI KLIMAT, TAKI SZCZYT

W Dubaju gramy w otwarte karty. Szczyt klimatyczny prowadzi szef koncernu paliwowego, a za kulisami negocjuje się kontrakty na ropę i gaz. Mimo to konferencja nie musi skończyć się fiaskiem.

KRZYSZTOF STORY

POWYŻEJ:
Światowi przywódcy podczas szczytu klimatycznego ONZ COP28. Dubaj, Zjednoczone Emiraty Arabskie, 1 grudnia 2023 r.

W komentarzach do trwającego od 30 listopada szczytu klimatycznego w Dubaju słowo „hipokryzja" jest odmieniane przez wszystkie przypadki. Niepotrzebnie – oto przecież oglądamy najuczciwszy szczyt klimatyczny w historii. O losach planety debatuje się w państwie, które całą swoją pozycję na politycznej i gospodarczej mapie świata zawdzięcza paliwom kopalnym. To akurat przypadek, bo kraj gospodarz ustalany jest rotacyjnie. Za to zbiegiem okoliczności nie jest już wybór przewodniczącego COP28. Mamy więc szczyt klimatyczny prowadzony przez szefa ADNOC-u, jednego z największych koncernów paliwowych świata. Jeszcze na 10 dni przed startem konferencji Sultan Al Jaber mówił, że „nie ma naukowych podstaw" do całkowitej rezygnacji z paliw kopalnych, a wręcz jest to niemożliwe, o ile nie chcemy „przenieść się z powrotem do jaskiń".

Nie dziwi więc, że według dokumentów ujawnionych przez BBC i Centre for Climate Reporting, Sułtan al-Dżaber i jego pracownicy wykorzystywali spotkania przed konferencją do dyskusji o nowych kontraktach na ropę, gaz i projekty wydobywcze. Nikt nawet nie pokusił się o zdementowanie tej informacji – w Dubaju gramy

w otwarte karty. Może się to nie podobać, ale ten szczyt pokazuje, w którym miejscu walki z kryzysem klimatycznym jesteśmy.

Sam fakt, że ten szczyt jest tak mocno powiązany z przemysłem paliwowym, niczego jeszcze nie przekreśla – transformacja energetyczna i tak nie ma szans powodzenia bez woli politycznej i współpracy z biznesem. Ale osiem lat po podpisaniu porozumienia paryskiego próżno na konferencyjnej sali szukać tamtego entuzjazmu. Wtedy światowi przywódcy podjęli się misji zatrzymania wzrostu temperatury na świecie przed czerwoną linią z napisem „1,5 stopnia Celsjusza". Dziś nikt w to już nie wierzy. Rok 2023 będzie najcieplejszym w historii pomiarów, nigdy wcześniej też nie emitowaliśmy do atmosfery tyle dwutlenku węgla. Zgodnie ze wszystkimi projekcjami w ciągu paru lat emisje powinny zacząć spadać, ale według raportu Production Gap Report (opartego na gospodarczych i wydobywczych planach poszczególnych krajów) w 2030 r. będziemy spalać dwukrotnie więcej paliw kopalnych, niż powinniśmy, jeśli chcielibyśmy zrealizować postanowienia z Paryża.

Niestety nie sprawdza się system oparty na indywidualnych celach, które państwa wyznaczają same dla siebie. Dla przykładu: tegoroczny gospodarz, Zjednoczone Emiraty Arabskie, planuje do 2030 r. zredukować emisje o jedną piątą, jednocześnie dwukrotnie zwiększając wydobycie gazu i ropy o jedną czwartą. Podobnie Rishi Sunak, premier Wielkiej Brytanii, który w sobotę poparł perspektywę całkowitego odejścia od paliw kopalnych, a jeszcze kilka tygodni temu zezwolił na nowe odwierty na Morzu Północnym. Nieważne, że to nie do pogodzenia. Papier przyjmie wszystko.

Nic dziwnego, że w tej przygnębiającej atmosferze każdy negocjacyjny sukces jest na wagę złota. Dlatego już w pierwszych godzinach szczytu ogłoszono prawdziwy start Funduszu Strat i Szkód Klimatycznych, a w ciągu godziny padły deklaracje na łączną kwotę 420 mln dolarów (100 mln przekazały same ZEA). To prosty mechanizm, w którym bogatsze państwa finansują walkę ze skutkami zmian klimatycznych w biedniejszych krajach, które – najmniej przyczyniając się do kryzysu – są przez niego najbardziej poszkodowane. Fundusz wynegocjowano już rok temu, tylko że na jego konto nie przyszedł ani jeden przelew. Wielki sukces z Dubaju przypomina więc bardziej zadanie domowe oddane rok po terminie.

Mimo problemów szczyt w Dubaju nie musi być kompletnym fiaskiem. Dobre, choć spodziewane informacje przyniósł trzeci dzień: 118 krajów podpisało porozumienie, by potroić moc odnawialnych źródeł energii do 2030 r. Był to jeden z filarów, który wyznaczyła przed szczytem Międzynarodowa Agencja Energetyczna. 22 kraje (w tym Polska) zobowiązały się do rozwoju energetyki jądrowej, a Stany Zjednoczone ogłosiły plan zamknięcia wszystkich elektrowni węglowych i redukcji emisji metanu o 80 procent. Tutaj tkwi jednak pewna pułapka: każdy kraj obiecuje to, z czego wygodnie mu zrezygnować, zazdrośnie strzegąc tych sektorów, z których naprawdę czerpie korzyści.

Szczyt (bierze w nim udział ponad 80 tys. ludzi) jest areną wielu politycznych sporów – choćby przy okazji wspólnego zdjęcia, na którym próżno szukać prezydentów Litwy, Łotwy i Polski; odmówili oni pozowania wspólnie z Alaksandrem Łukaszenką – a także niespodziewanych sojuszy. Kolumbia jako pierwszy producent ropy dołączyła do koalicji krajów opowiadających się za całkowitym odejściem od paliw kopalnych. Prezydent Gustavo Petro mówił: „Niektórzy mogą spytać: dlaczego prezydent chce popełnić ekonomiczne samobójstwo? Dlatego, że alternatywą jest śmierć wszystkiego, śmierć świata, który znamy. Jeśli chcemy tego uniknąć, nie ma innej drogi".

Pomimo takich słów (w podobnie apokaliptycznym tonie przemawiał do uczestników konferencji Karol III, król Wielkiej Brytanii) nikt w Dubaju nie liczy na wielki przełom. Wystarczy zresztą spojrzeć na listę nieobecnych, którą otwierają Joe Biden i Xi Jinping. Za to ZEA wykorzystują rolę gospodarza, jak tylko mogą. To nie przypadek, że największa farma fotowoltaiczna na świecie została otwarta w Abu Zabi kilka dni przed rozpoczęciem szczytu. Przewodniczący COP, Sułtan al-Dżaber, jest prezesem nie tylko paliwowego giganta, ale też firmy Masdar, zajmującej się zieloną energią, która stała się oczkiem w głowie szejków znad Zatoki Perskiej. Wydaje się, że ZEA (a także inne bogate w ropę i gaz kraje regionu) już wkrótce prąd do własnych gniazdek będą produkować z czystych, odnawialnych źródeł, a „brudne" paliwa kopalne popłyną za granicę w zamian za petrodolary.

Masdar i podobne projekty mają ważną rolę: są listkiem figowym, który powoduje, że organizatorów szczytu rzadziej pyta się o miliony baryłek ropy, a częściej o panele fotowoltaiczne na pustyni. *Greenwashing* podczas szczytu w Dubaju jest dużym zagrożeniem: firmy paliwowe intensywnie lobbują za prawem wspierającym technologię CCS (ang. *carbon capture and storage*), czyli wychwytywania i magazynowania węgla z atmosfery. Branża chciałaby potraktować CCS jako panaceum na wszystkie emisje i jako zielone światło, by wydobywać, ile tylko się da. Tylko że CCS dopiero się rozwija i na pewno nie działa w tej skali. Jak pisze Międzynarodowa Agencja Energetyczna: „Liczby się nie zgadzają. By ograniczyć emisje, musimy zacząć spalać mniej paliw kopalnych. Nie ma drogi na skróty". ©℗

BAY ISMOYO / AFP / EAST NEWS

Pływająca elektrownia słoneczna. Zbiornik Cirata na Jawie Zachodniej, 9 listopada 2023 r.

Daleko od Paryża

W 2015 roku ustaliliśmy cel: zatrzymać wzrost globalnej temperatury na 1,5 stopnia Celsjusza w porównaniu z czasami przed epoką przemysłową. Najnowsze badania pokazują, że to się nie udało i już się nie uda. Według raportu UNFCCC, który zebrał wszystkie zobowiązania państw, jesteśmy na dobrej drodze do ogrzania planety o 2,4-2,6 stopnie (obecnie jesteśmy w okolicach 1,3 stopnia). Jeśli naprawdę wdrożymy ograniczenia, na które się umówiliśmy, możemy mówić o przedziale 1,7-2,1 stopnia. Każda dziesiąta stopnia to kolejne susze, powodzie, kataklizmy, fale upałów i choroby zakaźne.

Oczywiście jest możliwe, że w ciągu kilku dekad dokonamy jakiegoś przełomu technologicznego, który dostarczy nam czystą energię na masową skalę. Na razie na horyzoncie widać jedynie kolejne skutki zmian klimatycznych, które coraz mocniej odczuwają wszystkie ekosystemy, często w złożony sposób. Od 2018 r. w ciągu trzech lat populacja krabów śnieżnych w Morzu Beringa spadła o 10 miliardów. Powodem była zbyt wysoka temperatura wody, która nie tyle zaszkodziła skorupiakom, ile zwiększyła ich apetyt. Nie były w stanie zaspokoić zwiększonego zapotrzebowania na kalorie, co doprowadziło do klęski głodu w ich populacji. ©℗

PETER DEJONG / AP / EAST NEWS

Gaza: gdy nie ma dokąd uciekać

MARCIN ŻYŁA

Ostatniej nocy nie było choćby dziesięciu minut bez huku przelatującego samolotu czy rozbłysku na niebie – mówił 4 grudnia rzecznik UNICEF-u w wiadomości głosowej opublikowanej na platformie X. Po przedłużonym o kilka dni zawieszeniu broni – podczas którego Hamas uwolnił ponad stu zakładników, a z izraelskich więzień wypuszczono ok. 240 Palestyńczyków – wojna wróciła na całego. W Izraelu specjalna komisja medyczna porównuje filmy z rajdu Hamasu 7 października z zeznaniami zwolnionych. Po to, aby już teraz uznać niektórych zakładników za zmarłych i skrócić udręki rodzin, od dwóch miesięcy niepewnych co do ich losu. Nic nie wskazuje na to, aby wojnę ponownie wstrzymano.

Ministerstwo Zdrowia w Strefie Gazy podało, że w izraelskiej ofensywie zginęło już 15,5 tys. ludzi, a kolejne 6,8 tys. uznaje się za zaginionych (ministerstwo jest kontrolowane przez Hamas, ale podawane dotąd przez nie statystyki ofiar były przez WHO uznawane za wiarygodne). Według ONZ trzy czwarte mieszkańców Strefy musiało uciekać z domów. Większość kierowała się z gęsto zaludnionej północnej części Strefy do największego na południu – ćwierćmilionowego w czasie pokoju – miasta Chan Junus. Dla Izraela jest ono teraz głównym celem ofensywy, dla cywilów miejscem schronienia, a dla Hamasu – gniazdem obrony.

JALAA MAREY / AFP / EAST NEWS

Izrael informuje, że od wznowienia walk wziął na cel ok. 200 miejsc służących Hamasowi; są wśród nich szkoły i inne budynki użyteczności publicznej. Rzecznik izraelskiej armii Jonathan Conricus (na zdjęciu) zaprzeczył, by zamierzała ona całkowicie wygnać Palestyńczyków z Gazy (takie sugestie pojawiały się wcześniej ze strony niektórych polityków). Ale im więcej terytorium kontroluje Izrael, pod tym większą presją znajduje się też wojsko – w Chan Junus już nie będzie mogło usprawiedliwiać śmierci cywilów twierdzeniem, że wcześniej mieli oni możliwość ewakuacji. Stąd już nie ma dokąd uciekać. ©℗

NA PUNKTY

ZAUFANIE
750 tysięcy wyświetleń w ciągu kilkudziesięciu godzin miał w serwisie YouTube wideopodkast, w którym Szymon Hołownia oprowadza widzów po sejmowych kuluarach. Marszałek izby niższej parlamentu przoduje również – po raz pierwszy w dziejach tego badania – w rankingach zaufania do polityków.

BRAK ZAUFANIA
Zaufania nie budzi natomiast cząstkowy (opublikowany pospiesznie przed jej odwołaniem przez nowy Sejm) raport komisji ds. rosyjskich wpływów. Opierając się na wątpliwej tezie o współpracy Służby Kontrwywiadu Wojskowego z rosyjską FSB, rekomenduje niepowierzanie „zadań, stanowisk i funkcji publicznych związanych z odpowiedzialnością za bezpieczeństwo państwa" niejakiemu Donaldowi Tuskowi.

OGRANICZONE ZAUFANIE
Z otoczenia Andrzeja Dudy płyną sygnały, że raport komisji „lex Tusk" nie posłuży głowie państwa jako pretekst do niepowoływania rządu sformowanego przez KO, Trzecią Drogę i Lewicę, a sam prezydent zapowiedział, że nie będzie przeciągał procedur związanych z zaprzysiężeniem nowego gabinetu. ©℗

„Biedne kobiety" w Kościele

ZUZANNA RADZIK

Spotykając doradzających Watykanowi teologów i teolożki papież spontanicznie podzielił się uwagą, że w tym gronie jest za mało kobiet. Zaczął odliczać, doliczył do pięciu i westchnął: „Biedne kobiety! One są samotne". To raczej kompromitująca scena, biorąc pod uwagę, że to sam papież powołuje członków Międzynarodowej Komisji Teologicznej. A dziesięć lat temu rzucił podobną uwagę.

Znów „truskaweczki" – pomyślałam, mając w pamięci, jak w początkach grudnia 2014 r. Franciszek spotkał się z nowym składem MKT, z pięcioma kobietami w trzydziestoosobowym gremium. Przez poprzednie dwie kadencje kobiety były dwie, wcześniej w ogóle. Papież powiedział wtedy, że te nieliczne teolożki „są jak truskawki na torcie". Metafora mało udana, bo owoce na torcie służą przede wszystkim do dekoracji. Ocenił też, że kobiet w Komisji potrzeba więcej, co zostało przyjęte za zapowiedź zmian.

Dziesięć lat temu papież mówił, że obecność kobiet w Komisji jest zaproszeniem do refleksji nad rolą, jaką powinny odgrywać w teologii. Teraz – znów rozwodził się o kobiecym wymiarze Kościoła, że Kościół jest matką i oblubienicą. Stąd według papieża, „jeśli nie wiemy, kim jest kobieta, czym jest teologia kobiety, nigdy nie zrozumiemy, czym jest Kościół". Franciszek zastrzegł, że tego nie rozwiąże się kwestią posług (co odnosi się z pewnością do postulatów ordynacji kobiet), i odwołał się za Janem Pawłem II do myślenia mistycznego inspirowanego von Balthasarem: o piotrowym i maryjnym wymiarze Kościoła.

Gdyby Franciszek faktycznie przejmował się teologią, którą uprawiają teolożki, wiedziałby, że nie trzeba tworzyć teologii kobiety. Gdyby słuchał, dobiegłyby go głosy teolożek z 2013 i 2014 r., które dziwiły się jego wypowiedziom o „Kościele jako matce i kobiecie" oraz wezwaniom do pisania teologii kobiety. Wtedy zdawało się, że to początek konstruktywnej rozmowy. Teraz, po dekadzie, okazuje się, że Franciszek nie rozmawia, niczego nie rozwija, tylko dalej czerpie z dokumentów poprzednika. ©

ARCHIWUM PRYWATNE

MAŁGORZATA MICHEL, PEDAGOŻKA:

W teorii wiemy, jak reagować. Niestety z jakichś powodów te mechanizmy nie działają.

JACEK TARAN: W centrum Andrychowa 14-latka doznaje udaru mózgu i umiera z wychłodzenia, nikt nie reaguje. Co zawiodło?

MAŁGORZATA MICHEL: Jako badaczka mogę się opierać tylko na faktach, a tych mamy bardzo mało. Wiemy, że ojciec szybko rozpoczął poszukiwania, ale spotkał się z opieszałością policji. Doszło do sytuacji, w której zawalił dorosły, a zginęło dziecko. Warto zwrócić uwagę na znany psychologom mechanizm – udzielenie pomocy jest trudniejsze w tłumie, dochodzi do rozproszenia odpowiedzialności. Rozumiem to jako naukowczyni, ale nie chcę tego przyjąć jako człowiek. To pytanie o to, jacy jesteśmy jako społeczeństwo.

Czyli jacy?

Chętnie bierzemy udział w akcjach, jak WOŚP czy Szlachetna Paczka, mamy wypracowane modele edukacyjne związane z pierwszą pomocą, wiemy, jak reagować. Z jakichś powodów te mechanizmy nie działają. Boimy się zareagować.

Jak to zmienić?

Musimy obedrzeć tę śmierć z romantyzmu, to nie była żadna dziewczynka z zapałkami, jak się o niej pisze. Mamy XXI wiek, a to było prawdziwe dziecko. W krajach skandynawskich takie sytuacje się nie zdarzają. Wypracowano to kampaniami społecznym i edukacją prawną społeczeństwa. Powinniśmy poszukać luk prawnych, które umożliwiają usprawiedliwianie braku reakcji. Musimy mówić o tym, że zaniechanie pomocy to jest przemoc. Trzeba obnażyć prawdę o tym, że dzieci w Polsce są często zaniedbywane.

Zimą dużo mówi się o wrażliwości na osoby w kryzysie bezdomności. Czy możemy określić skalę tego zjawiska wśród dzieci?

Mamy za mało danych na ten temat, i raczej nie spotykamy w Polsce dzieci bezdomnych w sensie dosłownym. Za to problemem są dzieci, które nie chcą wracać do domu. W mojej pracy spotykam je bardzo często. Uciekają z domu w piżamkach przed przemocą; jeżdżą tramwajem od pętli do pętli, bo nie mają co z sobą zrobić. To, co chciałabym przekazać, to moje najważniejsze przykazanie – widzisz samotne dziecko, reaguj. ©℗

DR HAB. MAŁGORZATA MICHEL – *prof. UJ, pedagożka, mediatorka, streetworkerka, działaczka społeczna i aktywistka. Laureatka Nagrody im. Janusza Korczaka.*

Wiatraki i patologie

PIOTR ŚMIŁOWICZ

Sprawa rzekomych lobbystycznych zapisów w ustawie o zamrożeniu cen energii zrobiła w ostatnich dniach niesamowitą karierę. Przez działaczy PiS była sprzedawana jako „pierwsza afera rządu Tuska", choć rząd ten jeszcze nie powstał; pojawiały się również sugestie, iż zamknie ona karierę rządową Pauliny Hennig-Kloski (na zdjęciu) z Polski 2050, i to zanim się naprawdę zaczęła.

Historia ta jest przede wszystkim humbugiem, dobrze jednak ilustrującym najważniejsze patologie współczesnej polityki. Największą winą Polski 2050 i Hennig-Kloski jest próba wpisania przepisów o wiatrakach do ustawy zamrażającej ceny energii. To oczywisty fortel, mający utrudnić Andrzejowi Dudzie zawetowanie zmian liberalizujących prawo (dotyczące m.in. odległości urządzeń od budynków mieszkalnych). Robiąc to prezydent zablokowałby jednocześnie zamrożenie cen energii, na które czekają miliony obywateli. Fortel Polski 2050 jest poniekąd zrozumiały, lecz wchodzi już w zakres patologii politycznych – ustawa o cenach energii powinna dotyczyć cen energii, a ustawa o wiatrakach powinna być uchwalona niezależnie. Tylko wtedy debata polityczna jest uczciwa, kiedy kontrowersyjne przepisy nie są forsowane cichaczem, w ustawach dotyczących czego innego. PiS stosował te praktyki bardzo często i był za to słusznie krytykowany.

Przykładem kolejnej patologii jest postępowanie PiS w tej sprawie. To festiwal bzdur: o rzekomych lobbystach, którzy napisali ustawę, o planowanych wywłaszczeniach pod wiatraki – wszystko są to kłamstwa żerujące na niewiedzy opinii publicznej i na prawach rządzących polityką twitterową. Tam bezkarnie można napisać niemal każdą brednię, a liczy się tylko to, by sprawnie narzucić swoją „narrację".

Oczywiście Polska 2050 popełniła błąd, że odpowiednio wcześnie nie przygotowała swojej kontrnarracji. Nie przypominała, że te same poprawki były zgłaszane do ustawy wiatrakowej przez Hennig-Kloskę już wiosną, i że to przejaw poglądów głoszonych otwarcie przez nią i jej partię od dawna, a nie jakaś cicha wrzutka lobbystów. Błędem też, z punktu widzenia współczesnej polityki, była taktyka samego Szymona Hołowni, który przyjął metodę tłumaczenia się, czym jeszcze pogłębił złe wrażenie. Wiadomo, tłumaczy się ten, kto jest winny.

Choć może nie są to tak naprawdę błędy, tylko dowody braku zepsucia metodami panującymi dotąd w polskiej polityce parlamentarnej. ©

WOJCIECH OLKUŚNIK / EAST NEWS

JACEK TARAN

Mój ciepły dom i nasz ciepły kościół

WIARA I EKOLOGIA ▪ Jak włączyć parafie do walki z ubóstwem energetycznym, mówiono na międzynarodowej konferencji „Creatio Continua" w Krakowie (1-2 grudnia), zorganizowanej przez Światowy Ruch Katolików na rzecz Środowiska.

– O ubóstwie energetycznym mówimy, gdy kogoś nie stać na ogrzanie domu – mówią Joanna i Mariusz Zatylni (na zdjęciu), pomysłodawcy i koordynatorzy projektu „Ciepły dom, ciepły kościół". – W Polsce to problem ok. 10-20 proc. ludzi, głównie osób starszych, samotnych (zwłaszcza kobiet, które żyją dłużej i mają niższe emerytury) albo zależnych od innych, np. niepełnosprawnych. Twórcy programu chcą dotrzeć do proboszczów, a przez nich do wszystkich zainteresowanych, z informacją, jak ograniczać wydatki na ogrzewanie przez termomodernizację budynków lub – jeśli to niemożliwe – działania doraźne. Są też przekonani, że troska o energooszczędność budynków parafialnych będzie najlepszą zachętą dla wiernych.

– To, co robimy, jest naszą odpowiedzią na nauczanie papieża Franciszka, który mówi jasno, że transformacja energetyczna to wyzwanie naszych czasów – tłumaczą organizatorzy. – Dzięki wsparciu Kościoła może się ona dokonać także w naszym kraju, choćby małymi krokami. Rozwiązując dotkliwy problem lokalny, jakim jest zimno w domu czy w kościele, przeciwdziałamy problemom globalnym, jakimi są dramatyczne zmiany klimatyczne.

Liderzy akcji przyznają, że najtrudniej przełamać barierę psychologiczną, wynikającą z braku wiedzy (o kosztach termomodernizacji, możliwości refundacji, nawet 100-procentowej), podejrzliwości (dopatrywanie się interesu firm świadczących usługi w branży) czy ideologii (wrogość wobec ekologów i Unii Europejskiej, traktowanie węgla jako najlepszego, bo zgodnego z tradycją i interesem narodowym, paliwa). Zainteresowanych zapraszają na stronę projektu: cieplydomcieplykosciol.pl.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

Wolność dla nosorożców

OCHRONA PRZYRODY ▪ Jak bezpiecznie przewieźć 2000 nosorożców, wypuścić je na wolność i skutecznie chronić? African Parks, organizacja zarządzająca 22 parkami narodowymi w 12 krajach Afryki od Czadu po Mozambik, szykuje się do jednego z najtrudniejszych projektów w historii ochrony przyrody. Wszystko zaczęło się od wyjątkowej aukcji internetowej. John Hume, milioner z RPA, wystawił na sprzedaż 7800 hektarów ziemi z całym inwentarzem: ponad 200 bawołów, kilka żyraf, zebr i hipopotamów, a przede wszystkim... 1993 nosorożce południowe, czyli prawie 15 proc. całej światowej populacji.

Hume zaczął je hodować ponad 30 lat temu, miał wtedy 200 nosorożców. Prawdopodobnie liczył, że w końcu uda się obejść międzynarodowy zakaz handlu rogami (sprzedawanych jako cudowne lekarstwo w tradycyjnej „medycynie" chińskiej). W tym roku się poddał, bo utrzymanie stada kosztowało 40 tys. złotych dziennie. Pierwsza aukcja zakończyła się bez żadnej oferty, a los zwierząt był bardzo niepewny. Dlatego African Parks zdecydował się odkupić całe ranczo zwane Platinum Rhino Project. Za ile? Tego nie wiadomo, oryginalna cena wywoławcza wynosiła 40 mln złotych.

Dla biologów (i nosorożców) to niepowtarzalna szansa. Nosorożce południowe (naturalnie najłatwiej byłoby poznać je po lekko zakrzywionych do tyłu rogach, choć dziś często się je sztucznie spiłowuje, by chronić zwierzęta przed kłusownikami) już raz prawie wymordowaliśmy podczas masowych polowań pod koniec XIX w. (przetrwało mniej niż 100 zwierząt). Dzisiaj w całej Afryce żyje ich zaledwie kilkanaście tysięcy i choć populacja powoli rośnie, to tylko w zeszłym roku kłusownicy zabili 551 zwierząt. Nosorożce z prywatnej hodowli to potężny zastrzyk świeżej krwi i równie potężne wyzwanie logistyczne: zwierzęta zostaną rozwiezione po obszarach chronionych w całej Afryce, ale większość pozostanie w RPA. Sam koszt transportu nosorożców będzie liczony w dziesiątkach milionów złotych. Pierwsze mają wrócić na wolność na początku przyszłego roku i wtedy zacznie się najtrudniejsza część.

Jak uchronić je przed kłusownikami i chorobami w nowym środowisku? Już teraz są pilnie strzeżone, a w nowych domach będą pod nadzorem i opieką strażników parkowych i naukowców. Szef projektu, Donovan Jooste, przyznaje: „Bylibyśmy naiwni, gdybyśmy wierzyli, że da się to zrobić bez strat i ryzyka. Ale 2000 nosorożców w naturalnych ekosystemach to wartość nieporównywalnie większa niż zwierzęta zamknięte w prywatnej hodowli". ©℗ KRZYSZTOF STORY

BRENT STIRTON / AFRICAN PARKS / MATERIAŁY PRASOWE

Nosorożce białe w rezerwacie w północno-zachodniej Republice Południowej Afryki.

W kolejną zimę wojny Ukraińcy wciąż potrzebują naszej pomocy

WOJNA I LUDZIE ▪ Ihor chce być transparentny. Gdy przychodzą kolejne paczki z pomocą, ten 50-letni starszy sierżant i zastępca dowódcy kompanii – oddział stacjonuje w Donbasie – zbiera grupę żołnierzy, by w obecności świadków otworzyć je, stwierdzić zawartość i sprawiedliwie rozdzielić. Nie chce, by ktoś zarzucił, że faworyzuje kogoś z 60 podwładnych (na wojnę poszło ich więcej, tylu zostało). Albo gorzej: że to, co dostał, sprzedał na czarnym rynku.

Paczki przysyła mu Dom Polski, organizacja mniejszości polskiej działająca w mieście na zachodniej Ukrainie, z którego pochodzi Ihor. Pomoc przychodzi też zza granicy. Kilka lat temu Ihor pracował w Polsce i gdy w lutym 2022 r. zaczęła się inwazja, a on założył mundur, wówczas Adam, jego dawny pracodawca, organizował zbiórki i przysyłał mu dla oddziału to, co potrzebne. Pomagali też czytelnicy „Tygodnika".

WOJCIECH PIĘCIAK

Lekarz jednej z ukraińskich brygad walczących w okolicy Bachmutu ze skalpelami i nićmi chirurgicznymi, które dotarły tu w polsko-słowacko-niemieckim transporcie. 30 listopada 2023 r.

Ihor należy do podoficerów, których żołnierze mogą szanować. Spokojny, dbający. Poznałem go rok temu. Odtąd widocznie posiwiał. Gdy przyszedł rozkaz, by także jego pułk posłał pluton z javelinami, amerykańskimi granatnikami, pod Bachmut, gdzie było ciężko, z 29 ludzi wróciło dziesięciu. „Co będzie? – powtarza dziś pytanie. – Wierzę, że Jezus ma swój plan. Jesteśmy w jego rękach". Na wojnie jedni tracą wiarę (także w ludzi), innym pozwala zachować równowagę.

– Dziękujemy, że przyjechaliście – mówi Wadim, trzydziestoparoletni pułkownik ze sztabu. Sztab prosił o stację zasilania, rodzaj dużego power banku. Stacja jest lepsza niż agregat, bo nie emituje ciepła, które może wypatrzyć rosyjski dron z kamerą termowizyjną.

Przyjechaliśmy tu, by przekazać dwie i pół tony pomocy – głównie materiałów medycznych oraz 16 agregatów i stacji zasilania – dla kilkunastu szpitali polowych rozrzuconych po obwodach donieckim i zaporoskim. Podarowały to słowacka fundacja Eset, firma Eset Polska i jej szef Łukasz Wojdała, Klinika Uniwersytecka w niemieckim Akwizgranie i niemiecka firma Fuhrmann.

W trzecią wojenną zimę – ta zaczęła się tu gwałtownie: na przemian burze śnieżne i roztopy; w dzień plus 10, w nocy poniżej zera – obrońcy są zdani na pomoc może nawet bardziej niż rok temu.

©℗ WOJCIECH PIĘCIAK

z Myrnohradu i Kramatorska

Wiem, co zrobi tata, więc mogę zaryzykować

STRATEGIE ZACHOWANIA ▪ Najlepszym sposobem na zrozumienie, że kaktusa nie warto dotykać, jest dotknięcie go. Badanie otoczenia to istotny element uczenia się, jednak nie wszystkie dzieci robią to równie chętnie.

Zespół Setha Pollaka z Uniwersytetu Wisconsin-Madison zapytał dzieci w wieku 10-13 lat, czy oceniają swoje środowisko jako przewidywalne – np. jak często mogą polegać na obietnicach rodziców albo czy martwią się o zaspokojenie swoich potrzeb. Później dzieci zagrały w gry. Z dwóch automatów jeden dawał szanse na wyższe nagrody, ale dziecko musiało wybrać pomiędzy nimi w ciemno i dopiero wtedy poznawało historię wypłat danej maszyny. Później mogło zaryzykować i zmienić urządzenie – nagroda byłaby większa lub mniejsza, ale na pewno dostarczyłaby nowych informacji. Okazało się, że dzieci, które postrzegały swoje środowisko jako nieprzewidywalne, decydowały się na zmianę rzadziej niż te przekonane o stabilności otoczenia. Rezygnowały ze zdobycia informacji, preferując oczekiwany zysk.

Uzyskane wyniki są spójne z rezultatami badań prowadzonych na młodszych dzieciach, a nawet na młodych innych gatunków, które pokazują, że niekonsekwentne reakcje matek na potrzeby potomstwa wpływają na jego strategie zachowania – a przez to także na rozwój poznawczy. Np. w 2015 r. Kathryn L. Humphreys i współpracownicy ustalili, że dzieci wychowywane w sierocińcach rzadziej oddawały się eksploracji i dokonywały bezpiecznych wyborów.

Jeśli o strategiach zachowania się dzieci decydują ich relacje z opiekunami i obraz własnej sytuacji, to może będziemy w stanie wpływać na to, co dziecko myśli na te tematy, i przez to ułatwić mu osiąganie korzyści, jakie niesie eksploracja i nauka na błędach – zastanawia się Pollak w komunikacie prasowym.

© KATARZYNA DZIADOWICZ

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA"
co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd" Agnieszki Lichnerowicz w Radiu Tok FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

Zysk spadł o połowę. Co zrobi nowy rząd?

PIOTR WÓJCIK

Z powodu zagmatwanego systemu dopłat i ulg zagwarantowanych branży w zamian za stopniowe ograniczanie wydobycia trudno dokładnie poznać sytuację finansową górniczych spółek.

W najbliższych dniach PiS ma zamiar wprowadzić do projektu przyszłorocznego budżetu autopoprawkę, która zagwarantuje trzem górniczym spółkom dotacje w wysokości 7 mld zł (z czego 5,5 mld zł miałaby otrzymać Polska Grupa Górnicza). Według wiceministra aktywów państwowych Marka Wesołego to żadne zaskoczenie, tylko ciąg dalszy „wygaszania" górnictwa. W kończącym się roku PGG w ogóle nie skorzystała z przysługujących jej 4,5 mld zł; w 2022 r. otrzymała 1,4 mld z zakładanych 4 mld zł. Potencjalne przyszłe problemy finansowe spółek wynikają z dwóch kwestii. Zmniejszane jest wydobycie – w tym roku PGG wyprodukuje o 2,5 mln ton węgla mniej niż w planie; według związkowców to efekt uzgodnionej w umowie społecznej redukcji zdolności produkcyjnych.
Po drugie, energetyka zmniejsza zapotrzebowanie na polski węgiel, gdyż stopniowo się dekarbonizuje. Podczas kryzysu energetycznego sprowadziliśmy też niemal rekordową ilość węgla z zagranicy. Możliwy jest również spadek cen węgla na rynkach światowych. Efekt? Według Agencji Rozwoju Przemysłu w okresie styczeń–wrzesień górnictwo zanotowało niecałe 4 mld zł zysku (w tym samym okresie w 2022 r. było to aż 8 mld zł).

Nowy rząd powinien uporządkować sytuację finansową górniczych spółek. Najpierw trzeba jednak uzyskać od Komisji Europejskiej zatwierdzenie programu wsparcia górnictwa. Mimo braku akceptacji Brukseli pierwsze pieniądze już wypłacono – gdyby spółki musiały zwrócić pobrane pieniądze, ich sytuacja stałaby się dramatyczna. ©

HENRYK PRZONDZIONO / GOŚĆ NIEDZIELNY / FORUM

Górnicy w kopalni „Silesia", Czechowice-Dziedzice, 2015 r.

Pożegnanie z węglem

KRZYSZTOF STORY

Odejdziemy od węgla – dwa lata temu, podczas szczytu klimatycznego w Glasgow, Polska zadeklarowała, że zrobi to najpóźniej w 2049 r. Pytanie jednak brzmi: kiedy i jak?

Wydobycie węgla spada u nas od ponad 40 lat. Gdyby spojrzeć na wykres i przedłużyć obecny trend, linia przecięłaby „zero" jeszcze przed rokiem 2040. Czy jednak wydobywany w następnych latach węgiel będzie jeszcze komukolwiek potrzebny? Państwowe firmy energetyczne mówią wprost, że utrzymywanie starych pieców przy jednoczesnym przestrzeganiu coraz ostrzejszych ograniczeń emisji przestaje być opłacalne. W listopadzie oświadczenia wydały Enea i Tauron. Pierwsza spółka planuje do 2048 r. zostawić tylko dwa bloki energetyczne w Kozienicach; pozostałe zostaną wyłączone do 2042 r. Jeszcze dalej idzie Tauron, który planuje wyciągnąć wtyczkę już w 2035 r. i to nawet w niedawno zbudowanym bloku w Jaworznie, który technicznie mógłby pracować jeszcze prawie cztery dekady. PGE podaje z kolei, że w 2040 r. będzie produkowała energię tylko z odnawialnych źródeł (OZE).
Według polskiej strategii energetycznej w 2040 r. mamy wydobywać jeszcze 40 mln ton węgla rocznie. Eksperci twierdzą, że te wyliczenia są przeszacowane (podobnie jak wszystkie z ostatnich 30 lat), i podają liczby trzy-, a nawet czterokrotnie mniejsze. Przy rosnących opłatach za emisję dwutlenku węgla i rozwijających się OZE węgiel straci na znaczeniu (tak już się stało w wielu państwach Europy). Przynajmniej w energetyce, bo tzw. twardego węgla nadal potrzebujemy do produkcji stali. Ostatecznym ciosem dla węgla może się okazać uruchomienie elektrowni jądrowej albo nowe unijne normy normy emisji metanu, które – na razie – udało się Polsce w negocjacjach nieco złagodzić. ©

TEMAT TYGODNIKA

GRUBA

Kopalnia to antyświat.
Tu na nowo trzeba nauczyć się chodzić, mówić, być.
Byłem w paru miejscach na świecie, ale chyba żadne nie zrobiło na mnie tak wielkiego wrażenia jak podziemia mojego miasta.

ZBIGNIEW ROKITA

W 1989 r. w polskim górnictwie (głównie na Śląsku) pracowało ok. 400 tys. osób; dziś zostało niespełna 80 tys. Robi ledwie kilkanaście kopalni. Dni do niedawna kluczowej na Śląsku grupy zawodowej – górników – są policzone. Już teraz jednego roku więcej turystów zjeżdża pod ziemię do zabytkowej kopalni Guido w Zabrzu, niż zatrudnia polskie górnictwo. Często pada pytanie: „Co stanie się ze Śląskiem po kopalniach?". Tymczasem my już żyjemy w swoim własnym „po".

Górnictwo to jednak coś więcej niż praca. I dlatego kopalnie umierają tak głośno. Zwłaszcza że węgiel jest uwikłany w największe bieżące sprawy: od ekologii po wojnę rosyjsko-ukraińską.

I Jestem na kopalni Wujek, czekam, aż przyjedzie szola. To mój pierwszy raz na kopalni, choć w moim życiu węgiel zawsze był wszędzie.

Gdy byłem mały, w mojej Wójtowej Wsi zimę zapowiadał zgrzyt łopat chroboczących po chodnikach. Na łopaty mówiono „hercówy", bo ich sztychy kształtem przypominały serca. Przez okienka węgiel zrzucaliśmy do piwnic, tonę, dwie, trzy, karmiliśmy nim później piece i kafloki. Potem zmywaliśmy węglowe makijaże, a na chodnikach zostawały czarne, impresjonistyczne bohomazy.

Chodziłem po Wójtowej Wsi i wiedziałem, który piwnicę już zapełnił, a który zwleka. Przez pół roku kominy pluły ↦

↦ czarnym dymem tak, jakby w każdym domu kardynałowie próbowali wybrać papieża.

Węgiel jest kluczowym budulcem organizmów żywych oraz najważniejszym budulcem mojego świata, Śląska. Tutaj to on budował ulice, domy, całe miasta. Jeśli chcę zobaczyć historię alternatywną, Górny Śląsk, na którym nie odkryto węgla, wystarczy że pojadę tuż obok, na Śląsk Opolski – zielony, wiejski, miasteczkowy. U nas węgiel budował nawet przyrodę. Żyję na pojezierzu antropocenu, wokół jest mnóstwo jezior, które są pozalewanymi wyrobiskami. Żyję wśród masywów górskich, które są pasmami hałd, usypanych przez jelcze i stary szczytów z kopalnianych odpadków.

Jest szola. Wchodzimy. Jest ze mną górnik Tomek Kopania, 16 lat przepracowane na dole, i Robert Ciupa, pochodzący z górniczej rodziny dyrektor Śląskiego Centrum Wolności i Solidarności, muzeum kopalni Wujek.

Jak to się mówi: „Tela zjazdów, wiela wyjazdów". Szola rusza. Zjeżdżam na dół, w ciemność, w ziemię.

II

– Idealizować górnictwo zaczynają w XIX w. Niemcy – opowiada mi śląski historyk Sebastian Rosenbaum. Pod koniec XVIII w. do Tarnowskich Gór trafia jedna z pierwszych w Europie maszyn parowych i kilkudziesięciu specjalistów do jej obsługi. Wśród nich jest trójka braci Rosenbaumów: Gottlieb, Johann Friedrich i Wilhelm August. Sebastian to potomek tego pierwszego.

– Dlaczego akurat ten zawód romantyzowano? – pytam.

– Romantyzujesz coś jednocześnie ważnego i ciężkiego. A to straszna robota. I dlatego trzeba było pracować nad górnikami, tworzyć filozofię zawodu, żeby uwierzyli w swoją pracę, identyfikowali się z kopalnią. Wbija się im do głowy, że są czymś więcej niż grupą zawodową, że są kastą.

– Ale jest w tym trochę prawdy – mówię. – Górnicy są wtedy w awangardzie. Muszą potrafić czytać, pisać, muszą być punktualni, przestrzegać reguł bezpieczeństwa.

– Oczywiście. Kopalnia jest jak mechanizm zegarka, to musi działać, jeśli puszczasz to na żywioł, wali się.

Rosenbaum zwraca uwagę, że dochodzi do tego symbolika militarna, a nawet rycerska: mówi się o „froncie podziemnym", o walce, o pracy na dole jak o ostrzale na froncie. Widziałem to już parę miesięcy temu, gdy wyprosiłem u Roberta Ciupy, żeby ten zabrał mnie na karczmę piwną, która jest częścią Barbórki – długie ławy, piwo, pieśni, brać górnicza. Tam po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, jak bardzo ten zawód przypomina wojsko: mundury, szpady, ceremonia pasowania na górnika, składanie przysięgi.

Rosenbaum: – Polska zdobywając po 1945 r. cały Górny Śląsk odrzuca niemieckie dziedzictwo, ale filozofię i romantyzowanie górnictwa przejmuje w pełni.

Robi się tak również po to, żeby ściągnąć tu górników. Górnictwo staje się kluczową gałęzią polskiej gospodarki już po I wojnie światowej (wraz z przyłączeniem części Górnego Śląska w 1922 r. potencjał przemysłowy kraju rośnie trzykrotnie), ale największa rewolucja społeczna zajdzie tu dopiero po II wojnie światowej.

– Od lat 60. region się gwałtownie zmienia, to społeczeństwo na botoksie, sztucznie pompowane – mówi Rosenbaum. – Gierek chce mieć 200 mln ton, chce być 10. gospodarką świata. Bije szyby, polskie wydobycie węgla to przeszło 5 proc. światowego. Udaje mu się częściowo. Ale za cenę, którą płaci Śląsk. Gierek szybko ściąga ludzi, często trafiają tu niewykwalifikowani. Kopalnie są źle zarządzane, dochodzi do katastrof. W latach 70. i 80. ludzie giną dziesiątkami.

– Śląsk to nie było żadne eldorado – dopowiada Jacek Raciborski. 25 lat robił na dole, dziś jest młodym emerytem i śląskim bluesmanem. – Pamiętam, jak teść pokazywał mi zdjęcia, jak robił na grubie w latach 50. i 60. Chopy ważyły po 50 kilo, wydzierali węgiel kilofami. Wydobycie odbywało się kosztem człowieka, wielu ginęło.

Na powojennym Śląsku górnicy pracują często siedem razy w tygodniu, z nadgodzinami, robi się na cztery zmiany, w warunkach, których wielu nie wytrzymuje. Wciąż potrzeba siły roboczej. Trwa rewolucja demograficzna, region się nieodwracalnie przeobraża: autochtoni na Śląsku stają się coraz mniejszą mniejszością. Niedługo po wojnie wraca wielu repatriantów z Francji i Belgii, dekadami przybywają tzw. werbusi – setki tysięcy mieszkańców Podkarpacia, Świętokrzyskiego czy Małopolski. Obiecuje się im dobrobyt. Wielu się rozczarowuje.

– Znajomy górnik z Rydułtów opowiadał mi, że werbujący mieli zasadę: nie przyjeżdżać do tej samej wioski dwukrotnie – mówi mi Beata Piecha-van Schagen, historyczka zajmująca się kulturą górniczą na Śląsku. – Wcześniej zwerbowani mogli już zdążyć opowiedzieć swoim, jak zostali oszukani, i zdarzało się, że powracającego do tego samego miejsca werbującego pobito.

Z drugiej strony kopalnia i przenosiny z biednych wsi na Śląsk są szansą na cywilizacyjny awans. Problem z opowieściami werbujących polegał chyba głównie na tym, że nikt w słowach nie jest w stanie oddać tego, jak wygląda dół.

III

Po kilku minutach jesteśmy na dole. Nieswojo mi. Najbardziej niepokojąca jest dla mnie świadomość, ile ziemi jest nade mną. Jesteśmy ok. 700 metrów pod ziemią. To blisko 30 bloków mieszkalnych ułożonych jeden na drugim nad moją głową.

Rozpoczynamy około 40-minutową podróż podziemiem na przodek. Jest tu ciemno, bardzo sucho, ale momentami brodzę w wodzie, najpierw mi zimno, a potem gorąco, wokół kilometrami wiją się korytarze, którymi mogę przejść do innych części miasta. Na ścianach kłębowisko rur, kabli, przedmiotów, których zastosowania nie rozumiem. I mnóstwo tabliczek z ostrzeżeniami jak ta, koło której teraz przechodzę: „Pamiętaj, urodziłeś się bez części zamiennych".

Bo górnictwo z Barbórkami i orkiestrami dętymi jest piękne, ale tylko na powierzchni. Pod spodem jest inaczej. To antyświat. Niektórzy zjazd pod ziemię nazywają przemienieniem, transfiguracją.

Pięknie opowiada o tym Jacek Raciborski: – Gdy mając 18 lat zacząłem pracować pod ziemią, zobaczyłem świat tak inny od tego, który znałem dotychczas. Musiałem stać się jak dziecko i w świecie węgla wszystkiego uczyć się od początku: jak się poruszać, jak słuchać, jak mówić, a nade wszystko jak w tym miejscu myśleć. Też uczyłem się inaczej patrzeć. Najważniejszą częścią tego świata byli ludzie „węglem malowani". Ich twarze zna-

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Obchody Barbórki z udziałem orkiestry górniczej w Katowicach-Nikiszowcu, 4 grudnia 2022 r.

łem od lat, a tu często były nie do poznania i tylko oczy w ciemności odróżniały ich od węgla.

Człowiek jest pod ziemią intruzem. Tu rządzi przyroda. I choć z dekadami i wraz z umaszynowieniem coraz bardziej zamiast człowieka w przyrodę wsłuchiwała się technologia, Jacek opowiada, że on sam robiąc pod ziemią też musiał być uważny: nasłuchiwać, czy górotwór nie mruczy, czy drewno nie trzeszczy, czy szczury, których na dole sporo, nie uciekają. A gdy uciekały – rzucać wszystko i razem z nimi brać nogi za pas.

Jacka przysypało dwukrotnie. Nic wielkiego mu się nie stało, ale za to gdy skały zasypały jego ojca, szukali go dwa dni. Potem latami był inwalidą.

Każda kopalnia jest inna. I każda zabije inaczej. Na Staszicu tąpie, na Wujku niebezpieczny jest metan, a na Ziemowicie czy Piaście dużo jest wody. Na Wujku nie tąpnie tak, jak tąpło u nas w październiku – wówczas po wstrząsie blisko 20 km od mojego domu wciąż mamy centymetrowe pęknięcie w ścianie. Na Górnym Śląsku za sprawą kopalń regularnie dochodzi do krótkich trzęsień ziemi.

IV

Żeby dostać się na przodek, najpierw jadę jednym scharfem, potem drugim. Scharf to kolejka z wagonikami, choć nie odważyłbym się tak powiedzieć do hajerów pod ziemią. Tu obowiązuje inny język.

– To dzięki kopalniom śląszczyzna przetrwała tak długo. Trafiając tutaj wielu przyjezdnych musiało nauczyć się godać – mówi Robert Ciupa. – Tak było też z moim ojcem, który przyjechał tu do pracy. Musisz wiedzieć, co to znaczy „gruba", „szychta", „fedrowanie", „folowanie" czy „felezunek". Inaczej sobie nie poradzisz.

Są tu krzoki, ptoki, pnioki, są gorole, krojcoki, hanysy – śląszczyzna ma bogatą terminologię pozwalającą raz-dwa rozstrzygnąć, czy jesteś swój, czy obcy. A czasem po prostu uczono przyjezdnych śląskiego. Jak ten sztygar na kopalni Wieczorek. Gdy przerzucano do niego Polaków z kopalni Generał Zawadzki czy z Saturna, mówił im: „Gorole, bydzie felezunek to wōm postawia tablica przy falbanku i kożdego dnia byda pisać trzi słowa po ślōnsku. I mocie sie ich uczyć!". Ponoć się nawet uczyli.

– Z przyjezdnych robili sobie też żarty. Mówili np.: „przynieś kibel sztromu". A taki wstydził się przyznać, że nie wie, co to jest kibel sztromu, chodził po wszystkich i pytał, gdzie go znajdzie – mówi mi Tomek Kopania. A kibel sztromu to wiadro prądu.

Tworzy się tu mimo wszystko związek między ludźmi, którzy są zdani na siebie – jeśli jeden popełni błąd, drugi może przypłacić to życiem. Tu na ogół wszyscy są na ty.

Tak jak kiedyś było z Edmundem Hanuskiem. Rocznik 1909, *Schießmeister*, czyli instruktor strzałowy, robił na Abwerze, czyli na Mikulczycach (to ciągłe „czyli" jest pomostem między górą i dołem, przeszłością i teraźniejszością) – najlepiej zakładał dynamit na ścianach. Gdy zaczął z nim robić młodszy o 33 lata Herbert Kandzia, Herbertowi nie mogło przejść przez gardło „Edmundzie". I mówił do niego per „panie Hanusek", a on mu powtarzał, że ma „mu godać za jedno", czyli na ty. W końcu Hanusek powiedział: „Jo niy chca już tego słyszeć. My tu sōm wszyjscy za jedno. Pany są na wiyrchu, tu my sōm ↦

↦ rōwni". I Herbert w końcu przywykł. Ale po szychcie, już na górze pyta szicmajstra Hanuska: „Panie Hanusek, a pōdymy sie do szynku? Pogrōmy sie we szkata". I wówczas Hanusek już nie protestuje na „pana", tutaj to dla niego naturalne.

Bo na powierzchni jest inny świat, a na grubie inny. Każdy z tych światów ma trochę z postu, trochę z karnawału, w odwróconych proporcjach.

V Miejscowi rzadko byli sztygarami, Ślązacy robili fizycznie, na ogół sztygarami byli przyjezdni spoza regionu. A w biurze to już w ogóle zapomnij – mówi mi Grażyna Bułka, pochodząca ze świętochłowickich Lipin aktorka Teatru Śląskiego.

W opowieści Bułki porusza mnie to, jakie mikroświaty pokoleniami tworzyły się wokół kopalń.

– Tam wszyscy byli związani z kopalnią, a 90 proc. mężczyzn na Lipinach na niej pracowało – mówi.

– Całe życie słyszę, że gruba była czymś więcej niż pracą.

– Bo tak było. Wokół niej powstawała społeczność. Kopalnia nas żywiła, opiekowała się nami, była wszystkim.

– Co to znaczy?

– Dawała nam mieszkania, sklepy, zapewniała opiekę w przykopalnianych przychodniach, węgiel, organizowała czas wolny – zabawy, święta, obozy dla dzieci. Gdy byłam dziewczynką w latach 60. i 70., całe nasze życie toczyło się w trójkącie familok, gruba, dom kultury. To był trójkąt bermudzki, nie dało się z niego wyjść – mówi Bułka.

Miało to jednak również rewers. Gruba żądała żertwy, uzależniała górników i ich rodziny od siebie.

– Twój ojciec długo robił na kopalni? – dopytuję Grażynę Bułkę.

– Całe życie. Mój tato, Leon Kałuża, miał 14 lat, gdy w 1944 r. poszedł na Matyldę.

– I całe życie pracował na tej jednej?

– Trzy lata przed emeryturą tacie zawarli gruba. Nie zapomnę tego. Stał na winklu, patrzył na Matyldę i płakał. Jak on ją kochał... Ona była dla niego drugim domem. Popracował chwilę na innej kopalni, tam już nie potrafił się odnaleźć. A potem poszedł na emeryturę w wieku 55 lat i po 3 latach zmarł. Na pylicę. Cierpiał, dusił się.

– Kopalnia go wyssała i zostawiła?

– Tak jak moja postać mówi w spektaklu „Wujek '81. Czarna Ballada" Roberta Talarczyka: „Gruba to jest gruba. Gruba nos żywi, gruba się nami opiekuje i gruba czasem musi keregoś z naszych chopów zabrać do siebie".

Cichych śmierci, takich jak ojca Bułki, nikt nie zliczył. Statystyki milczą też, ile osób zginęło podczas pracy na kopalni.

– Albo tę robotę pokochasz, albo znienawidzisz. Nikt nie jest wobec niej obojętny – mówi mi Tomek Kopania, z którym idę teraz po podziemiu.

VI Bo Śląsk na przemyśle też tracił.

Tracił, gdy pokoleniami przeżywał katastrofę ekologiczną. Do dziś jest ona największą białą plamą w najnowszej historii Śląska. Kazimierz Kutz wspominał, że dopiero wyjechawszy na studia, zorientował się, że powietrze jest przezroczyste.

Tracił, gdy w takim Bytomiu notowano najwyższy w Polsce wskaźnik zgonów kobiet, bardzo wysoki wskaźnik umieralności noworodków, a wszystko to w związku z katastrofalnym skażeniem powietrza, gleby, wody.

Tracił, gdy bywało, że Śląsk był traktowany jak wewnętrzna kolonia. Za PRL bywało, że sam jeden Bytom dawał 10 proc. krajowego wydobycia węgla. Warszawa wiedziała jednak, że skończy się to katastrofą – i skończyło. Gdy Bytom i wiele innych miejsc na Śląsku przestało być użytecznych, nie nadeszła adekwatna pomoc. Miasta zapadały się o metr, dwa, trzy, ludziom kominy wpadały do mieszkań, czasem z dnia na dzień musieli porzucać swoje domy.

VII Idziemy. W tym świecie nie ma toalet, nie ma gdzie się załatwić. Rozglądam się i zastanawiam, dlaczego nazwano górnictwo górnictwem, a nie dolnictwem. Nieliczni mijani górnicy witają się z nami „Szczęść Boże". Nagle widzę, że na końcu korytarza trochę jaśniej, dobiegają hałasy. To przodek. Jesteśmy. Temperatura rośnie, wokół pełno górników, wrzawa, huk.

– Przypomina to Mordor – mówi Robert Ciupa. – Miejsce tak ciemne i pozbawione człowieczeństwa, że sam widok pracujących tu ludzi zaskakuje.

To ten moment, gdy język się wyczerpuje. Uciec tu można wyłącznie w metaforę – kiełznania przyrody, wydzierania ziemi skarbów, dojenia kopalń. Wiele już było prób przekazania metafizyki kopalnianego podziemia, żadna doskonała.

Król podziemia kombajn targa skałę, po taśmociągu sunie wyszarpywany górotworowi węgiel. Schylamy głowy, wąski korytarz, pełno pyłu, drobinki wirują w powietrzu. Przeszkadzamy górnikom swoją obecnością, ci nawet tego nie ukrywają.

Szybko stamtąd odchodzimy.

VIII Byłem w paru miejscach na świecie, ale chyba żadne nie zrobiło na mnie tak wielkiego wrażenia jak podziemia mojego własnego miasta.

– Ile osób pracuje teraz na Wujku? – pytam Tomka, gdy wyjeżdżamy z kopalni.

– Teraz? Z 900. A kiedy zaczynałem tu robić – to ponad pięć tysięcy.

Rozchodzimy się. Obwódki wokół oczu uda mi się zmyć dopiero w domu.

Wujka zamkną niebawem. Ale teraz kopalnie zamykają się już bez tak wielkich wstrząsów społecznych jak wcześniej.

Po 1989 r. rozpoczyna się wielkie i nie raz, nie dwa nieprzemyślane zamykanie kopalń.

Beata Piecha-van Schagen: – Nie chodziło wyłącznie o te kilkaset tysięcy górników. Po pierwsze, często byli oni jedynymi żywicielami rodziny, żony nie pracowały, na wychowaniu było po parę dzieci. Po drugie, jeden górnik to cztery miejsca pracy poza kopalnią.

Bo gdy zamkniemy kopalnię, to padają inne firmy: od koksowni przez firmy przewozowe po pralnie piorące górniczą odzież.

– Pomyśl więc, co oznaczało dla takiego 230-tysięcznego Bytomia nagłe zamknięcie pięciu kopalń – ciągnie Piecha-van

GRAŻYNA MAKARA

„Choć Polska powojenna w różnych odsłonach ideologicznych chętnie szczyci się czarnym złotem, miejsca, gdzie je wydobywa, zamknięte są w szczelnym kokonie uproszczonych mitów. Zbigniew Rokita wykonuje odkrywkę tego terytorium" – mówiła w laudacji Inga Iwasiów, przewodnicząca kapituły, gdy „Kajś. Opowieść o Górnym Śląsku" zdobyła w 2021 r. Nagrodę Literacką Nike. Niedawno ukazała się inna książka Rokity – „Odrzania. Podróż po Ziemiach Odzyskanych". **ZBIGNIEW ROKITA** jest stałym współpracownikiem „Tygodnika". Pochodzi z Gliwic, mieszka w Katowicach – na zdjęciu na osiedlu Nikiszowiec, 29 listopada 2023 r.

Schagen. – Można było je likwidować stopniowo. Można było to robić tak jak teraz, z planem rozpisanym na lata.

Historyczka zwraca też uwagę, że wówczas górnikom trudniej się było przekwalifikować. Dziś większość ma jakiś zawód, który wykonuje na kopalni, ale może go wykonywać też gdzie indziej – elektryk, cieśla czy behapowiec. Są przyzwyczajeni do wolnego rynku. W latach 90. było inaczej.

– Zamykano kopalnie, a oni mieli wybór: przenieść się na inną grubę, często daleko od domu, lub wziąć wysoką odprawę i podpisać glejt, w którym zobowiązywali się, że już nigdy nie będą pracować na żadnej państwowej kopalni w Polsce – wyjaśnia badaczka.

Ogromna część bierze odprawy. Później co zamykają kopalnię, to wokół pojawia się spora grupa tymczasowo zamożnych mężczyzn. Nie wszyscy się odnajdują w kapitalizmie i na powierzchni.

– Judaszowe pieniądze – mówi mi Raciborski. On nie wziął. Z kopalni Katowice poszedł na Kleofasa, stamtąd na Wieczorka. – Nikomu niczego dobrego nie dały. Może jedynie tym, którzy wrócili tam, skąd przyjechali – w głąb Polski.

– Część jechała też do Niemiec, a część dała się złapać na lep liberalnych haseł, że zostaną biznesmenami i będą żyć o tak – Sebastian Rosenbaum pokazuje palcem jak. – Ale większość nie miała do tego smykałki i im te biznesy – warsztat czy kiosk – popadały. Kasy już nie było, a oni zostawali na lodzie. Ale to była mniejszość.

– A większość?

– Przewalili te pieniądze. Kupili sobie fajne auta, wyremontowali domy, trochę pożyli i po paru miesiącach zaczepiali kolegów, czy im nie pożyczą. Był taki jeden facet w Bytomiu. Jeździł do nocnego klubu do Knurowa i zakochał się tam w jakiejś prostytutce... Albo czekaj, może on był z Knurowa, a jeździł do Queens do Gliwic... No nieważne, w każdym razie jeździł do tej panny i kupował jej wszystko, co się dało najdroższe – ubrania, kosmetyki, perfumy. Tak szastał pieniędzmi, że prędko wydał całą odprawę. Wtedy ona się w nim odkochała, a on skończył na ulicy.

– Świat się zmienił, a im to przychodziło z trudem. W oczach społeczeństwa już nie są herosami – mówi Piecha-van Schagen.

IX

Wraz z kopalniami znika cały przykopalniany świat – ten z opowieści Grażyny Bułki: kluby, orkiestry, domy kultury, domy wczasowe. Cała Polska się atomizuje, ale przemysłowy Śląsk być może szczególnie. Po 1989 r. znika Wielki ↦

↦ Opowiadacz, PRL, opowieść o górnictwie się demokratyzuje, pojawiają się nowe wątki – o przepłacanej i nierentownej branży, o ekologii, o roszczeniowych Ślązakach. Podbijają to rozliczne sceny jak te, które wielokrotnie rozgrywały się nieopodal mojego katowickiego domu, w budynku Katowickiego Holdingu Węglowego.

– Co był sztrajk, to chopy brały karę, bergi i murowali działaczy od zewnątrz. Policja przyjeżdżała, straż, trzeba było kuć. Mijało pół roku, znów kara, znów bergi i murują – śmieje się Jacek Raciborski.

BEATA PIECHA-VAN SCHAGEN:

Politycy zawsze wykorzystywali górników. Wydobywajcie, bo ZSRR potrzebuje, nie wydobywajcie, bo ekologia, wydobywajcie, bo Rosja napadła na Ukrainę.

Dla wielu to też kwestia godności: nie raz kopalnia zabierała ich ojców, wujków, braci, a teraz wielu mówi im, że ich biografie były niepotrzebne. Nie wszyscy górnicy rozumieją, skąd ta nagła zmiana, bo nie każdy musi rozumieć, co oznacza dekarbonizacja i czym jest zielona energia. O tym na felezunku się nie mówi.

Opowieść o górnictwie jako dziadostwie to ta, której wokół było sporo, gdy ja dorastałem. Oraz opowieść o ciągłych katastrofach.

– Często narażano górników – mówi Beata Piecha-van Schagen. – Jeśli metanomierz wykazywał zbyt wysoki odczyt metanu, trzeba byłoby wyłączyć prąd, zatrzymać kombajn itd. To dużo zachodu. Kierownictwo przymykało więc oczy, metanomierze zawieszało się u wylotu lutniociągu, w papierach było dobrze, fedrowano dalej, a potem dochodziło do wypadków.

Historyczka mówi, że wzięło się to z głębokiego upolitycznienia górnictwa. – Politycy zawsze wykorzystywali górników. Wydobywajcie, bo ZSRR potrzebuje, bo dewizy, nie wydobywajcie, bo ekologia, bo nierentowne, jednak wydobywajcie, bo Rosja napadła na Ukrainę. Kopalnie są bardzo narażone na koniunkturę światopoglądową i polityczną – tłumaczy.

– Przekręty z metanem? Oczywiście – mówi mi Zbigniew, emerytowany górnik z Zabrza, który prosi, żeby nie podawać jego nazwiska. – Presja na wydobycie była ogromna, a raz na 10 przypadków, gdy jest za dużo metanu, wybucha. Kamień potrze o kamień i gotowe. Jak 20 lat temu na Bielszowicach – tam nie doszło do zapłonu. Dwa kilometry trwał potem podziemny marsz spalonych ludzi, którzy przeżyli. Inne przekręty? Lewe zjazdy. Zanim kilkanaście lat temu nie wprowadzili elektronicznych kart, wszyscy tak robili: ktoś pracował np. przy konserwacji maszyn u góry, ale załatwiał sobie glejt, że ileś razy zjechał na dół, żeby mieć lepszą emeryturę.

X – Moją kopalnię, KWK Katowice, przerobili na Muzeum Śląskie. A gdy ją zamykali, to ja tam zgasiłem światło i wykręciłem zicherungi. To po polsku bezpieczniki. Byłem ostatnim górnikiem wyjeżdżającym szolą z dołu. Za mną już tylko ratownicy. Potem zamknęliśmy. Wyjeżdżając, wziąłem ze sobą ostatni kawałek węgla.

– Tłusty?

– Bardzo.

– Po co wziąłeś?

– Przełamałem go na dwie części. Jedną część wsadziłem ojcu do trumny, a drugi moi bliscy włożą do mojej.

– Po co ojcu dałeś węgiel do trumny?

– Pomyślałem, że jak przyjdzie do świętego Pyjtra i wyciągnie trochę węgla, to nic nie będzie musiał mówić. Będą wiedzieli, że przyszedł górnik.

© ZBIGNIEW ROKITA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierowniczka), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda (kierowniczka), Michał Kuźmiński, Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i sprzedaż: Anna Cieślak, Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska
Rozwój cyfrowy: Mateusz Chmielowski, Mateusz Gawron, Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Piotr Wójcik
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

„TP" 48/2023

Kościół to nie klub VIP

Piotr Sikora w artykule „Arcybiskup kontra papież" napisał o przemyśleniach abp. Stanisława Gądeckiego na temat Synodu o synodalności. Droga synodalna została zainicjowana przez papieża Franciszka w kwietniu 2021 r., a w październiku br. w Rzymie duchowni, zakonnicy i zakonnice oraz świeccy wierni niemal przez miesiąc dyskutowali o kluczowych wyzwaniach stojących przed Kościołem katolickim na świecie. Wśród nich wymieniano m.in. kwestię celibatu księży, możliwość udzielania święceń diakonatu kobietom czy obecność osób LGBT+ w Kościele. Słowa, które po zakończeniu obrad padły z ust przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski, stanowią potwierdzenie tego, co wiemy od dawna – dla niektórych polskich hierarchów pontyfikat obecnego następcy św. Piotra jest solą w oku niemal od początku. Przewodniczący KEP wydaje się zaniepokojony faktem, że skutkiem Synodu może być Kościół otwarty, przyjazny, inkluzywny, słuchający, a nie każący słuchać; chętny do rozmowy, a nie tylko wydający polecenia. 29 października podczas mszy na zakończenie pierwszej sesji XVI Zgromadzenia Ogólnego Zwyczajnego Synodu Biskupów papież Franciszek wygłosił homilię, w której powiedział: „My, uczniowie Jezusa, chcemy przynieść światu inny zaczyn, zaczyn Ewangelii: Bóg na pierwszym miejscu, a wraz z nim ci, których on szczególnie miłuje – ubodzy i słabi. O takim Kościele, bracia i siostry, jesteśmy wezwani marzyć: Kościele będącym sługą wszystkich, sługą najmniejszych. O Kościele, który nigdy nie domaga się »dobrego sprawowania«, ale przyjmuje, służy, miłuje, przebacza". Przewodniczący KEP chyba zapomniał, że Kościół to żywa tkanka społeczna połączona różnymi zależnościami i wartościami, która aby przetrwać i rozwijać się w dynamicznie zmieniającym się świecie, musi wraz z nim ulegać przeobrażeniom. Nie może być skostniałą, doktrynalną instytucją, odrzucającą osiągnięcia współczesnych nauk o człowieku. Tradycja i postęp nie muszą ze sobą walczyć, mało tego: mogą współpracować, i to na licznych polach. Kościół to nie klub VIP dla wybranych, tylko wspólnota przyjmująca każdego, kto pragnie dzięki niej odnaleźć Boga. I nie jest to jednoznaczne z tym, przed czym przestrzega arcybiskup, a więc ze swoistym lewicowo-liberalnym przewrotem w strukturach Kościoła. Swój lęk przed progresywnością metropolita poznański wyraził w sprawozdaniu z Synodu: „Współczesna kultura przebudzania (woke) zdaje się traktować teorię gender jako świecką formę prawdy objawionej. W rzeczywistości teorie kulturowo skonstruowanego »gender« i »płynności płci« stoją w jawnej sprzeczności z boskim objawieniem: »Stworzył więc Bóg człowieka na swój obraz, na obraz Boży go stworzył: stworzył mężczyznę i niewiastę« (Rdz 1, 27). Posługują się też [propagatorzy „kultury przebudzania" – red.] poważnymi naciskami kulturowymi, zawodowymi i prawnymi wywieranymi na tych, którzy odmawiają pójścia na łatwiznę w kwestii właściwego uporządkowania ludzkiej miłości". Kościołowi nie grozi „dyktatura teorii gender" i rewolucja. Szansę stanowi natomiast ewolucja, konieczna dla jego przetrwania. I dobrze by było, gdyby jeden z najważniejszych polskich hierarchów to zrozumiał. Czas Adwentu, czyli pobożnego i radosnego oczekiwania na powtórne przyjście Jezusa Chrystusa, jest najlepszą ku temu okazją.

MARIA

REKLAMA

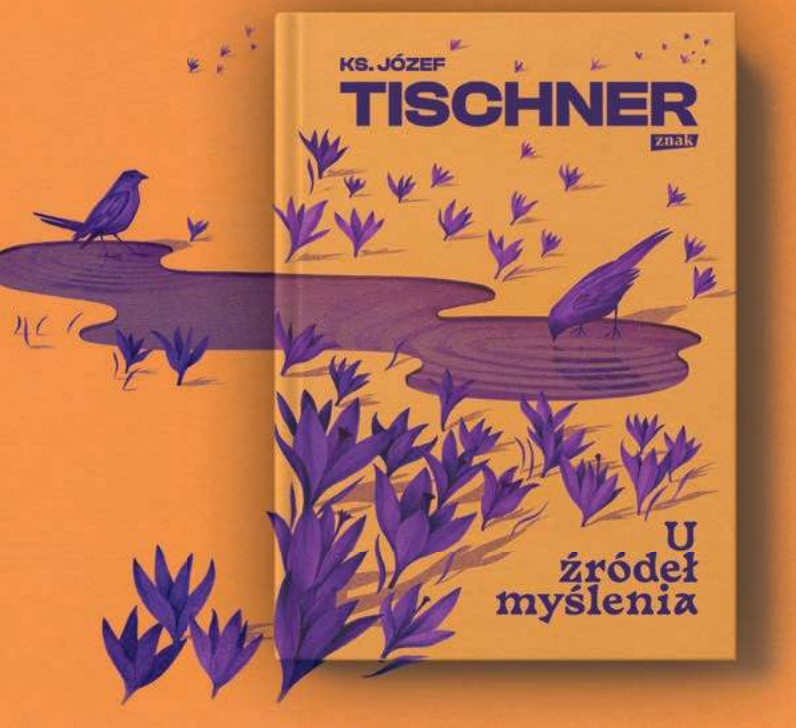

„Filozofia nie jest po to, by się jej »uczyć«, ale po to, by się nią karmić"

Nieznane teksty wybitnego filozofa ks. Józefa Tischnera, które tłumaczą świat i ludzkie relacje. Mądra i wnikliwa diagnoza rzeczywistości, w jakiej żyjemy.

Wybór tekstów:
Wojciech Bonowicz

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Pramatka Rachela

Dwadzieścia lat temu Jakub uciekał samotnie przed gniewem swego brata bliźniaka do wuja zamieszkującego w mezopotamskim Charanie. Teraz powraca do Ziemi Obiecanej – już jako głowa licznej rodziny – i kieruje swe kroki ku Hebronowi, gdzie rezyduje jego ojciec Izaak (Rebeka nie dożywa powrotu syna). Przed dotarciem do celu Jakubowa żona Rachela umiera przy porodzie, wydając na świat swego drugiego potomka. Czyż nie jest oczywiste, że zostanie pochowana w Hebronie, w jaskini grzebalnej kupionej za astronomiczną kwotę jeszcze przez Abrahama? W grocie Machpela spoczywa już Abraham wraz z Sarą oraz Rebeka, u boku której czeka miejsce na sędziwego Izaaka. Zmieszczą się tam jeszcze Rachela z Jakubem. Tymczasem trzeci z Praojców chowa ukochaną żonę nawet nie w Betlejem, najbliższym mieście po drodze, ale na pustkowiu!

Wydaje się to szokujące, jednak – wedle tradycji – jest zgodne z wolą Najwyższego. Wskazówkę znajdujemy u proroka Jeremiasza: „Głos w Ramah się rozlega, łkanie, płacz gorzki! Rachel płacze za dziećmi swojemi, nie daje się utulić po dzieciach swoich, bo niemasz już żadnego!" (Jr 31, 15; Cylkow). Kilka miejscowości w Izraelu nosi nazwę Rama, tutaj chodzi o tę w dziale ziemi należącym do potomków Beniamina, młodszego syna Pramatki. Rachela zostaje pochowana z dala od siedzib ludzkich, by – gdy nadejdzie czas – wesprzeć potrzebujących jej pomocy Izraelitów. Wiedzeni przez babilońskiego generała Nebuzaradana, przechodzą oni wiele setek lat później obok jej grobu. Dowódca armii Nabuchodonozora prowadzi ich do Babilonii na wygnanie.

Midrasz utrzymuje, że w owym czasie Patriarchowie i Matriarchinie oraz Mojżesz błagają Najwyższego, by nie dopuścił do przesiedlenia ludu z jego ziemi. Wspominają swoje bohaterskie czyny, próbując w ten sposób wzbudzić Boże miłosierdzie nad Dziećmi Izraela. Spośród wstawienników dopiero Rachela otrzymuje odpowiedź: „Powstrzymuj głos twój od płaczu, a oczy twe od łez; bo jest nagroda za trud twój, rzecze Wiekuisty, a wrócą z ziemi wroga!" (kolejny wers). Jaki „trud"? Kobieta heroicznie oddała swojej siostrze Lei pierwszeństwo w poślubieniu zakochanego wszak po uszy w Racheli Jakuba. A potem jeszcze zgodziła się, by to Lea, a nie ona, spoczęła w rodzinnym grobowcu obok ślubnego.

Najwyższy zapewnia Pramatkę Rachelę, że jej uprowadzone w niewolę dzieci „wrócą z ziemi wroga". Po dotychczasowych wymianach zakładników w podziemnych korytarzach Strefy Gazy uwięzionych jest jeszcze około 20 izraelskich kobiet i 126 mężczyzn. „Tak, jest nadzieja dla przyszłości twojej, rzecze Wiekuisty, a wrócą dzieci do dziedziny swojej [hebr. *ligwulam*, dosł. w swoje granice]!". ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Tajemnica pewnej nocy

„Niebo z hukiem przeminie, ciała niebieskie spalą się doszczętnie, a także ziemia i wszystko, co jest na niej, zostanie spalone" – mówi Piotr Apostoł. Badacze z Uniwersytetu Wschodniej Anglii twierdzą, że nasza planeta jeszcze przez 1,75-3 mld lat będzie nadawać się do zamieszkania. To dużo, ale marna to pociecha. Wiele robimy, żeby te ponure zapowiedzi spełniły się wcześniej. Ludzie „tego plemienia" mogą tego dokonać.

Tak czy siak, Ziemia nie jest wyjątkiem: skoro zaistniała, to i przestanie istnieć. Ale w przyrodzie nic nie ginie, nie spieszmy się tak bardzo z mówieniem o końcu świata i końcu życia człowieka, czyli o unicestwieniu czegokolwiek i kogokolwiek. Nie zapominajmy o powiedzeniu: konie kują, żaba nogę podstawia. Przecież pękające w szwach biblioteki, te z regałami i te w chmurze, świadczą zarówno o ludzkiej bezradności w poznawaniu i opisywaniu świata, jak też o ludzkim marzeniu, żeby dotrzeć do „jądra ciemności" tego „rozpasanego niszczycielstwem" i oszałamiającym pięknem świata. Popatrzmy życzliwej zarówno na naukowców, jak i na zauroczonych baśniami, filozofią, teologią, sztuką, a przekonamy się, że wciąż więcej przed nami niż za nami i wciąż jest po co żyć.

„Skoro wszystko ma ulec zagładzie – mówi Piotr Apostoł – powinniście tym bardziej odznaczać się świętością i pobożnością. Wyczekujecie przecież, a nawet pragniecie przyspieszyć nadejście Dnia Bożego, kiedy to niebo się wypali i ciała niebieskie stopią".

Czyżby? Naprawdę chcemy przyśpieszyć koniec świata? Wygląda na to, że tak, skoro, jak mówi Piotr, „zgodnie z (Chrystusową) obietnicą" pragniemy „nowego nieba i nowej ziemi, gdzie zapanuje sprawiedliwość". „Dlatego, umiłowani – mówi dalej apostoł – oczekując tego wszystkiego, starajcie się, aby Pan zastał was w pokoju, bez skazy i nienagannych". Zapewnia też, że „Pan wcale nie zwleka z dotrzymaniem obietnicy, jak niektórzy sądzą". Skoro Bóg nie odłożył spełnienia obietnicy na potem, to znaczy, że już teraz ją realizuje. Nie wiemy, dlaczego Bóg tak ten świat urządza, jak urządza. Wiemy natomiast, że my, zamiast współpracować z Bogiem, przeszkadzamy Mu, jak możemy, a On nas nie odrzuca. Wciąż jest „cierpliwy i nie chce, aby ktokolwiek zginął. Pragnie, by wszyscy się nawrócili". Czyli uwierzyli, że „Bóg umiłował ten świat", z tego powodu Jego Syn stał się człowiekiem i wolał umrzeć, niż na nasze żądanie wynieść się z tego świata. Trudno o bardziej wiarygodne wyznanie miłości. Na tym pewnie polega tajemnica betlejemskiej nocy. Bóg jest i nie może nie być i nie ma co na Niego czekać. Nie zmuszajmy Go, aby On czekał na nas.. ©

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Rybacy

Zależy tylko od mojego pragnienia, czy coś jest błotem, czy Bogiem.

SIMONE WEIL

Modlitwa powinna przyprowadzić nas do ołtarza, gdzie nie ma ani ścian, ani nazw.

RABIA AL BASRI

Pójdźcie za Mną, a uczynię was rybakami ludzi!" (Mt 4, 19) – powiedział Jezus do Piotra i Andrzeja, powołując ich na swoich pierwszych uczniów i przyszłych apostołów. Czy tak się przypadkiem stało, że owi pierwsi kandydaci trudnili się akurat rybołówstwem?

A może raczej odwrotnie: to nie przypadek, lecz świadomy wybór Jezusa, może właśnie szukał pierwszych apostołów wśród rybaków? Bo chciał pokazać, że ich praca i pasja najlepiej oddają fundamentalne reguły Królestwa Bożego i jego krzewienia?

Właśnie. Zanim pasterz i owce; zanim siewca i ziarno; zanim rolnik i pole – rybacy i połów. Pierwszy model, zadany nam wszystkim na samym początku Jezusowej publicznej działalności.

Co to za model?

O tym Mateuszowy Jezus mówi dziewięć rozdziałów później, we fragmencie Mowy o Królestwie Niebieskim – mowy zbudowanej z serii przypowieści. Wśród nich jest i ta: „Królestwo niebieskie podobne jest do sieci zarzuconej w morze i zagarniającej ryby wszelkiego rodzaju. Gdy się napełniła, wyciągnęli ją na brzeg i usiadłszy, dobre zebrali w naczynia, a złe odrzucili. Tak będzie przy końcu świata: wyjdą aniołowie, wyłączą złych spośród sprawiedliwych i wrzucą ich w piec rozpalony; tam będzie płacz i zgrzytanie zębów" (Mt 13, 47-50).

Rybak rzuca sieci: tak naprawdę nie wie, co przyniesie połów, i czy coś w ogóle – to, co wyciąga z wody, jest dla niego tajemnicą. Nie przebiera w rybach, dokąd sieć jest zanurzona, zagarnia ryby dobre i złe, małe i duże, spodziewane i niespodziewane. Rybak jest człowiekiem wielkiej pracy i jeszcze większej nadziei. Na koniec ryby zostaną rozdzielone i posegregowane, ale – Jezus mówi o tym wyraźnie – to już nie jest funkcja rybaków, lecz aniołów.

Ten pierwszy model (Królestwa i Kościoła) kryje w sobie cały szereg przepięknych balansów: wezwanie do pracy, w której jednak nie wszystko od nas zależy; otwartość i powszechna nadzieja, które nie kłócą się z ostateczną oceną, sądem i możliwością bycia odrzuconym; łowienie ryb, które ostatecznie wcale do nas nie należą i nie przez nas będą oceniane. Każde z tych napięć jest samo w sobie piękne i twórcze.

I na koniec: łodzi rybackiej i sieci zarzuconej w morze nie da się obsłużyć w pojedynkę. Nawet Piotr nie jest w stanie wypłynąć sam na połów: potrzebuje Andrzeja i zespołu współpracowników – nie znamy ich z imienia, ale bez nich zadanie jest niewykonalne. To właśnie jest reguła: nikt nie może skutecznie ewangelizować w pojedynkę. Nawet papież. Ewangelizuje zawsze Kościół. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (10 – 17 XII)

2. niedziela Adwentu: Iz 40, 1-5. 9-11; Ps 85; 2 P 3, 8-14; Mk 1, 1-8;
Poniedziałek: Iz 35, 1-10; Ps 85; Łk 5, 17-26;
Wtorek: Iz 40, 1-11; Ps 96; Mt 18, 12-14;
Środa: Iz 40, 25-31; Ps 103; Mt 11, 28-30;
Czwartek: Iz 41, 13-20; Ps 145; Mt 11, 11-15;
Piątek: Iz 48, 17-19; Ps 1; Mt 11, 16-19;
Sobota: Syr 48, 1-4. 9-11; Ps 80; Mt 17, 10-13;
3. niedziela Adwentu: Iz 61, 1-2a. 10-11; Łk 1; 1 Tes 5, 16-24; J 1, 6-8. 19-28.

Wybrał PIOTR SIKORA

KRAJ

NA SCENIE SEJMU

Transmisje z Wiejskiej okazały się dla wielu Polaków hitem. Co właściwie oglądamy?

DARIUSZ KOSIŃSKI

„Sejm stał się teatrem!" – wołają ze zgrozą zwolennicy większości odchodzącej, podczas gdy osoby popierające większość nadchodzącą mówią z zadowoleniem o udanym serialu, a nawet całej platformie seriali (Sejmflix). Niewątpliwie: pierwsze posiedzenia izby niższej parlamentu nowej kadencji przodują w rankingach oglądalności. Według danych portalu Wirtualnemedia.pl do 22 listopada średnia widownia wszystkich transmisji na trzech wiodących antenach wyniosła 1,99 mln osób, co przełożyło się na 31,05 proc. udziału w rynku telewizyjnym wśród wszystkich widzów, 17,14 proc. w grupie 16-49 oraz 19,37 proc. w grupie 16-59. Równocześnie liczba subskrybentów kanału sejmowego na YouTubie przekroczyła 300 tys., a poszczególne posiedzenia na żywo ogląda czasem niemal 100 tys. osób.

Skąd ten fenomen? Co się takiego stało, że posiedzenia Sejmu RP, które wcześniej też przecież bywały „teatrem" i „serialem" (częściej jednak „cyrkiem", „farsą" i – na drugim biegunie – „thrillerem") nagle stały się tak spektakularnie atrakcyjne, a jako przedstawienia uznawane są za coś istotnie nowego i ożywczego?

Szymon mówi: show

Większość komentatorów nie ma wątpliwości – aktorem (w sensie etymologicznym – sprawcą) zmiany jest nowy marszałek Sejmu Szymon Hołownia. Pisze się i mówi wiele o jego opanowaniu, umiejętności szybkiej riposty, kulturze osobistej, rozległym doświadczeniu medialnym. Wszystko to słusznie: zwłaszcza w zestawieniu z czysto urzędniczym stylem pozbawionej charyzmy poprzedniczki, Elżbiety Witek, Hołownia stworzył nową wersję roli marszałka jako postaci wyrazistej, o decydującym głosie, będącej mocnym pro- i/lub antagonistą poszczególnych grup sejmowych. Wydaje mi się jednak, że na popularność posiedzeń Sejmu decydujący wpływ ma inny aspekt, który w języku badań nad widowiskami nazwać by trzeba poziomem „meta". Hołownia nie wprowadził do Sejmu teatralności czy spektakularności – ona była tam od zawsze. Wprowadził natomiast wyrazistą ramę metawidowiskową.

Polega ona – najprościej mówiąc – na wbudowaniu w samo widowisko elementów ujawniających jego „sztuczność", tworzących dodatkowy poziom pozwalający na bardziej zdystansowane,

TOMASZ JASTRZĘBOWSKI / REPORTER

Marszałek Sejmu Szymon Hołownia podczas konferencji prasowej w Sejmie, Warszawa, 23 listopada 2023 r.

analityczne spojrzenie i poddanie głębszej refleksji ukazywanych zjawisk i procesów. Kreowana przez nowego marszałka „metasejmowość" opiera się, jak dotąd, przede wszystkim na trzech elementach: ujawnianiu w trakcie widowiska zasad, na jakich opiera się jego konstrukcja, dystansowaniu się do jego bieżącego przebiegu (nawet, a wręcz szczególnie, w chwilach silnego napięcia) poprzez analityczne komentarze budujące „efekt osobliwości", oraz na odwoływaniu się do zewnętrznego spojrzenia widzów jako najwyższej instancji.

Wszystkie trzy elementy widać było wyraźnie w czasie posiedzenia 14 listopada, gdy marszałek musiał zmierzyć się z wymierzoną w jego nową pozycję akcją PiS, zakłócającą przebieg obrad poprzez zgłaszanie się kolejno do głosu ministrów poprzedniego rządu Mateusza Morawieckiego. Gdy domagali się go ministrowie Ziobro i Czarnek, Hołownia przebijając się ponad okrzyki prawej części sali, przypomniał równie niezadowolonej części lewej, jakie są wspólnie przyjęte zasady regulaminu, i głosu obu udzielił, przypominając jednocześnie regułę kolejną – czas wystąpienia to trzy minuty (wokół niej właśnie rozegrała się spektakularna scena z Ziobrą rozwścieczonym, gdy nowa większość zaczęła mu wyliczać ostatnie 10 sekund). Po strategię ujawnienia zasad marszałek sięgnął też, gdy Czarnek dorwawszy się do głosu zaczął od obraźliwej prowokacji („Panie marszałku rotacyjny"). Hołownia przerwał mu odwołując się do autorytetu izby, a po zakończeniu wystąpienia wyraził ubolewanie nad sposobem pojmowania i praktykowania parlamentaryzmu.

Ten moment jawnie „dydaktycznego" pouczenia ujawnił jednak słabość pierwszej strategii „meta". Stosowana dłużej, musi się odwołać do poziomu zasad etycznych, które oczywiście podlegają interpretacji będącej polem konfliktu, co sprawia, że marszałek staje się elementem fabuły przedstawienia. Dokładnie o to chodziło antagonistom Hołowni, który działając jako „nauczyciel" wpisywał się niejako w ich scenariusz, umacniania dwubiegunowej opozycji. O talencie marszałka świadczy to, jak szybko się zorientował w swoim błędzie. Gdy Czarnek po raz kolejny wymusił dopuszczenie go do głosu, Hołownia natychmiast zmienił styl na zdystansowany i ironiczny: wejście czołowego bulteriera PiS ↦

↦ na mównicę przywitał słowami „marszałek rotacyjny widzi”, a gdy Czarnek zadeklarowawszy, że chce wygłosić „jedno zdanie” wyrzucił z siebie całą serię emocjonalnych ataków, podsumował jego występ słynnym już bon motem: „pana definicja jednego zdania nie jest znana gramatyce polskiej”.

To jeden z celniejszych przykładów użycia strategii drugiej – kontrastowego budowania dystansu i wytwarzania „efektu osobliwości”. Ten ostatni, przypomnę, to rewolucyjne odkrycie Bertolta Brechta, który rozpoznał, że nowożytny teatr dramatyczny i wzorowane na nim widowiska polityczne (w jego przypadku – nazistowskie) opierają się na mechanizmie zaangażowania emocjonalnego, przeżywania. Siła aktorskiego przeżycia wywołuje „efekt prawdy”, przekonując widzów o realności zaangażowania i idei głoszonych przez spektakl. Brecht proponował radykalne zerwanie z tym mechanizmem emocjonalnej identyfikacji poprzez włączenie w przebieg przedstawienia krytycznych komentarzy rozbijających go i sprawiających, że widownia nie będzie współodczuwać i ulegać iluzji, ale zacznie myśleć i rozpoznawać rzeczywiste zjawiska i procesy.

W praktyce, także współczesnej – artystycznej i życiowej, efekt osobliwości wytwarzany jest najczęściej przez błyskotliwie ironiczne, a przy tym kontrastowe branie w nawias lub wychodzenie poza emocjonalnie naładowaną sytuację. I tak właśnie realizuje go Hołownia. Widać to zwłaszcza na przykładach jego podsumowań wystąpień polityków prawicy, pełnych emfazy, napuszenia i „wysokich” porównań. Gdy nabrzmiały wręcz od świętego oburzenia były wiceminister Wójcik grzmi, że pojawienie się nowej opozycji jest jak wejście Hunów do „tej izby”, Hołownia natychmiast przekuwa nadęty balon dziękując za wystąpienie pełne historycznych aluzji, które podniosło poziom debaty. Balon flaczeje, Wójcik staje się memem.

Sprawdziwszy skuteczność tego typu metaramowania, na kolejnym posiedzeniu marszałek jeszcze śmielej postępuje w odniesieniu do groteskowego wręcz w napuszonej powadze Marka Suskiego, od początku traktując jego szarżę jak wypadek poza konwencją („W jakim trybie znalazł się pan przed obliczem Wysokiej Izby”), dosłownie uniemożliwiając jej wybrzmienie i puentując niespodziewanym odwołaniem do widzów („to nie ja, ale to wy przed obliczem miliona Polek i Polaków pokazujecie, jak wygląda dzisiaj parlamentaryzm”).

To ostatnie odwołanie stanowi twórcze nawiązanie do zbanalizowanego już do bólu sejmowego pokrzykiwania, że „wyborcy patrzą”. Tym razem bowiem nie tylko patrzą, ale mają w obrębie przedstawienia swoistego „obrotowego” – aż chce się powiedzieć „rotacyjnego” – spekt aktora (kluczowy termin „teatru uciśnionych” Augusto Boala), który uczestnicząc w wydarzeniach swoim tonem dystansuje się od nich i jednocześnie wystawia je już w odpowiednio opracowanej ramie, wskazując widzom, z jakiej perspektywy na nie patrzeć. Przywołując z kolei dawne kategorie teatralne, można by powiedzieć, że Hołownia jest w tym przedstawieniu rezonerem, a więc postacią reprezentującą głos autorski i wyznaczającą „właściwy” punkt widzenia. Przy czym i owym punktem, i „autorem” jest uogólniona demokracja, do której marszałek wielokrotnie się odwołuje.

Wiejska: teatr performatywny

Pisząc o zmianie stylu i konwencji sejmowego przedstawienia nie sposób pominąć kontekstu czasu i sytuacji. Trudno mieć wszak wątpliwości, że obecne wzmożenie wynika w znacznej mierze z sytuacji powyborczego *interregnum*. Na skutek decyzji Andrzeja Dudy polityka przechyliła się na swoją stronę retoryczną i symboliczną, ujawniając się jako spektakl, który nie ma znaczenia dla rzeczywistości obywateli. Parlament toczy widowiskowe pojedynki statusowe, rządu sprawującego realną władzę nie ma i jeszcze chwilę nie będzie, a przecież sprawy się toczą, życie biegnie swoim rytmem i jakoś wszyscy dajemy sobie radę. Rodzi się więc podejrzenie, że przypisywanie polityce związku z realnością nie ma podstaw, że są to jedynie – jak powtarza do znudzenia prawica – „igrzyska” urządzane przez nową większość, która nie chce lub nie potrafi zająć się prawdziwymi problemami.

Taka diagnoza sama się jednak skompromitowała, gdy prezydent Duda z premierem Morawieckim wystawili najbardziej jasełkowe widowisko polityczne ostatnich dekad, czyli zaprzysiężenie rządu w dniu 27 listopada. Wszyscy biorący w nim udział sprawiali wrażenie osób animowanych cudzymi rękoma, co jeszcze podkreślali pozując do zdjęć w trakcie podpisywania swych nominacji. Mechanicznie biegające od prawej do lewej źrenice oczu prezydenta kojarzyły się z teatrem kukiełek poruszanych przez ukrytego animatora.

Właśnie w tym momencie trzeba zwrócić uwagę na zasadnicze nieporozumienie związane z używaniem terminologii teatralnej w odniesieniu do polityki. W przypadku przedstawień politycznych o „teatrze” (a w sytuacjach krańcowych „kabarecie” i „cyrku”) mówi się przecież, by odebrać im związek z rzeczywistością, do jakiego z definicji polityki jako umiejętności sprawowania władzy, rządzenia, aspirują. Stwierdzenie „obecne posiedzenia Sejmu to (tylko) teatr” oznacza, że przedstawienie, owszem, może i jest atrakcyjne, posiada szczególny naddatek retoryczno-widowiskowy, który ma przyciągnąć (i odwrócić) uwagę widzów, ale pozbawione jest sprawczości. Ponadto sugeruje, że to, co wystawione na widok, jest fikcją, realne działania zachodzą za „kulisami”, a główni aktorzy tylko udają osoby, którymi naprawdę nie są (klasyczny przykład – rzekomo sympatyczny Donald Tusk, którego prawdziwą naturę zdradzają „wilcze oczy”).

Tymczasem jeśli serio mówić o teatralności polityki, to trzeba uświadomić sobie, że już od ćwierćwiecza jednym z najważniejszych nurtów teatralnego mainstreamu w Polsce jest zjawisko określane kiedyś mianem „nowego teatru”, potem „teatru postdramatycznego”, a jeszcze potem (może w interesującym nas tu kontekście najciekawszym) terminem „autoteatr”, ukutym przez Joannę Krakowską. Nie wchodząc w subtelne rozróżnienia, powiedzieć można, że ten „nowy teatr” rezygnuje z tradycyjnej iluzji i fikcji na rzecz aktywnego, często demonstrowanego z wykorzystaniem różnych strategii „meta-”, poszukiwania sposobów jak najskuteczniejszego wpływania na rzeczywistość.

Teatr nie twierdzi, że na nią wpływa w sposób prosty i bezpośredni, ale szuka swojej sprawczości przez rezygnację z tradycyjnej dramatyczności na rzecz świadomego wykorzystania sił performatywnych. W tym teatrze kanoniczny, rozpoznawalny tekst, postać, fabuła, figura pojawiają się, ale jako element narzędziowni,

PAWEŁ SUPERNAK / PAP

Powołany i zaprzysiężony rząd Mateusza Morawieckiego, Warszawa, 27 listopada 2023 r.

część rozległego repertuaru taktyk wykorzystywanych przez twórców występujących we własnym imieniu, a często wręcz „grających" samych siebie. Jedną z jego podstawowych zasad jest przy tym zmienność, brak klasycznej spójności i dążenie do wytworzenia krytycznego stosunku widzów na drodze wywoływania różnorodnych efektów osobliwości.

Przyjemność oglądania porażki

Jeśli Sejm miałby być teatrem, to raczej takim właśnie. Nie przeceniając jego krytycznego ostrza, głębi refleksji i zdolności do autonamysłu (te w stopniu zdecydowanie większym przynależą praktykom artystycznym), trzeba zauważyć, że i na politycznej, i na artystycznej scenie współczesnej niemal nieustannie odbywa się proces negocjowania pola sprawczości i możliwości określania granic „twardej rzeczywistości" oraz prawa do ustanawiania relacji między nią a działaniami „scenicznymi".

Tego właśnie dotyczyło spięcie sprowokowane na samym początku obrad Sejmu 28 listopada przez przechodzącego do kontrataku premiera Morawieckiego. Dzień po wzięciu udziału w spektaklu prezydenckich nominacji, podjął on próbę odzyskania własnej realności, występując z apelem o zajęcie się czterema kluczowymi „polskimi sprawami", czyli czekającymi na procedowanie ustawami dotyczącymi utrzymania zerowej stawki VAT na żywność, wakacji kredytowych, emerytur stażowych i niskich cen energii. Te konkretne, realne kwestie przeciwstawił sejmowym „igrzyskom", w roli reprezentanta spektaklu osadzając oczywiście Szymona Hołownię poprzez odwołanie do jego zapowiedzi, że trzeba kupować popcorn, i oskarżenie, że przetrzymuje wspomniane akty prawne.

Marszałek odpowiedział błyskawicznie, punktując premiera i jego środowisko za brak funkcjonowania Sejmu przez dwa i pół miesiąca oraz informując, w jakim stadium są, zgodnie z przepisami, procedury dotyczące wszystkich czterech ustaw. Pokazał się w ten sposób nie tylko jako showman, ale też jako reżyser panujący nad relacjami widowiska i rzeczywistości, jednocześnie po raz kolejny wskazując, że tej władzy – wbrew deklaracjom – Morawiecki jest pozbawiony, ponieważ nie ma zasadniczego warunku fortunności swoich wystąpień, jaką jest większość parlamentarna.

W obrębie sejmowego teatru performatywnego to ona ostatecznie ma moc rozstrzygającą i to jej posiadanie decyduje o wpływie przedstawienia na rzeczywistość. PiS próbuje ten związek zanegować, szukając innych mechanizmów – jak dotąd nieskutecznie. Obecna sytuacja jest więc paradoksalna: to ugrupowanie operujące argumentami „z rzeczywistości" jawnie wytwarza fikcję i walczy o jej uznanie. Kolejne porażki PiS tworzą podstawową w tej fazie lekcję sejmowego teatru: demokracja jako władza większości jest realna, a przedłużające się zabiegi prawicy o zanegowanie tej zasady jedynie umacniają to rozpoznanie.

Jarosław Kaczyński w swym strategicznym przewidywaniu nie wziął chyba pod uwagę, że przedłużający się spektakl politycznej nieskuteczności jego partii i niefortunności wystąpień jej protagonistów może przynieść więcej szkody niż pożytku. Nie ma chyba badań na ten temat, ale na podstawie komentarzy pod transmisjami i filmikami na YouTubie można postawić tezę, że jednym z powodów popularności transmisji z obecnego Sejmu jest satysfakcja, jaką po ośmiu latach pisowskiej pychy mogą czuć przeciwnicy tego ugrupowania, oglądając ośmieszanych partyjnych bulterierów i konstatując kolejne przegrane przez Kaczyńskiego głosowania. Performatywność teatru sejmowego realnie podmywa wiarę w sprawczość formacji do niedawna niepodzielnie rządzącej, a nadzieje, że „jesień wasza – wiosna nasza" także na jej skutek okazać się mogą płonne.

Oczywiście w mocy pozostaje pytanie, jak długo ta sytuacja się utrzyma i czy po powołaniu rządu Tuska, gdy to PiS będzie mógł występować w wygodnej roli bezkompromisowej opozycji, teatr sejmowy nie zmieni wektorów napięć, relacji między pro-i antagonistami, a przede wszystkim – czy kluczowa rola Hołowni nie zblaknie lub nie okaże się zbyt jednostajną.

Trudno wierzyć, że oglądalność Sejmu utrzyma się na obecnym poziomie. Niemniej w świecie wielogodzinnych streamingów rzeczy o wiele nudniejszych niż posiedzenia parlamentu, przedstawienie sejmowe może znaleźć na stałe swoje poczesne miejsce, tyle że nie wśród gatunków teatralnych, a raczej w różnorodnym zbiorze widowisk tworzących osobny rodzaj „*reality shows*" – bardzo popularnych właśnie dlatego, że stosując jaskrawe przerysowania wydobywają ukryte mechanizmy i aspekty rzeczywistości, ucząc jej skutecznego ustanawiania. Oznaczałoby to paradoksalnie, że Szymon Hołownia wróciłby do świata, który dał mu masową popularność. Sądzę jednak, że zanim to nastąpi, wykona następny krok i gdzie indziej ustanowi scenę własnej sprawczości.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

Granica przyjaźni

TEKST I ZDJĘCIA MAREK RABIJ

Z kryzysu na wschodniej granicy, gdzie ruch ciężarówek blokują polscy kierowcy, będzie jeden pożytek. Politycy w Warszawie mogą się już teraz przekonać, co oznacza wejście Ukrainy do Unii Europejskiej.

Jak po waszemu będzie bardak? Bałagan? – upewnia się otwierając drzwi kabiny. – Bo ja w trasie jestem trzeci tydzień. Czyste ubrania dawno się skończyły, a wyprać nie ma gdzie. Zresztą, jaki sens prać, jak nie idzie się też umyć. Trochę tu już śmierdzi – zaznacza, uśmiechając się przy tym nieśmiało.

Na dolnym łóżku, za fotelem kierowcy, leżą zwinięta kołdra i dwie poduszki. Obok złożony starannie w kostkę koc w biało-czerwono-niebieskie kwadraty, a na nim laptop. Górne, dla ewentualnego zmiennika, zajmują ubrania. Część spakowana w czarne plastikowe worki na śmieci, reszta ciśnięta luzem między torby. Z krawędzi teatralnie zwisa rękaw buraczkowego swetra, który Iwan z przepraszającą miną przerzuca na łóżko. Szybkim ruchem zgarnia jeszcze porozrzucane po kokpicie opakowania po słodyczach i przejeżdża dłonią po przetłuszczonych włosach.

– No dobra – rozgląda się po kabinie. – Czyściej tutaj już nie będzie. Siadaj, pogadamy.

Ruszyć można tylko do przodu

Migające opodal światło policyjnego koguta podświetla na niebiesko arabeskę szronu, który osiadł na przedniej szybie jego ciężarówki. Od kilku dni Iwan oszczędza paliwo i ogrzewanie postojowe włącza tylko na chwilę przed snem. Polski radiowóz stoi za to na poboczu parkingu z włączonym na okrągło silnikiem; to również pokazuje zziębniętym ukraińskim kierowcom, kto tu jest na wygranych pozycjach. W gruncie rzeczy, podkreśla Iwan, funkcjonariusze marnują czas. Interesuje ich tylko to, żeby między kolejnymi konwojami na pobliskie przejście graniczne Korczowa-Krakowiec nie odjechała z parkingu żadna ciężarówka. Ale pilnować nie muszą. Nikt nie zaryzykuje i nie opuści miejsca w kolejce. Parking jest zresztą tak zatłoczony, że ruszyć można jedynie do przodu, gdy inne auto zwolni miejsce na taki manewr.

Na odjazd czeka tu ze czterysta tirów. Kilkaset innych, które nie zmieściły się na parkingu, stanęło wzdłuż drogi prowadzącej w kierunku przejścia granicznego. Setki kolejnych policja odkonwojowała na parkingi przy autostradzie A4, zanim dotarły w pobliże granicy z Ukrainą. Łącznie – twierdzi Iwan – na odprawę czeka tu około 2200 samochodów.

– Za jakieś osiem minut – tłumaczy, zerkając przy tym na zegarek – podjedzie tu inny radiowóz i zabierze trzy samochody z przodu kolejki. Z drugiego parkingu opodal odjadą cztery, bo strajkujący na przejściu przepuszczają do odprawy po siedem ciężarówek na godzinę. Chłopaki, którzy teraz szykują się do odjazdu, zajechali na ten parking dwanaście dni temu. Ci, którzy przyjadą tu dzisiaj, według naszych wyliczeń przekroczą granicę za około dwadzieścia dni. Chyba że Polacy w końcu zaczną puszczać więcej aut – posyła badawcze spojrzenie.

Iwan ma 38 lat. Kierowcą zawodowym jest od dwunastu. Urodził się i wychował pod Lwowem. Nieźle mówi po polsku, ale nie rozumie, dlaczego od kilku tygodni polscy koledzy blokują przejścia graniczne z Ukrainą. – My się przecież z wieloma waszymi chłopakami znamy, często nawet pomagamy sobie w trasie. Tą blokadą sobie teraz nawzajem tylko szkodzimy. Jak my nie jeździmy, *gruz* nie krąży – Iwanowi tym razem wylatuje z pamięci, jak po polsku jest ładunek – i Polacy też nie zarabiają. Wasi politycy powinni siąść z naszymi i się dogadać. Bo odmawiać dostępu do europejskiego rynku nam nie możecie. My już na niego wjechaliśmy, tak jak wcześniej wy. A wracać za bardzo nie mamy dokąd.

Ukrainiec jedzie taniej

Punkt kontrolny strajkujących polskich kierowców stoi u wlotu wiaduktu, po którym zmierzające do odprawy ciężarówki przejeżdżają nad autostradą A4. Kilkaset ostatnich metrów Polski przed przejściem odgradza w tej chwili tylko biało-czerwona plastikowa taśma przeciągnięta w poprzek jezdni i jeden drogowy pachołek ustawiony samotnie pośrodku. Obok, w zardzewiałej beczce płonie ogień, przy którym dłonie grzeje czterech mężczyzn i jedna kobieta. Za nimi prowizoryczny namiot, na którym wisi baner z żądaniami protestujących.

– Herbaty? – proponuje od razu jeden z gospodarzy miejsca. – Witamy media. Chętnie powiemy, dlaczego tu marzniemy, zamiast siedzieć w domu z rodziną. Może „Tygodnik Powszechny" ma na tyle odwagi, żeby opisać wszystko rzetelnie. Paru dziennikarzy już tu było, a potem zrobili z nas ruskie onuce.

Rzetelność – podkreślają strajkujący – wymaga, żeby przedstawić pełny kontekst ich protestu. Nie chodzi im wyłącznie o to, że dwa lata temu, po agresji Rosji na Ukrainę, Bruksela zniosła pozwolenia dla firm transportowych z walczącego o niepodległość państwa i w ten sposób wpuściła na polski rynek ukraińską konkurencję. Ani nawet o zyski i zagrożone miejsca pracy w polskiej branży przewozowej, która z armią ok. 400 tys. kierowców i przychodami sięgającymi 180 mld zł rocznie jest najpoważniejszym graczem na wspólnym spedycyjnym rynku Europy.

Bardziej chodzi o reguły uczciwej, wolnorynkowej konkurencji, które Ukraińcy notorycznie łamią.

– Powiedzą pewnie panu, że robią teraz dokładnie to samo, co my Polacy robiliśmy na zachodzie Europy kilkanaście lat temu – jeden z mężczyzn przy ognisku zaciąga się papierosem. – Ale jak wchodziliśmy do Niemiec, musieliśmy nauczyć się przestrzegać niemieckich przepisów. Warunki dla wszystkich były więc takie same, a że myśmy byli tańsi, to wygrywaliśmy. Oni teraz są tańsi od nas, owszem, ale dlatego, że przepisy olewają.

Przykłady? Mężczyzna z papierosem chętnie je przedstawi, ale woli nie poda-

Ukraińscy kierowcy na parkingu niedaleko Korczowej, 29 listopada 2023 r.

wać nazwiska. Jest właścicielem niewielkiej firmy transportowej z Podkarpacia, która od lat jeździ do Ukrainy. Kiedy jego kierowca wiezie transport np. z Kijowa do Gliwic, do polskiej granicy dociera po około ośmiu-dziewięciu godzinach. Zgodnie z unijnymi przepisami powinien więc już zjechać na obowiązkowy odpoczynek. Ukrainiec tę samą trasę pokonuje w podobnym czasie, tyle że na granicy urzędnik naszych sąsiadów podbija mu lewe zaświadczenie, że wymagany postój odbył po tamtej stronie. Z takim papierem może legalnie jechać kolejne dziewięć godzin, jedynie z wymaganą 45-minutową przerwą w połowie. A tachograf włącza dopiero po przekroczeniu polskiej granicy.

– W transporcie liczy się czas, bo auto nie zarabia, jak stoi – ciągnie właściciel firmy. – Oni swoich kierowców eksploatują do granic możliwości, a nam odbierają chleb. Samochód dociera do Polski z transportem, rozładowuje się tuż przy granicy i Ukrainiec z kolejnym ładunkiem rusza od razu dalej. Najczęściej w głąb Polski albo i na zachód Europy. Coraz częściej wjeżdżają nawet „na pusto", z fikcyjnymi kwitami, tylko po to, żeby wziąć u nas zlecenie. Dostają je, bo Ukrainiec pojedzie nawet za stawkę niższą o jedną trzecią od polskiej, i to samochodem, który niekiedy trzyma się na słowo honoru, bo przeglądy rejestracyjne ma wbite na lewo. Paliwo też mają tańsze niż w Polsce, a my im jeszcze je dowozimy jak frajerzy, bo to niby idzie dla wojska. Chłopaki z Ukrainy mówią czasem szczerze, jak naprawdę jest. Tankują prosto z cystern kolejowych.

Właściciel firmy transportowej jest rozżalony i skrajnie zmęczony. O tym wszystkim przedstawiciele branży informowali przecież nasz rząd od miesięcy. W Warszawie trwała już jednak kampania wyborcza i nikt nie chciał słuchać o problemach kierowców. Z Inspekcji Transportu Drogowego poszła nawet sugestia, żeby dać sobie spokój, bo dokładniejszych kontroli ukraińskich ciężarówek nie ma i nie będzie. Władza nie chce kolejnego konfliktu z Kijowem.

– Tylko ludzie z Konfederacji nie zawiedli – mówi właściciel firmy transportowej, sięgając po kolejnego papierosa.

Kto na tym zyska, panowie

– A wie pan, kiedy byłem ostatni raz na tej granicy? – chłopak w brązowym polarze energicznie dorzuca do ognia kolejną kłodę. – W lutym 2022 roku. Aż z Wrocławia wieźliśmy pomoc dla uchodźców, kupioną z pieniędzy zebranych przez Młodzież Wszechpolską. Też do niej należę. I nie znoszę, jak się z nas robi ukrofobów. Nie mam nic do Ukraińców, dzielny naród. Ale też sprytny. Daliśmy się mu zrobić jak dzieci.

Sytuacja polskich przewoźników stanowi, jego zdaniem, doskonałą ilustrację „polityki naiwności", oczywiście w wykonaniu Warszawy. Mówi, że rząd PiS-u chyba sam uwierzył we własne zaklęcia o nowym rozdziale historii polsko-ukraińskich stosunków.

– Nikt o zdrowych zmysłach nie twierdzi, że Ukrainie nie trzeba było pomóc – podkreśla wszechpolak. – Trzeba było jednak od razu stawiać warunki. Nie zgadzać się na wszystko, czego zażąda Kijów. Oni prowadzą racjonalną politykę w stosunku do nas, biorą, czego potrzebują, i dają w zamian absolutne minimum. My na odwrót. Oddaliśmy im jedną trzecią uzbrojenia i co mamy w zamian? Nawet za Wołyń nie potrafią przeprosić. Kiedy pojawiły się pierwsze oznaki zagrożenia dla polskich kierowców, rząd powinien był od razu zamknąć granice i powiedzieć, że wznowi ruch, jak Kijów ogarnie swoje firmy transportowe.

– Albo z Brukselą gadać o tym problemie – dorzuca właściciel firmy spedycyjnej.

– Nie – kontruje z miejsca obecny na blokadzie drugi konfederata. – Bruksela, drogi panie, palcem w waszej sprawie nie kiwnie.

Przedstawiciele Konfederacji starają się nie grać pierwszych skrzypiec na blokadzie. To protest kierowców, podkreślają, a oni jedynie służą pomocą. Merytoryczną, kiedy trzeba objaśnić skomplikowane zagadnienia prawne, albo doraźną – choćby jak dzisiaj, kiedy mróz na granicy tęgi i trzeba dowieźć drewna na opał. Kawa też się sama nie zaparzy. Obserwując atmosferę punktu protestacyjnego, ↦

IWAN, *kierowca TIR-a od 12 lat: Chłopaki, którzy teraz szykują się do odjazdu, zajechali na ten parking dwanaście dni temu. Ci, którzy przyjadą tu dzisiaj, przekroczą granicę za około dwadzieścia dni. Korczowa, 29 listopada 2023 r.*

↦ nie sposób jednak nie zauważyć, że ludzie Bosaka i Mentzena chcą pełnić w nim również funkcję moderatorów nastrojów protestujących. W pewnym momencie rozmowa przy ognisku skręca w stronę motywów stojących za decyzją o zniesieniu wymogu uzyskiwania unijnych pozwoleń przez przewoźników z Ukrainy. Ktoś zauważa, że urzędnicy w Brukseli mogli po prostu nie doszacować konsekwencji takiej decyzji dla wspólnego rynku transportowego – ten argument natychmiast zderza się z oficjalną wykładnią Konfederacji.

– Ależ to znacznie prostsze – zapewnia jeden z nich. – Pomyślcie, panowie, kto na tej decyzji zyskał. Niemieckie i francuskie firmy przewozowe. Polski transport to dziś potęga, branża, która odpowiada za niemal 6 proc. PKB Polski. Łatwo policzyć: kilkadziesiąt miliardów euro rocznie. Jak tylko Ukraińcy wypchną Polaków ze wspólnego rynku transportowego, w Brukseli szybko przywróci się koncesje dla przewoźników spoza Unii i cały rynek będzie znów do wzięcia dla firm z Niemiec, Francji i Holandii. Ja wam, panowie, mówię – powtarza działacz. – Myślcie o tym, kto na tym najwięcej zyska.

Na swoich warunkach

Na Podkarpaciu, sądząc choćby po wyniku Konfederacji, która w ostatnich wyborach uzyskała tutaj wynik o ponad dwa punkty procentowe lepszy od ogólnopolskiego, tego typu argumenty padają na podatny grunt. Ich wyrazicielką jest także pani Celina Kobiel, właścicielka stojącego opodal domu, która częstuje protestujących ciepłą herbatą.

– Spokojnie, ukraińskim kierowcom też daję – zastrzega od razu – bo człowieka trzeba odróżnić od polityki.

Relacje polsko-ukraińskie, widziane z domu przy drodze prowadzącej do przejścia granicznego, pani Celinie jawią się jako zdecydowanie zdeformowane. Po 24 lutego 2022 r. Ukraińcy zalali, jak mówi, miejscowy rynek pracy. Biorą polski socjal i wykańczają polskie firmy. – W okolicy Korczowej „salony paznokci", które należały do Polek, padają jak muchy. Ukrainki pootwierały swoje, paznokcie robią taniej, a część z nich wcześniej się wyuczyła tego zawodu na szkoleniach opłacanych przez nasz samorząd. Gdzie tu sens? Albo te ich transporty humanitarne. Na granicę podjeżdża osiem nowiutkich niemieckich ciężarówek. W papierach mają wpisane, że to transport na potrzeby wojskowe. A wszystkie, cholera, czerwone, z paru kilometrów je widać, łatwe do zbombardowania, więc raczej nie są dla wojska. I potem jeszcze słyszę w radiu, że mer Lwowa narzeka, że Polska rzekomo ogranicza pomoc. Jak to taka pomoc, to pewnie, że trzeba ograniczyć – oburza się pani Celina.

Właściciel firmy transportowej do tej listy zażaleń dodałby jeszcze jedno. Do wybuchu wojny Ukraina stanowiła dla polskich przewoźników cenne źródło tanich pracowników. Z ponad 2,2 mld ton towarów przewożonych rokrocznie na terytorium Polski już przeszło połowę stanowi właśnie transport samochodowy, który dostarcza rocznie do odbiorców aż 1,4 mld ton. Jeszcze 10 lat temu jego udział w przewozach nie sięgał nawet 36 proc.

Rynek wciąż rośnie, ale liczbę nieobsadzonych etatów za kierownicami polskich tirów branżowe stowarzyszenia szacują na około 150 tysięcy. To między innymi skutek wojny w Ukrainie, po wybuchu której tysiące pracujących w Polsce Ukraińców wróciło do ojczyzny.

– A teraz wracają, tylko już na swoich warunkach, jako konkurenci, nie pracownicy – podkreśla właściciel firmy. – Z tego kryzysu będzie więc jeden pożytek. Politycy w Warszawie mogą się zawczasu przekonać, czym grozi Polsce członkostwo Ukrainy w Unii, o które tak zabiegają.

Do blokady podjeżdża radiowóz, za nim cztery ciężarówki na ukraińskich blachach. Za kierownicą ostatniej siedzi Jurij Kamiński z Tarnopola. – Trzy i pół doby stałem na tej granicy – mówi. – Poszło w miarę sprawnie, bo wiozę ryby, a jak masz towar, który się łatwo psuje, to chłopaki zarządzający kolejką przesuwają cię na przód.

Jurij regularnie kursuje między Tarnopolem, w którym mieści się firma jego pracodawcy, a krajami bałtyckimi. Tym razem wraca z Litwy.

– Polacy skarżą się, że im odbieramy zamówienia; że ukraińskie ciężarówki jeżdżą teraz nawet do Portugalii. Ale ja na przykład najdalej na zachód byłem w Lipsku. Gdyby nie ta zasrana wojna, na Litwę jeździłbym jak wcześniej, czyli przez Białoruś, bo to ze dwieście kilometrów krócej niż przez Polskę. Ale się nie da. Zrozumcie to.

Postscriptum

Nazajutrz po naszej wizycie na granicy przyjechał tam nowy minister infrastruktury Alvin Gajadhur. Po rozmowach z protestującymi obiecał zwiększenie kontroli ukraińskich ciężarówek i wznowienie rozmów w sprawie usprawnienia przez Kijów systemu e-odpraw dla polskich kierowców. Poinformował jednak, że Polska nie zamierza występować do Komisji Europejskiej o przywrócenie koncesji dla przewoźników.

©℗ MAREK RABIJ

Ukarane za macierzyństwo

STEFAN SĘKOWSKI

Dochody kobiet w Polsce są wciąż niższe niż mężczyzn. To efekt nie tylko prostej dyskryminacji, ale też rynku pracy zawłaszczającego prywatne życie oraz przyzwyczajeń społecznych.

Gdyby w Polsce obliczano Dzień Równości Wynagrodzeń, wypadałby koło 14 grudnia. Oznaczałoby to, że Polki – symbolicznie – do końca roku pracują już za darmo. To i tak lepiej niż ogółem obywatelki Unii Europejskiej, które mogą śmiało powiedzieć, że przestają otrzymywać wynagrodzenie 15 listopada (tak wynika z danych Eurostatu). Mężczyźni zarabiają bowiem w UE przeciętnie 12,7 proc. więcej niż kobiety, co przekłada się na półtorej miesięcznej pensji.

Według Eurostatu w Polsce luka płacowa między średnimi zarobkami kobiet i mężczyzn wyniosła w 2021 r. (to ostatnie dane) 4,5 proc. To jeden z najbardziej równych wyników w UE. Mniejsze różnice w płacach godzinowych występują tylko w Luksemburgu (tam kobiety zarabiają nawet o 0,2 proc. więcej niż mężczyźni), Rumunii (gdzie otrzymują o 3,6 proc. mniej) i Słowenii (3,8 proc.). Na drugim końcu tabeli znajdują się Estonia (20,5 proc.), Austria (18,8 proc.), Niemcy (17,6 proc.) i Węgry (17,3 proc.).

Czy zatem w Polsce nie występuje dyskryminacja zarobkowa ze względu na płeć? Niekoniecznie. Wskaźnik skorygowanej luki płacowej bierze pod uwagę różnice w płacach na tych samych stanowiskach, według takiego samego stażu pracy i wykształcenia. W UE bada się jednak jeszcze kilkanaście innych wskaźników tych nierówności. Polski Instytut Ekonomiczny przedstawił w raporcie „Sytuacja kobiet w Polsce z perspektywy społeczno-ekonomicznej" z kwietnia 2023 r. ich średnią za rok 2020 (niestety ze względów porównawczych dane przygotowywane są z opóźnieniem) i wyniosła ona w Polsce 10,4 proc., podczas gdy średnia unijna to 11 proc. Oznacza to, że kobiety wykonujące te same czynności co ich koledzy nie dostają za pracę mniej więcej co dziewiątej złotówki. Jak to możliwe?

Kobiety na traktory

Częściowo wynika to wciąż z klasycznej dyskryminacji – szefowie traktujący kobiety jako gorszy sort pracowników już na starcie proponują im niższe wynagrodzenie, i dotyczy to nie tylko biznesu, ale też kultury. Jak wykazała tegoroczna noblistka z ekonomii prof. Claudia Goldin, brak świadomości, że o pracę ubiega się kobieta, może wpływać na jej większe szanse przy naborze. W jednym z badań wykazała, że gdy podczas przesłuchań do orkiestry umieszczano kandydatów za zasłoną, komisja zaś słyszała jedynie muzykę, udział kobiet, które przeszły kwalifikację, był wyższy, niż gdy jej członkowie wiedzieli, jakiej płci są kandydaci. Jednak pozostałe jej analizy wykazały, że różnice w płacach między kobietami a mężczyznami wynikają przede wszystkim z innych czynników. Choć prace prof. Goldin dotyczą głównie USA, ich wyniki tłumaczą wiele zjawisk obecnych w naszym kraju.

Z licznych i różnorodnych jej badań można wysnuć spójną opowieść: dawno, dawno temu kobiety i mężczyźni zarabiali mniej więcej tyle samo, gdyż zdecydowana większość z nich wspólnie pracowała w polu – i później wspólnie konsumowała owoce tej pracy (choć i wtedy nie doceniano pracy kobiet w domu). Sytuację zmieniła rewolucja przemysłowa – z biegiem czasu w większości branż industrialnych zaczęli zarobkować głównie mężczyźni. W rodzinach podzielono się rolami – kobiety zajęły się głównie domem, mężczyźni zaś przynosili pieniądze.

Przełom na Zachodzie nastąpił w XX wieku, zwłaszcza w latach 60. i 70. Po pierwsze, na znaczeniu zaczęły zyskiwać usługi – w nich praca mięśni nie była tak istotna. Po drugie, coraz więcej kobiet przyjmowano na uniwersytety, przez co rosło ich wykształcenie oraz kompetencje, a w konsekwencji szanse na rynku pracy. Stopniowo przełamywano też opory wobec zatrudniania kobiet na stanowiskach odpowiadających ich edukacji. Po trzecie, wynalezienie antykoncepcji hormonalnej uniezależniło kobietę od jej biologii. Teraz to ona mogła w większym stopniu decydować o tym, czy i kiedy zajść w ciążę.

Paradoksalnie w Polsce proces ten zaszedł wcześniej. PRL promowała pracę zarobkową kobiet (czasem na siłę, np. budując „ślepe" kuchnie, by kobiety nie zajmowały się domem, a rodziny jadły w stołówkach pracowniczych), więc w ciągu całego okresu jej istnienia aktywność zawodowa kobiet wzrosła z 30 do 69 proc. Jednak część z nich była „aktywna" jedynie statystycznie. Według ekonomisty Józefa Nowickiego, który w 1990 r. oszacował poziom ukrytego bezrobocia w PRL, zatrudnienie aż 2 mln kobiet okazało się ekonomicznie nieuzasadnione. W efekcie po upadku komuny duża część z nich straciła pracę, i choć różne inne procesy sprawiły, że aktywność zawodowa kobiet sukcesywnie rośnie od lat 90., to nadal jest znacznie niższa od tej mężczyzn.

Chciwe miejsca pracy

Macierzyństwo, jak wynika z badań Goldin, odgrywa kolosalną rolę w przypadku kształtowania zarobków kobiet i mężczyzn, którzy na początku ścieżki zawodowej zarabiają mniej więcej tyle samo. Gdy jednak kobieta zachodzi w ciążę, zarobki mężczyzny rosną dalej, ale kobiety – spadają.

Ekonomiści nazywają to „karą za macierzyństwo", bo dziecko to szczęście, ale zarazem ogromny obowiązek. Przez pierwsze miesiące po jego narodzinach rodzic, niemal zawsze matka, wyłącznie się nim opiekuje. Pozostaje więc w tyle, jeśli chodzi o rozwój zawodowy, za swoimi bezdzietnymi koleżankami, i nie może w takim samym stopniu liczyć na podwyżkę, awans lub znaleźć lepiej płatne zatrudnienie. Później, kiedy wraca do obowiązków w pracy, nierzadko musi się zwalniać, by podjąć opiekę nad potomstwem, ↦

↦ np. w czasie choroby, jest też mniej dyspozycyjna i przepracowuje *de facto* mniej godzin. Częściej wybiera również pracę w mniejszym wymiarze godzin, a to przekłada się na wynagrodzenie. W tym samym czasie mężczyźni często dostają podwyżki (czyli „nagrodę za ojcostwo"). Większa rodzina potrzebuje dodatkowych środków, więc ojciec pracuje więcej.

W ostatnich kilku dekadach wzrosła aktywność zawodowa kobiet, ale nabyte przyzwyczajenia zmieniają się powoli. W praktyce to nadal kobiety wykonują główne obowiązki domowe i zajmują się dziećmi; w Polsce poświęcają na takie czynności średnio dwa razy więcej czasu niż mężczyźni. Z badania CBOS z 2018 r. wynika, że to do kobiet należy zazwyczaj pranie, prasowanie, przygotowywanie posiłków, sprzątanie i zmywanie naczyń. Domeną mężczyzn z kolei są drobne naprawy i zlecanie poważniejszych usług do wykonania. Po równo partnerzy dzielą się przede wszystkim załatwianiem spraw urzędowych, zakupami i wyrzucaniem śmieci.

„L4 na dziecko" kobiety biorą dwukrotnie częściej niż mężczyźni. To także wpływa na ich decyzje zawodowe. Często rezygnują z objęcia wyższych stanowisk, nawet jeśli mają taką możliwość, gdyż obawiają się, że nie będą mogły podołać dwóm rolom równocześnie. – Szczególnie widać to w przypadku tzw. *greedy jobs*, czyli tzw. chciwych miejsc pracy – mówi „Tygodnikowi" dr hab. Iga Magda ze Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie. – To np. bankowość inwestycyjna czy sektor prawniczy, które są bardzo dobrze płatne, ale jednocześnie wymagają stuprocentowego zaangażowania. Często realny czas pracy w takich zawodach to nie 40, a 60 lub nawet 80 godzin. Bardzo trudno to pogodzić z życiem rodzinnym. Dlatego jeśli mamy parę specjalistów z dzieckiem, to na taką pracę decyduje się jedno z nich, najczęściej mężczyzna. Nie tylko dlatego, że dziecko ma się nie po to, by wychowywała je niania, ale także dlatego, że taki podział ról bardziej się opłaca. Osoba wykonująca *greedy job* rzeczywiście zarabia więcej, niż gdyby pracowali oboje partnerzy, ale w standardowych, przewidywalnych godzinach pracy, jednocześnie dzieląc obowiązki domowe – tłumaczy Iga Magda.

Paradoksalnie mniejsza luka płacowa w Polsce niż w innych krajach wynika m.in. ze stosunkowo niskiej aktywności zawodowej kobiet. Choć jest ona dziś w Polsce rekordowa i po raz pierwszy przekroczyła połowę (50,1 proc. kobiet pracuje), wciąż jednak jest daleka od aktywności zawodowej mężczyzn (64 proc.). Tymczasem kobiet nieaktywnych zawodowo nie bierze się w ogóle pod uwagę przy liczeniu luki płacowej.

Tracą nie tylko kobiety

Matki, których zarobki najbardziej różnią się od dochodów ich partnerów, zazwyczaj żyją w wieloosobowych gospodarstwach. Może więc nie ma większego znaczenia, kto przynosi pieniądze do domu, skoro i tak są wspólne?

– Kobiety, które tak myślały, a potem się rozwiodły, zostały z niczym – ripostuje dr hab. Iga Magda. – Ale i w zgodnych związkach bezpieczniej jest, gdy oboje zarabiają, ponieważ istnieje poduszka finansowa na wypadek spadku lub utraty zarobków jednej osoby – dodaje. I wskazuje, że także dla samych mężczyzn jest lepiej, gdy nie tylko na ich barkach spoczywa zabezpieczenie finansów – są wtedy mniej zestresowani i bardziej obecni w codziennym życiu rodziny. Większa równość zarobków może zmniejszać liczbę potencjalnych konfliktów i zwiększać podmiotowość partnerów. Jak wynika z licznych badań, partnerzy którzy zarabiają mniej, zwykle mają też mniej do powiedzenia w związku.

Kolejnym problemem jest zasada, wedle której luka płacowa dziś – skutkuje jeszcze większą jutro. Tak wynika ze świeżo opublikowanych badań dr. Pawła Bukowskiego z University College London i jego współpracowników, którzy analizowali nie tylko płace polskich kobiet, ale cały ich dochód, pochodzący również z emerytur oraz zysków z kapitału. Przełożyło się to na jeszcze większe nierówności dochodowe (33 proc.) niż te wyłącznie płacowe, no-

ADAM CHELSTOWSKI / FORUM

Przy ulicy Żelaznej, Warszawa, listopad 2020 r.

towane przez Eurostat i PIE. – W dużej mierze luka dochodowa to efekt niskich emerytur kobiet, które biorą się z wcześniejszej luki w płacach, niskiej aktywności zawodowej oraz w różnicach w wieku emerytalnym. Gdy kobieta nie pracuje lub pracuje mniej, niżby mogła, odprowadza też mniej składek. A to ma później wpływ na wysokość jej emerytury – tłumaczy dr Bukowski. Obecnie prawie 85 proc. osób, które otrzymują emeryturę niższą niż minimalna, to kobiety. Poza tym dużo mniej kobiet niż mężczyzn zajmuje się biznesem.

Na luce płacowej cierpi cała gospodarka. – Przez to, że w gremiach decyzyjnych firm jest tak mało kobiet, tracimy potencjał różnorodności. Z moich wstępnych badań wynika, że wśród brytyjskich firm istnieje negatywna korelacja między luką płacową a liczbą patentów, które otrzymują te firmy. Społeczeństwa, w których jest mniej kobiet na stanowiskach kierowniczych, mogą być mniej innowacyjne – twierdzi dr Bukowski.

Jak zamknąć lukę?

„Strony Koalicji będą współpracować na rzecz likwidacji luki płacowej, a także eliminacji innych barier, stojących na drodze równego traktowania na rynku pracy" – napisali w umowie koalicyjnej politycy KO, Trzeciej Drogi i Lewicy. Tajemnicą poliszynela jest, że był to efekt starań najmniejszego z koalicjantów (ani KO, ani TD nie miały walki z luką płacową w swoich programach). Lewica już w zeszłej kadencji złożyła do laski marszałkowskiej projekt ustawy w tej sprawie. Z końcem poprzedniej kadencji Sejmu poszedł on do kosza, ale, jak zapewnia prowadząca projekt posłanka Katarzyna Ueberhan, jej partia zamierza do niego wrócić.

– Z pewnością ponownie go złożymy, gdy powstanie nowy rząd. Teraz rozmawiamy jeszcze o tym, czy będzie to projekt poselski, czy rządowy, ale cieszy mnie, że zarówno Ministerstwo Pracy i Polityki Społecznej, jak też sejmowa komisja rodziny i polityki społecznej będą kierowane przez Lewicę. Dopilnujemy, by ten postulat został zrealizowany – mówi posłanka Ueberhan w rozmowie z „Tygodnikiem".

Lewica chce, by przedsiębiorstwa miały obowiązek informowania Państwowej Inspekcji Pracy (oraz pracownika przy podpisywaniu umowy) o średnim poziomie wynagrodzenia za pracę w podziale na płeć w odniesieniu do pracowników wykonujących w tym samym przedsiębiorstwie pracę tego samego rodzaju lub pracę o takiej samej wartości. Gdyby okazało się, że płace za taką samą pracę nie są równe, PIP miałaby prawo wydać nakaz zmiany tego stanu rzeczy. Firma, która by się temu nie podporządkowała, zostałaby wykluczona z zamówień publicznych.

Propozycja Lewicy idzie znacznie dalej niż projekt przygotowany przez Kongres Kobiet, złożony w ubiegłej kadencji Sejmu przez Koalicję Obywatelską. Również on zakłada obowiązek raportowania różnic, jednak nie wprowadza sankcji za niewypełnienie tego obowiązku. Jak napisała „Tygodnikowi" Barbara Nowacka z KO, ugrupowanie zamierza zgłosić swój projekt ponownie.

Z kolei Maja Nowak z Polski 2050-Trzeciej Drogi na razie nie chce mówić o szczegółach konkretnych rozwiązań, które przygotowuje nowa większość sejmowa, ponieważ „nie chce wychodzić przed szereg". Ale podkreśla, że gabinet Donalda Tuska będzie się zajmował tą kwestią. – Nowa dyrektywa unijna mówi, że firmy będą musiały publikować informacje o różnicach płacowych. Jej implementacja może wiele zmienić w tym zakresie. Jednym z postulatów Polski 2050 jest budowa nowych żłobków, dzięki czemu matki będą miały krótsze przerwy w pracy. To także ograniczy lukę płacową w Polsce – przewiduje Maja Nowak.

■■■

Polska ma trzy lata na implementację wspomnianej dyrektywy UE. Samo raportowanie może tylko w pewnej mierze być odpowiedzią na faktyczną dyskryminację finansową kobiet zatrudnionych na tych samych stanowiskach co mężczyźni. Nie rozwiązuje jednak podstawowych problemów, czyli nierówności w wykonywaniu obowiązków opiekuńczych i domowych.

– Tu pomocna byłaby promocja edukacji przedszkolnej i rozbudowy żłobków. Pomysł „babciowego", czyli świadczenia dla matek małych dzieci, wracających na rynek pracy, które można przeznaczyć na żłobek, zatrudnienie niani lub zapłacenie babci, również jest dobrym krokiem naprzód. Warto też promować działalność gospodarczą wśród kobiet, co zwiększyłoby ich dochody z kapitału – tłumaczy dr Bukowski. Z kolei dr hab. Magda podkreśla wartość urlopów ojcowskich. – Dobrze by było, żeby więcej mężczyzn z nich korzystało, bo one pomagają likwidować lukę płacową. I służą także samym mężczyznom, którzy utrzymują wtedy równowagę między pracą a życiem prywatnym – mówi. Z tegorocznego badania agencji zatrudnienia Hays Poland wynika, że aż 82 proc. ojców cierpi z powodu braku możliwości pełnego uczestnictwa w życiu swojego dziecka. Wygląda na to, że likwidując źródła luki płacowej można by przy okazji ulżyć samym mężczyznom. © STEFAN SĘKOWSKI

DAJCIE NAM PRZEŻYĆ ŻAŁOBĘ

KS. PIOTR ŻELAZKO, WIKARIUSZ KATOLIKÓW JĘZYKA HEBRAJSKIEGO W IZRAELU:

Europejczycy mówią nam, że mamy wybaczyć zamach Hamasu i upominać się o prawa Palestyńczyków. A my, izraelscy katolicy, mamy w sobie różne uczucia: gniew, żałobę i żal. Potrzeba nam czasu.

AHMAD GHARABLI / AFP / EAST NEWS

Chrześcijanie w Starym Mieście w Jerozolimie, na drodze prowadzącej do Bazyliki Grobu Świętego, 15 kwietnia 2023 r.

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET: Po której stronie konfliktu Izraela i Hamasu stoi katolicka społeczność hebrajskojęzyczna w Izraelu?

KS. PIOTR ŻELAZKO: Łaciński patriarcha Jerozolimy kard. Pierbattista Pizzaballa powiedział w wywiadzie dla „L'Osservatore Romano", że Kościół w Ziemi Świętej nie jest podzielony, ale zjednoczony. Oczywiście to jest teologiczne życzenie, z którym się zgadzam: jesteśmy wszyscy chrześcijanami, jesteśmy po stronie pokoju. Ale trzeba wiedzieć, że serce każdego człowieka bije w jakimś konkretnym rytmie. Mam ogromny szacunek do tego, że większość chrześcijan w Ziemi Świętej to Arabowie i ich sympatia jest często przy Palestyńczykach. Rozumiem też, że serce naszych hebrajskojęzycznych wspólnot, ludzi urodzonych w Izraelu i chodzących tu do szkół, bije w rytm hymnu izraelskiego. Wielu ich członków było w armii izraelskiej, teraz także zostało powołanych. To jest ich kraj.

Jednak w chrześcijaństwie jest coś, co pozwala stanąć trochę ponad sympatiami narodowymi, a nawet ponad patriotyzmem, i powiedzieć, że jako Kościół zawsze stajemy po stronie tych, którzy są słabsi, uciskani, którzy potrzebują pomocy, których prawa są łamane. Nie ma wątpliwości, że w tym konflikcie, który ciągnie się od dekad, Palestyńczycy są stroną potrzebującą wsparcia i to wsparcie zresztą od społeczności międzynarodowej dostaje. Kościół angażuje się też w pracę na rzecz powstania państwa palestyńskiego i sprawiedliwych warunków do życia dla tej społeczności.

Jak życie w takiej wspólnocie wygląda w praktyce? Z kościoła w Jaffie znam sytuację, w której arabscy członkowie mieszanej rodziny modlą się na mszy obok żydowskiego żołnierza w mundurze, który właśnie wyszedł z bazy. Wspólnoty młodzieżowe w innych miastach obejmują zarówno młodzież arabską, jak i żydowską, oprócz innych narodowości. Oczywiście, wspólna modlitwa o pokój może połączyć, ale jak po ataku Hamasu z 7 października i po izraelskich bombardowaniach Gazy rozmawiać ze sobą, kontynuować bliskie relacje?

Wewnątrz naszych wspólnot nic się nie zmieniło. Nie zauważyłem napięcia z powodu tego, że ktoś przychodzi prosto z bazy, w wojskowym mundurze, a ktoś inny ma rodzinę po stronie palestyńskiej. To mocna strona małych wspólnot: jesteśmy ze sobą bardzo związani, wszyscy naprawdę dobrze się znamy. Trzeba też zauważyć, że współcześni izraelscy Arabowie to już trzecie pokolenie urodzone pod rządami Izraela. Jest już nieco mniej związane emocjonalnie z walką Palestyńczyków o niepodległość. Część z nich nigdy nie była nawet w Palestynie. Jako chrześcijanie – czy to katolicy, czy prawosławni – mogą służyć w izraelskiej armii. Spotykam ich często w bazach wojskowych, bo obecnie pełnię funkcję łącznika ze światem chrześcijańskim dla Izraelskich Sił Zbrojnych. Wiem też, że wielu młodych Arabów wybiera zastępczą służbę wojskową.

Napięcie jest widoczne na ulicach. W pierwszych dniach po wybuchu wojny słyszałem o sytuacjach, w których w szpitalach Żydzi prosili, by nie obsługiwali ich Arabowie. Arabowie ze Wschodniej Jerozolimy bali się przyjeżdżać do pracy w Jerozolimie Zachodniej i dalej w Izraelu, bo bali się linczu.

Teraz to już jest trochę mniej widoczne, ale wciąż odnoszę wrażenie, że mamy do czynienia z tykającą bombą. Że istnieje groźba, iż ulica arabska zareaguje tu, w Izraelu. Dotąd to się nie zdarzyło – nie było intifady, choć wielu wskazywało na jej rychły wybuch.

Sytuacja społeczności arabskiej różni się w zależności od miasta. Dlatego Arabowie w Hajfie reagują dziś na wojnę inaczej niż Arabowie we Wschodniej Jerozolimie.

Mam znajomych Izraelczyków, którzy jeszcze dwa tygodnie temu przygotowywali paczki żywnościowe dla Arabów odciętych od miejsc zaopatrzenia – w strefach, gdzie ludzie nie mieli dostępu do sklepów albo bali się chodzić do tych po stronie izraelskiej. Ci Izraelczycy mówią mi: nikt z naszych przyjaciół i znajomych tego gestu nie rozumie, a my wiemy, że taki gest solidarności może wiele zmienić w ludzkich sercach.

Faktem jest, że wojna spolaryzowała społeczeństwo, ale ci, którzy od zawsze mówili językiem pokoju, pozostali po tej samej stronie. Znamienne, że niektórzy ludzie z kibuców, którzy ocaleli z masakry Hamasu 7 października – osoby, które były zaangażowane w proces pokojowy na niskim szczeblu (spotkania, wspólna praca, sztuka) – wciąż mówią takim językiem jak przed zamachem. Choć przeżyli potężny cios, a pierwszą ich ↦

↦ reakcją był szok, wściekłość i gniew. Myślę, że to samo można powiedzieć o naszych wspólnotach.

Ale nie brakuje w nich również przybyszów z zewnątrz. Także ze świata Zachodu – tego, w którym dominuje etyka nadstawiania drugiego policzka, a nie „oko za oko, ząb za ząb", jak u nas na Bliskim Wschodzie. Często odnoszę wrażenie, że to czynnik uniemożliwiający im pełne zrozumienie, co tak naprawdę się tutaj dzieje.

To prawda. W Izraelu mieszka wielu zakonników czy zakonnic z całego świata, szczególnie Europejczyków, którzy od początku narzucili narrację: rozumiemy, że był zamach, że jest wojna, ale jako chrześcijanie musicie natychmiast wybaczyć i walczyć dalej o prawa Palestyńczyków. Mnie to strasznie denerwuje, bo z jednej strony modlisz się codziennie słowami: „i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom", ale z drugiej strony masz normalne ludzkie uczucia. Jesteś oszołomiony całym tym złem, które po prostu przyszło w jednej chwili i zmieniło cię na zawsze. Prawda jest taka, że mamy w sobie różne uczucia, mamy gniew, a przede wszystkim żałobę i żal. I trzeba nam czasu. To nie jest tak, że automatycznie, z racji bycia chrześcijaninem, dostaniesz łaskę, by potrafić wybaczyć. Bo to jest łaska, dar, ludzkimi siłami jest bardzo ciężko wybaczyć: trzeba się o to modlić.

Dlatego buntowałem się przeciwko takim chłodnym reakcjom zaraz po zamachu Hamasu. Wiadomo, że pracujemy nad tym, żeby poczucie krzywdy nie zmieniło się w jakąś krwawą żądzę zemsty, w ślepotę na cierpienie innych. Ale ten moment na skupienie się na własnych uczuciach był nam potrzebny i może ciągle jeszcze jest.

Wielu w Europie już w chwilę po zamachu i pierwszej odpowiedzi militarnej Izraela ogłosiło, że oto ofiara stała się katem. Tak orzekli ludzie zgromadzeni na placach największych zachodnich miast, tak orzekły media społecznościowe.

Nie do końca się zgadzam z taką obserwacją. Mam bardzo dobre doświadczenie z ostatniej podróży zagranicznej, już po zamachu. Byłem we Włoszech, występowałem tam jako przedstawiciel kard. Pizzaballi. Znajomi z włoskiej parafii byli bardzo zatroskani o sytuację w Izraelu, bardzo przeżywali zamach. Dla trzech osób z Izraela zorganizowano trzy radiowozy, które nas ochraniały. Być może obawiano się, żeby ktoś nie zakłócił uroczystości, w których braliśmy udział. Ale to nie było potrzebne, nic złego nas nie spotkało. Przeciwnie – otrzymałem dużo wyrazów sympatii.

Wiadomo, że Izrael nie ma szans w tej wojnie informacyjnej – chodzi przecież o obrazy zniszczonych miast, o relacje ludzi, którzy opowiadają o śmierci bliskich, o liczby zabitych. Możemy dyskutować nad szczegółami operacji wojskowej, granicami obrony koniecznej, ale wydaje mi się, że to są sprawy dla wojskowych. My musimy patrzeć też na to, że Izrael walczy w tej chwili o życie.

MOTI MILROD / ARCHIWUM PRYWATNE

KS. PIOTR ŻELAZKO – wikariusz patriarchalny dla katolików języka hebrajskiego, duchowny świata chrześcijańskiego do kontaktu z armią, członek międzywyznaniowej grupy Interfaith Initiative of the Negev i duszpasterz chrześcijan w izraelskich więzieniach.

Byliśmy świadkami brutalnej zbrodni na Izraelczykach. W Gazie giną niewinni Palestyńczycy, w tym dzieci. Ziemia spływa krwią i to nie po raz pierwszy. Może już czas przestać ją nazywać „świętą"?

Myślę, że im bardziej coś jest święte i piękne, tym bardziej my, ludzie niedoskonali, nie możemy tego znieść. Podświadomie to niszczymy, brukamy, negujemy. Zabijamy proroków, przeklinamy reformatorów religijnych, nasi święci to są męczennicy. Zbyt duża dawka prawdziwej, czystej świętości jest dla nas nie do zniesienia.

Ziemia Święta jest ofiarą tego. Zauważ, że tu każdy mówi: to jest moja ziemia. A jest taka historia bodajże żydowska, gdzie w końcu ta ziemia nie wytrzymała i powiedziała: to nie ja należę do was, tylko to wy należycie do mnie. To wy jesteście u mnie gośćmi.

Chciałbym, byśmy tak właśnie ją traktowali: to my jesteśmy gośćmi, my musimy zrobić wszystko, by ona pozostała święta. Uświadomić sobie, że wprawdzie Bóg jest wszędzie, ale jakoś sobie szczególnie ten kawałek ziemi upodobał. Trochę bez sensu wciśnięty między trzy kontynenty, ani ładny, ani ciekawy – a jednak Pan Bóg się w nim zakochał. My musimy to uszanować i powiedzieć: zróbmy wszystko, żeby oddać cześć Bogu, który ukochał tę ziemię, więc zachowujmy się. Chodząc po niej, zdejmijmy sandały, tak jak Bóg nakazał Mojżeszowi. A my zakładamy trepy wojskowe, depczemy, palimy, niszczymy, próbujemy zalać krwią. To jest ten paradoks natury ludzkiej.

Odnoszę wrażenie, że często słyszysz to pytanie.

Tak, głównie od ludzi, którzy chcą zaatakować religię, przypisując jej winy za tutejsze konflikty. Mówią, że świat bez religii, bez wiary, byłby mniej brutalny, byłoby w nim mniej wojen.

Owszem, są ludzie, którzy wykorzystują religię do manipulowania innymi. Uzasadniają własne okrucieństwa czy nieliczenie się z nikim jakimiś indywidualnie pojętymi zasadami wiary. To nie jest prawdziwa religia. Na ile znam trzy wielkie monoteistyczne religie, wszystkie mówią o pokoju, o współżyciu w miłości z innymi, a przynajmniej o tolerowaniu siebie nawzajem. Dlatego ja w religiach, tych prawdziwych, szukam nie problemu, lecz rozwiązania. Inspiracji do procesu pokojowego. Bo człowiek, który odrzucił Boga, potrafi być zdolny do największych okrucieństw. Trzeba bardzo uważać, by nie posługiwać się religią do realizacji własnych celów politycznych, ale też żeby nie zostać zmanipulowanym, żeby nie zostać wmieszanym w konflikt, który rzekomo jest walką jednej religii z drugą.

W naszych wspólnotach zawsze próbowaliśmy być pomostem, przynajmniej między światem Izraela żydowskiego i chrześcijańskiego. Teraz powoli zaczynamy myśleć o tym, co dalej? Jak będziemy kształtować przyszłość Izraela?

A więc co będzie z nami po tej wojnie?

Marzymy o tym, że gdy się skończy, nasze dzieciaki wrócą do domu z baz wojskowych, z rezerwy, z frontu. Te, które znamy od małego, od pierwszej komunii albo wcześniej, te, których matki każdej nocy drżą całe, czy jutro nie przyjedzie ktoś z wiadomością, że coś się dziecku stało. Więc całą wspólnotą czekamy, aż one wrócą.

Czy w naszym regionie uda się w ogóle to wszystko przebaczyć i poprosić o przebaczenie? A potem iść dalej, wierząc w pokój?

Wierzę w to, że nie przestaniemy próbować być dobrym przykładem – tego, że jest możliwe współżycie pomimo różnic, we wspólnocie konkretnych wartości. Myślę, że dalej będziemy zaangażowani w proces pokojowy, w walkę o sprawiedliwość, bo wiadomo, że nie ma pokoju bez sprawiedliwości. Pewnie nie powinienem tego mówić, ale mam też nadzieję, że trochę się zmieni w izraelskiej polityce wewnętrznej, że z błędów, które zostały popełnione, zostaną wyciągnięte wnioski. Że ludzie zorientują się, że trzeba stawiać na polityków, którzy mówią o innych z szacunkiem, nigdy z wyższością, nie są butni lub wręcz nietolerancyjni.

Taką mam nadzieję. Jedno jest pewne – Izrael nie będzie już taki sam. Potrzeba będzie dużo czasu, żeby rany się zagoiły. Będziemy cały czas w tym pomagać. Pracować nad tym, żeby idea przebaczenia i pojednania wyszła poza nasze kościoły, trafiała do ludzi, którzy niekoniecznie z pobudek religijnych, ale też z takich zwyczajnych, ludzkich, chcieliby lepszego Izraela, lepszego Bliskiego Wschodu. Lepszego świata.

© Rozmawiała
KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

WIARA

PROFESOR BÓG

Polemika z Uniwersytetu Śląskiego chce wyrzucić teologię z wyższych uczelni, gdyż jego adiunkt nie jest ona zatrudniony. Tymczasem teologia jest nauką, wierzę – nauką jest teologia

Teologia nie jest nauką

STANISŁAW JAKÓBCZYK

Wiara to przekonanie, które daje jakąś wiedzę niepodważalną, nawet pomimo braku jakichkolwiek przesłanek. Nauka przynosi wiedzę zawsze podważalną.

W numerze 47 „Tygodnika Powszechnego” ukazał się artykuł Artura Sporniaka „Profesor Bóg” (powszech.net/profesor-bog) będący polemiką z listem Marka Migalskiego, postulującego usunięcie teologii z Uniwersytetu Śląskiego. Podkreślę wagę, słuszność i uczciwość jednego tej polemiki stwierdzenia, że mianowicie „najpoważniejszy zarzut prof. Migalskiego wobec teologii na uniwersytecie dotyczy jej konfesyjności”. Rozpoznając ten zarzut, Autor jednak nic z nim nie robi: zamiast wykazać niekonfesyjność teologii, co byłoby definitywnym odparciem tego najpoważniejszego zarzutu, po prostu przyznaje, że „nie ma niekonfesyjnej teologii”. Trudno znaleźć w wywodzie Autora cokolwiek, co by ten zarzut choćby osłabiało. To tak, jakby Autor mówił w imieniu teologii: „tak, jestem konfesyjna, i co mi pan zrobi?”.

Konfesyjność to antynaukowość

Reszta wywodu to bowiem głównie ekspresja owej konfesyjności (jak: „hipoteza postulująca ich [diabła i aniołów] istnienie (...) stanowi dla Boga alibi w świecie, w którym jest obecne zło”, albo: „w chrześcijaństwie ta racjonalność [praw rządzących światem] jest gwarantowana, gdyż jest odbiciem Stwórcy”, albo: „skuteczność i racjonalność nauki ostatecznie gwarantuje Bóg”), konfesyjności, która po pierwsze jest w tej debacie właśnie *in quaestione*, więc nie może stanowić argumentu na swoją korzyść, a po drugie wygląda najwyraźniej na religijne osobiste wyznanie samego Autora, zatem dalsza dyskusja nie byłaby tu możliwa; nie da się dyskutować z czyjąś wiarą. A to dlatego, że wiara jest przekonaniem, które daje jakąś wiedzę niepodważalną, wiedzę nawet pomimo braku jakichkolwiek przesłanek, a nie – jak nauka – wiedzę na podstawie jakichś przesłanek, ale zawsze podważalną. To zresztą stanowi m.in. właśnie o nienaukowości konfesji i konfesyjności, a zatem także teologii. Nie o fałszu – ale o nienaukowości.

Poza tymi wyrazami wiary Autor daje też pozamerytoryczne kontrzarzuty *ad personam* Marka Migalskiego – jak zarzut ignorancji, czy też (za rektorem UŚ) zarzut „złej woli lub ideowego zacietrzewienia”, a także ciekawe stwierdzenia różnych faktów, nieodpowiadające jednak na ten „najpoważniejszy zarzut”, choć zapewne podawane jako mające go osłabić argumenty, mające wykazać, że ów zarzut jednak wcale nie jest poważny. Tych argumentów broniących naukowości teologii autor podaje wiele, wyróżniając jednak i numerując trzy. Pierwszy z nich mówi, że „(...) wielu spośród naukowców (...) jest ludźmi wierzącymi”, drugi – że „nie przypadkiem nowożytna nauka zrodziła się w środowisku chrześcijańskim”, a trzeci – że „chrześcijaństwo otrzymało w spadku od judaizmu oryginalną teologię stworzenia, rozwiniętą następnie przy pomocy metafizycznych narzędzi greckiej filozofii”.

Błędne koło

Spójrzmy najpierw na ten trzeci argument (nawiasem: metafora trochę nietrafiona – „spadkodawca” jeszcze żyje). Co takiego owa „teologia stworzenia” ma do tego, czy jej uprawianie dzisiaj jest dalej naukowe czy nie? Podany w tym kontekście cytat z prof. Hellera jest o tyle bardziej naukowy, że ów uczony ↦

↦ (w końcu astrofizyk) nie omieszkał wyrazić swej myśli jako możliwości tylko: „Jeśli wszechświat został stworzony (jest stwarzany) przez Boga, to (...)" i tak dalej.

Argument drugi przypomina nam głównie historię uniwersytetów, jak wiadomo, powstających w drugim tysiącleciu po Chrystusie z inicjatywy i dla wspierania biskupa Rzymu, rzymskiego Kościoła i jego państwa (osobnym przypadkiem jest niezależny uniwersytet w Padwie). Podaje jednak niecałą prawdę, pomija np. olbrzymi wkład do nauki uczonych arabskich spod znaku islamu, nie mówiąc już o taoizmie, konfucjanizmie czy buddyzmie. Nie wiemy też nic o tym, w co detalicznie i jak głęboko wierzyli poszczególni uczeni. Nijak się ma ten argument do odpierania zarzutów nienaukowości, za to rozpływa się dalej w dywagacjach o nieudanych nowożytnych próbach ujednolicenia wszystkich dziedzin w jakiejś „ogólnej teorii wszystkiego" i w kolejnych wyznaniach religijnych („Pierwsza tajemnica prowadzi do koncepcji dwóch ksiąg: Księgi Objawienia i Księgi Przyrody. Bóg objawia się..." itd.). A co do „nie przypadkiem" (Autor też coś podobnego pisze, trochę innymi słowami): Michał Heller powiedział kiedyś w wywiadzie radiowym, że nie ma kłopotu w rozmowach z kolegami astrofizykami o przyczynowości we wszechświecie; po prostu tam, gdzie oni mówią o przypadku, on widzi tzw. palec Boży.

Ale jakim cudem z tego wszystkiego wynika Autorowi wniosek, że „nauki są częścią teologii"? Chyba tylko z tego, że – jak wyznaje – „Skoro skuteczność i racjonalność nauki ostatecznie gwarantuje Bóg...". Zauważmy: nie ma tu ostrożnego funktora *modus potentialis*, jak w przytoczeniu z Hellera, tylko pewnik, dogmat: „skoro". Inaczej mówiąc, zwykłe *petitio principii* i *circulus vitiosus*: „skoro jest tak, jak ja wierzę, to tak jest". I ten wniosek umieszcza Autor w podtytule, jako – zapewne – decydujący odpór dla „ideowego zacietrzewienia" (sic!) krytykowanego przeciwnika teologii na uniwersytecie.

Argument z autorytetu

Pierwszy z owych trzech argumentów jest jeszcze słabszy, choć zajmuje wiele miejsca – większość tekstu Artura Sporniaka jest jego parafrazą lub egzemplifikacyjnym uszczegółowieniem. Rzeczywiście, wielu naukowców to ludzie przyznający się do jakiejś wiary, ale – powtórzę – nie wiemy, w co dokładnie i jak głęboko wierzą i wierzyli poszczególni uczeni; nie wiemy, na ile ich „wiara" jest czy była tylko pewnym kulturowym behawiorem – dawniej jej okazywanie bywało też wymuszonym warunkiem możliwości uprawiania nauki.

> Wielu teologów to świetnie wykształceni filozofowie czy historycy. Ale mogliby swoje naukowe pasje w tych dziedzinach realizować **na stosownych wydziałach państwowych uczelni.**

Nie można zapominać też o tym, że (historycznie rzecz ujmując) ani teologia, ani nawet jakiekolwiek społecznie upowszechnione wyznanie nie ostałyby się, ale też może nie powstałyby, gdyby nie ich instytucjonalizacja i profesjonalizacja, z całym ich uwikłanym administracyjnym, materialnym, ekonomicznym i politycznym, ale też interesownym, zaborczym, czasem dewiacyjnym, a nawet i kryminalnym „dobrodziejstwem inwentarza".

Wyprowadzanie z (niepewnego) faktu, iż wielu naukowców to ludzie wierzący, wniosku, że w takim razie są oni teologami, lub chociaż, że teologia, będąc jakąś emanacją wiary, też jest nauką, jest jakimś nieporozumieniem. Z pewnością wielu piłkarzy to też ludzie wierzący, ale nie wyprowadzimy z tego wniosku, że piłka nożna jest teologią; chociaż, kto wie, może teologowie wyprowadzą.

Ale wracając do meritum: przytaczana za rektorem UŚ litania nazwisk autorów tekstów teologicznych i filozoficzno-teologicznych, wzbogacana o własne, Autora dodatki, to argument tyleż słaby, co chybiony. Słaby, bo tego rodzaju zarzuty, że ktoś nie docenia i nie zna takich a takich autorów, pojawiają się w każdej recenzji, zwłaszcza prac pisanych „na stopień", co wynika z faktu, że autorów i dzieł w humanistycznych dziedzinach są takie ilości, że nie sposób znać wszystkiego, nawet z dość wąskiej specjalności, jaką teologia zapewne nie jest. Chybiony – gdyż „inkryminowany" prof. Migalski nie podaje, jako negatywnych przykładów, żadnych nazwisk, za to tytuły prac, które z pewnością nigdy nie wyszłyby spod piór wymienianych przez rektora i Autora koryfeuszy.

Poza tym – i przede wszystkim – słaby jest zawsze argument „z autorytetu", chyba że obie strony sporu jeszcze przed sporem ów autorytet uznały. Chodzi też o szczegóły: trzeba wiedzieć, co też takiego o teologii, czy w jej ramach, powoływani uczeni twierdzili, samo nazwisko nie wystarcza. I tu dochodzimy do bardzo istotnej kwestii. Otóż Autor w paru miejscach wspomina fakt, że takie a takie autorytety nauki zajmowały się tematami teologicznymi, wielu uczonych np. „badało" (i nadal bada) tzw. dowody na istnienie Boga, nawet taki koryfeusz jak Kurt Gödel! Gdzieś tam pada także rzucone „od niechcenia" nazwisko Karla Poppera. Jak rozumiem, miałby to być argument na rzecz naukowości teologii i jej tematów, np. naukowości dowodów na istnienie Boga.

Dowód Gödla

Argument zupełnie nietrafiony. Najpierw szczegółowo, choć w skrócie: dla popperowskiej idei falsyfikowalności zdań nauki (jako kryterium demarkacyjnego) żadne zdanie o realnym Bogu nie będzie naukowe. A Kurt Gödel nie dowodem na istnienia Boga zasłynął, ale dowodem swojego twierdzenia o niemożliwości uzyskania niesprzeczności zdań danego systemu matematycznego. Nie podał dowodu na istnienie Boga, tylko podał ściśle sformalizowaną wersję tzw. argumentu Anzelma, w wersji bodajże Leibniza, i była to formalizacja w naszkicowanym pewnym rozszerzeniu logiki modalnej; historycznie rzecz ujmując, nie jest też wcale pewne, co z opublikowanej już po śmierci słynnego logika rekonstrukcji jego notatki z 1970 r. zatytułowanej „Ontologischer Beweis" wyszło dokładnie spod jego pióra.

W każdym razie i ta wersja wielkiego logika zachowuje (w tym wypadku jako aksjomat) założenie, którego różne warianty stosują zarówno sam Anzelm z Canterbury, jak i wielu jego naśladowców, a które sprawia, że mamy tu do czynienia nawet nie tyle z tautologią, co wręcz z tzw. postulatem znaczeniowym: założenie to stwierdza bowiem zarazem subiektywne i obiektywne istnienie pojęcia Czegoś Doskonałego, wyposażonego we wszystkie takie cechy, które przysługują wyłącznie Bogu.

Wnioskowanie z tego, że w takim razie podobnie istnieje pojęcie Boga, to zwykłe błędne koło: peryfrastyczne wyrażenie pojęcia Czegoś Doskonałego jest synonimem wyrażenia pojęcia Boga. Następnym krokiem w rozumowaniu (!) Anzelma – i jego naśladowców – jest wyrażenie przekonania (to kolejne założenie), że nie może nie istnieć Coś Doskonałego, skoro istnieje jego pojęcie, a zatem (*modus ponendo ponens*) Bóg istnieje!

Oczywiście można taki soryt dokładnie sformalizować, zapisać jego elementy w ciągu logicznych formuł specjalnie w tym celu utworzonego „języka" i pokazać, jakie aksjomaty należałoby jeszcze przyjąć dla jego poprawności – i to właśnie zrobił Gödel. Pod koniec życia podobno zresztą coś się z jego umysłem działo źle – obsesyjnie bał się śmierci, i sądząc, że ktoś chce go otruć, bał się jeść i zagłodził się na śmierć właśnie. Michał Heller w swojej recenzji książki Gabrielego Lolli o dokonaniach (ale i o religijnych przekonaniach) Gödla przytacza przewrotnie dowcipną opinię włoskiego logika, Roberta Magariego, o tym „dowodzie" Austriaka: „Gödel wprawdzie poprawnie wyprowadza tezę ze swoich aksjomatów, ale racje za przyjęciem jego aksjomatów nie są słabsze od racji skłaniających do uwierzenia w tezę".

Refleksja nad teologią

A teraz ogólnie: to prawda, że wielu koryfeuszy oraz mniej znanych ludzi nauki badało, bada, analizuje teksty i rozważania teologów. Podobnie wielu innych (a i czasem tych samych) bada teksty poetów albo muzyczne czy plastyczne dzieła artystów. Ale co najmniej przesadą – jeśli nie absurdem – byłoby wnioskowanie z tego faktu, że w takim razie ci pierwsi uprawiają teologię, a ci inni uprawiają – odpowiednio – poezję, muzykę, malarstwo czy rzeźbę. Nie mylmy charakteru przedmiotu badań z charakterem dziedziny nauki.

Wielu teologów, także spośród tych, których mogłem poznać osobiście, to świetnie wykształceni filozofowie (no, może raczej historycy filozofii), językoznawcy czy literaturoznawcy, historycy, nawet psychologowie lub socjologowie (i jeden astrofizyk). Często społeczną stratą byłoby pozbawienie ich możliwości pracy – i mam nadzieję, że nie o to chodziło Markowi Migalskiemu. Ale mogliby swoje naukowe pasje w tych dziedzinach realizować na stosownych innych wydziałach państwowych uczelni, a uprawianie ideologii (bez „zacietrzewienia") i ideologizacji przenieść do odpowiednio właściwych instytucji.

© STANISŁAW JAKÓBCZYK

Autor jest emerytowanym profesorem UAM w Poznaniu, romanistą, pedagogiem, literaturoznawcą i językoznawcą.

Konfesyjność rozumna, rozumny ateizm

ARTUR SPORNIAK

Głównym zadaniem teologii jest krytyczna analiza – także fundamentalnych założeń wiary. To, co mój Polemista traktuje jako wiarę, jest po prostu fundamentalizmem i z porządną teologią nie ma wiele wspólnego.

W latach 80. XX wieku sala przy krakowskiej kolegiacie św. Anny co tydzień pękała w szwach. Wykład w ramach Papieskiej Akademii Teologicznej miał tutaj ks. Józef Życiński. „Metodologia nauki" cieszyła się dużym wzięciem, gdyż była wykładana metodą anegdotyczną. Radośnie się tego słuchało, co chwilę wybuchały salwy śmiechu; gorzej z egzaminem, bo skryptów nie było, a notatki składały się głównie ze zbioru anegdot.

Pamiętam opowieść o spotkaniu Życińskiego z Paulem Feyerabendem. Ten słynny anarchista metodologiczny i ekscentryk znany był m.in. z tego, że trudno było się z nim umówić. Tymczasem – jak wspominał Życiński – gdy dowiedział się, że o spotkanie prosi ksiądz z Polski, natychmiast się zgodził. Umówili się w parku na campusie w Berkeley. Z daleka można było rozpoznać Feyerabenda: ubrany w białą marynarkę, białe spodnie i biały kapelusz szedł ścieżką wysoki mężczyzna... spluwając co jakiś czas na boki. Rozmowę przeprowadzili leżąc na trawniku. Przyszły arcybiskup konkludował, że to była jedna z najdziwniejszych pozycji filozofowania.

Argumenty

Przypomniałem sobie o Feyerabendzie, czytając atakującą naukowość teologii polemikę Stanisława Jakóbczyka z moim tekstem, który tej naukowości próbuje bronić. Feyerabend trafił do podręczników filozofii nauki, gdyż przekonująco argumentował, że nauka – i to w wersji empirycznie najtwardszej (nie mówiąc o teologii) – niczym istotnie nie różni się od działalności poetyckiej. Pogląd dużo bardziej radykalny od przedstawionego przez mojego Polemistę.

Chcemy pogląd przeciwny? Proszę bardzo. Nie tylko teologia (metodyczny namysł jednak), ale wręcz sama religia ma strukturę analogiczną do nauk empirycznych. „Ani nauka nie jest tak obiektywna, ani religia tak subiektywna, jak to przeważnie przyjmowali filozofowie zajmujący się filozofią religii. Człowiek jako podmiot poznania odgrywa w całej nauce rolę podstawową. Modele naukowe są wytworem twórczej wyobraźni odwołującej się do analogii. Dane są obciążone teorią; teorie o znacznej ogólności treściowej nie są podatne na falsyfikację; nie istnieją reguły wyborów paradygmatów. Faktem jest, że w religii każdy z tych aspektów subiektywnych uwidacznia się jeszcze silniej – mamy tu do czynienia z większą różnorodnością modeli, większą zależnością danych od interpretacji, większą trwałością związania z paradygmatem i większą niejednoznacznością przy wyborze paradygmatu. Jednak ↦

↦ w każdym z tych przypadków widzę raczej różnicę ilościową niż absolutne przeciwstawienie nauki i religii" – zauważa Ian G. Barbour w klasycznej już pozycji „Mity, modele, paradygmaty" (z 1976 r.).

Nie podaję tych przykładów po to, by dowodzić, że skazani jesteśmy na relatywizm (bliższe jest mi jednak podejście Barboura niż Feyerabenda). Argumenty są ważne i mają wartość, ale po pierwsze, nie ma argumentów nieodpartych. A po drugie, w ważnych kwestiach służą one raczej do obrony naszych poglądów już wcześniej ugruntowanych w skomplikowanych procesach asercji – nie w całości uświadamianych, gdzie racjonalność jest tylko jednym z aspektów i gdzie często większą siłę mają uznane wcześniej wartości, a niekiedy też uprzedzenia.

Uprzedzenia

Wydaje mi się, że widać to dość dobrze w wypowiedzi Stanisława Jakóbczyka. Mój polemista jest uprzedzony do wiary, do Kościoła, a zatem też do teologii. Świadczy o tym rzucona mimochodem uwaga: „Nie można zapominać też o tym, że (historycznie rzecz ujmując) ani teologia, ani nawet jakiekolwiek społecznie upowszechnione wyznanie nie ostałyby się, ale też może nie powstałyby, gdyby nie ich instytucjonalizacja i profesjonalizacja, z całym ich uwikłanym administracyjnym, materialnym, ekonomicznym i politycznym, ale też interesownym, zaborczym, czasem dewiacyjnym, a nawet i kryminalnym »dobrodziejstwem inwentarza«". Niby też nie chce on mówić o „fałszu" teologii, tylko o jej „nienaukowości", ale w ostatnim zdaniu tekstu zajmowanie się teologią już wprost nazwane jest „uprawianiem ideologii i ideologizacji". Wreszcie osoba uprzedzona nie tyle będzie formułować własne argumenty (to zawsze jest psychologicznie niebezpieczne, bo może się okazać, że za zajmowaną postawą kryją się słabe racje, gdyż nie o nie chodzi), ile atakować cudze.

I tak jest w tym przypadku. Clou naszego sporu o naukowość teologii stanowi jej konfesyjność, co mój polemista zauważa na samym początku. Dlaczego konfesyjność zdaniem Stanisława Jakóbczyka dowodzi nienaukowości teologii? „ (...) wiara jest przekonaniem, które daje jakąś wiedzę niepodważalną, wiedzę nawet pomimo braku jakichkolwiek przesłanek, a nie – jak nauka – wiedzę na podstawie jakichś przesłanek, ale zawsze podważalną. To zresztą stanowi m.in. właśnie o nienaukowości konfesji i konfesyjności, a zatem także teologii". To jedyny własny argument Jakóbczyka, który łatwo podważyć. Reszta tekstu to atak na moje argumenty, po części oparty na nieporozumieniu, zresztą niekoniecznie z winy Polemisty – widzę teraz, że w paru miejscach za łatwo szafowałem zbyt dużymi skrótami myślowymi. Można to jednak naprawić.

Wiara

Z perspektywy chrześcijańskiej wiara na najgłębszym, osobistym poziomie jest decyzją o nawiązaniu relacji z Bogiem. Poprzedza ją rozeznanie tego, czy Bóg istnieje i czy chce taką relację ze mną nawiązać. W tym procesie zawierzania w grę wchodzą rozliczne wartości, spodziewania, nadzieje, życiowe doświadczenia, ale też całkiem rozumowe rozważania. Czasem wiara, czyli świadomość żywej relacji z Bogiem, spada jak grom z nieba. Ale i w tym przypadku naturalnym i jak najbardziej zdrowym odruchem jest badanie okoliczności i konsekwencji tego doświadczenia. W każdym przypadku wiara szuka (powinna szukać) zrozumienia. A zatem tak, każdy wierzący jest na swoją miarę i możliwości teologiem, także wierzący piłkarz.

W perspektywie społecznej wiara krystalizuje się w kulcie i rozlicznych instytucjach (które jak najbardziej powinny być też krytycznie oceniane), ale również w zbiorowo zorganizowanym krytycznym wysiłku, jakim jest właśnie teologia. I dopiero na tym poziomie można mówić o wierze jako zbiorze pewnych przekonań. Czy ona daje wiedzę niepodważalną? Oczywiście, że nie. Głównym zadaniem teologii jest właśnie krytyczna analiza – także fundamentalnych założeń wiary. To zatem, co mój polemista traktuje jako wiarę, jest po prostu fundamentalizmem i z porządną teologią nie ma wiele wspólnego.

Dlaczego konfesyjność (porządnie rozumowo opracowywana) nie kłóci się z naukowością? Najkrócej mówiąc: bo jest rozumna, w każdym razie nie mniej rozumna niż ateizm.

W tekście „Metafizyczny remis" (powszech.net/metafizyczny-remis) próbowałem wyciągnąć ostateczne konsekwencje ze sporu ateisty z wierzącym, wychodząc od pytania Leibniza: dlaczego jest raczej coś niż nic? Wygląda na to, że obie perspektywy mają swoje wady i zalety. Naturalista jest ostrożny i w pewnym sensie bezpieczny, gdyż zatrzymuje się na granicy empirycznie badalnego świata. Traci jednak możliwość wyjaśnienia, skąd się np. bierze racjonalność praw rządzących tym światem. Wierzący ryzykuje, bo odwołuje się do Boga – bytu osobliwego z empirycznego punktu widzenia, ale może spojrzeć na rzeczywistość szerzej. Obie postawy wydają się równie uprawnione i tym samym równie racjonalne.

Współczesna teologia ma narzędzia, by opracowywać metafizykę nauk przyrodniczych. O tym mówi ks. Michał Heller w cytowanym i przeze mnie, i przez Stanisława Jakóbczyka cytacie. Nie rozumiem, dlaczego teologia nie ma tego robić na uniwersytecie.

Nieporozumienie

Będę bronił tezy, że teologia ma swoje ważne miejsce na uniwersytecie, co nie znaczy, iż stan polskiej teologii nie pozostawia wiele do życzenia. Łatwo jest cytować tytuły prac magisterskich czy doktorskich (jak czyni to w swoim liście prof. Migalski), które będą się kojarzyć z najważniejszymi grzechami polskiej teologii: przyczynkarstwem, brakiem odwagi, zaściankowością, wsobnością, a przede wszystkim brakiem krytycyzmu i perspektywy wychodzącej poza horyzont ściśle teologiczny. Na każdym wydziale powstają prace przyczynkarskie, które opracowują różne drobne zagadnienia, a także te wsobne, istotne tylko dla wąskiej dziedziny. Ale sens i wartość każdej nauki głównie opierają się na tych często rzadko ukazujących się pracach, charakteryzujących się odwagą, wnoszących nowe, twórcze spojrzenie – dziś wymagające podejścia także interdyscyplinarnego. To dotyczy również teologii.

Przyznaję się, że dyskusja o naukowości teologii (wywołana listem prof. Migalskiego) była dla mnie dobrym pretekstem, by upomnieć się o szersze horyzonty u polskich teologów. Choć mój tekst „Profesor Bóg" jest oczywiście próbą odpowiedzi na zarzut nienaukowości, a zatem skierowany jest także do przeciwników teologii, to jednak głównymi jego adresatami są sami teolodzy. O ile nie powinni oni mieć problemu ze zrozumieniem nieco prowokacyjnej mojej propozycji „nauki jako teologii", o tyle – przyznaję – że nie-teologowie mogli wpaść w konfuzję. Potwierdza

to reakcja Stanisława Jakóbczyka. Wyraźniej powinienem był adresatów tekstu w odpowiednim miejscu zaznaczyć.

Krytycyzm

Wobec tego jeszcze uwagi skierowane do teologów. Uważam, że atak na „nienaukowość" teologii może przynieść polskiej teologii korzyści. Nie spodziewam się, żeby przez niego wydziały teologiczne na polskich uniwersytetach były w jakikolwiek sposób zagrożone. Warto jednak potraktować go poważnie jako okazję do mobilizacji w dwóch co najmniej sferach. O pierwszej – uwrażliwienie teologii na obraz świata, kształtowany przez współczesne nauki – była już mowa. Druga to większy krytycyzm.

Nauka to z natury działalność krytyczna. Metodologia współczesnych nauk wypracowała model krytycznego zdobywania wiedzy. Jak mi się wydaje, ma on uniwersalny charakter i dotyczy także teologii (w tym sensie intuicje cytowanego wyżej Barboura są słuszne). Najbardziej wnikliwie opisał ten model Imre Lakatos w swojej propozycji naukowych programów badawczych. Nie wchodząc w szczegóły, można powiedzieć, że nauka wypracowuje narzędzia (najbardziej ogólne teorie, założenia teoriopoznawcze, heurystyki efektywnego postępowania) i przykłada je do rzeczywistości, badając tego efekty. Póki efektem jest nowa wiedza, używane narzędzia pozostają poza krytyką. One stają się przedmiotem uwagi uczonych dopiero, gdy pojawia się coraz więcej anomalii. Znak to, że narzędzia przestały spełniać swoją funkcję zdobywania wiedzy i trzeba je dostosować do nowej, bogatszej rzeczywistości. Cały proces jest pewnym kołem hermeneutycznym, które okazuje się nie być „błędnym kołem", dopóki przynosi nową wartościową wiedzę.

Podobnie sprawa ma się z teologią. „Mierzy" ona rzeczywistość religijną przy pomocy zinterpretowanego (np. dogmatycznie) objawienia. Dzisiaj jednak pojawia się coraz więcej „anomalii" (np. wniosków religijnych sprzecznych z ważnym życiowym doświadczeniem). Najwyższa pora więc, by odważniej naukowy teologiczny krytycyzm skierować w stronę religijnych fundamentów.

Uwaga

I na koniec o pewnej oczywistości. Stanisław Jakóbczyk przestrzega: „(...) to prawda, że wielu koryfeuszy oraz mniej znanych ludzi nauki badało, bada, analizuje teksty i rozważania teologów. Podobnie wielu innych (a i czasem tych samych) bada teksty poetów albo muzyczne czy plastyczne dzieła artystów. Ale co najmniej przesadą – jeśli nie absurdem – byłoby wnioskowanie z tego faktu, że w takim razie ci pierwsi uprawiają teologię, a ci inni uprawiają – odpowiednio – poezję, muzykę, malarstwo czy rzeźbę. Nie mylmy charakteru przedmiotu badań z charakterem dziedziny nauki". Jakkolwiek uwaga, by w refleksji pilnować stopnia rozważań, jest jak najbardziej słuszna, bo można popaść w różne aporie, to jednak refleksja nad nauką (np. metodologia nauki) przynależy do tej nauki. Tak samo refleksja nad teologią jest uprawianiem teologii. ©℗ ARTUR SPORNIAK

REKLAMA

NATALIA KUKULSKA
CZUŁE STRUNY
FRYDERYK CHOPIN
HERDZIN · KOŁODZIEJCZYK · SMOCZYŃSKI · SZTABA · TOMASZEWSKI
ORKIESTRA AKADEMII BEETHOVENOWSKIEJ
KONCERTY
29.04.2024
TEATR WIELKI - OPERA NARODOWA W WARSZAWIE
30.04.2024
NOSPR W KATOWICACH
BILETY: BILETSERWIS.PL
WYJĄTKOWY PROJEKT NA POLSKIEJ SCENIE MUZYCZNEJ
CHOPIN
EAU DE PARFUM
chopinperfumes.com

TOMASZ

Stawiszyński: *Pochwała księgarń*

Jeśli miałbym wskazać listę tych doświadczeń, które w najgłębszym sensie ukształtowały mnie jako czytelnika i miłośnika książek (owszem, z tendencją do popadania w obsesję, ale prawdziwa miłość miewa i takie odcienie, nieprawdaż?) – z pewnością na samym jej czele znalazłyby się długie godziny spędzane w księgarniach i antykwariatach. Zwłaszcza tych, w których jako dziecko, a potem nastolatek, polowałem na komiksy o Tytusie albo kapitanie Żbiku, wyszukiwałem białe kruki schowane czasem głęboko gdzieś pod stertą, zagajałem rozmowy z innymi wielbicielami czytania, odkrywałem literacki kosmos.

Pierwszym bodaj miejscem, w którym świadomie po raz pierwszy, za jakieś otrzymane od mamy pieniądze, kupiłem sobie samodzielnie wybraną książkę (monografię pod tytułem „Wścieklizna", to nie żart), była – wciąż szczęśliwie czynna – księgarnia w mojej rodzinnej Podkowie Leśnej. Tuż obok kościoła, przy ulicy, która się wtedy, w połowie lat 80., nazywała „1 Maja", dzisiaj natomiast – podobnie jak wiele innych polskich ulic, które w połowie lat 80. nazywały się „1 Maja" – nosi nazwę „Jana Pawła II". Wiadomo oczywiście, że w takiej malutkiej przestrzeni nie pomieści się nawet kilka procent dostępnych na rynku pozycji, dlatego podstawową sprawą zawsze tu była – i jest – selekcja. Podobnie jak w dobrej, autorskiej winiarni nie można trafić na słabą butelkę, tak i w podkowiańskiej księgarni do dzisiaj nie sposób trafić na nieinteresującą książkę. Owszem, oferta jest zróżnicowana, od literatury specjalistycznej po absolutny pop. Niezależnie jednak od tego, jakie się ma gatunkowe gusta, są to rzeczy w swoich dziedzinach, gatunkach, zawsze starannie wychwycone z rynkowej ławicy.

Tak samo zresztą bywało – bo właśnie na tym polega zasadnicza przewaga małych księgarń – w wielu innych sklepach z książkami, w których, w miarę dorastania i pogłębiającej się książkofilii, bywałem. Np. w kultowym antykwariacie mieszczącym się (ledwo się mieszczącym, szczerze mówiąc) w niedużym blaszanym pawilonie na samym końcu bazaru przy Hali Mirowskiej. W latach 90. był to prawdziwy skarbiec dla wielbicieli fantastyki, do których się wówczas zaliczałem, co się do dzisiaj nie zmieniło. W wielkich kartonowych pudłach zajmujących niemal całe wnętrze – nie licząc wąziutkiego korytarza prowadzącego na zaplecze i stolika z krzesłem dla właściciela – upchane były w sposób niewątpliwie sprzeczny z prawami fizyki wszystkie bodaj wydane kiedykolwiek (a być może także niewydane i nienapisane) książki fantastyczne świata. Władzę nad tym uniwersum sprawował starszawy, posępny, niewysoki, ćmiący papierosa za papierosem antykwariusz. Na prawym przegubie nosił modny wówczas srebrny łańcuszek, na palcu środkowym lewej ręki – masywny złoty sygnet, a tego wizerunku, który skądinąd zdawał mi się niebywale stylowy, dopełniała czupryna ewidentnie ufarbowana na jakiś nieznany naturze odcień brązu. Na każde pytanie, czy taka to a taka książka znajduje się w jego zasobach, stylowy antykwariusz nieodmiennie odpowiadał twierdząco, wypuszczając przy tym nosem kłęby dymu. A potem ją wydobywał – jednym, nieomylnym gestem, bez żadnych zawahań i obiekcji. Doprawdy, gdyby istniała duchowa praktyka „odnajdywania książek zen" – byłby w niej niewątpliwie zrealizowanym mistrzem.

Ale tego antykwariatu już dawno nie ma, podobnie jak mnóstwa innych klimatycznych, autorskich, mniejszych lub większych warszawskich księgarń. Zwłaszcza w ostatnich latach znikają one z miejskiej mapy w zastraszającym tempie. I tak: nie ma już świetnej księgarni na placu Wilsona, zaraz przy przystanku 116 (zastąpił ją... kebab); nie ma księgarni Leksykon na Nowym Świecie z malowniczo wylegującym się w witrynie kotem (zastąpiła ją jedna z sieciowych księgarń – dobre i to); nie ma dwupoziomowej, zawsze skrywającej jakieś skarby księgarni Żeromskiego u zbiegu alei Solidarności i Jana Pawła II; nie ma legendarnego antykwariatu Logos przy Ujazdowskich; i nie ma małej a smacznej księgarni przy Gagarina, niedaleko skrzyżowania z Czerską.

Na szczęście wciąż jeszcze istnieją i działają: Najlepsza Księgarnia przy Cieszkowskiego na Żoliborzu; księgarnie Prusa i Liber na Krakowskim Przedmieściu; dwie cudowne kluboksięgarnie Big Book Cafe – jedna przy Dąbrowskiego, a druga, od niedawna, na Koszykowej (w miejscu niegdysiejszej księgarni MDM); doskonale zaopatrzona księgarnia Nike (będąca częścią sieci Liber) przy Puławskiej; a także antykwariat Warszawa przy Wiśniowej, gdzie przemiły antykwariusz zawsze pomaga wyszukiwać najrzadsze okazy.

Niestety, lista nieistniejących księgarń jest znacznie dłuższa niż tych istniejących – i wciąż rośnie. Tak samo jest w innych miastach. Także i Wy, drodzy Czytelnicy i Czytelniczki, moglibyście zapewne dopisać do niej kolejne smutne punkty na Waszych czytelniczych mapach. Ilekroć chodzę ulicami i spostrzegam te pustki, zastanawiam się, czy władze (miejskie i ogólnopolskie) naprawdę nie rozumieją, że każdy sensowny program promowania czytelnictwa, ba, każdy sensowny program dbania o kulturę powinien zaczynać się od wsparcia małych księgarń i antykwariatów (dużych zresztą też)? Bo to są przecież miejsca, w których bije tej kultury tętno. To jest jej krwiobieg, sieć czakramów, system nawadniania, bez którego nie ma życia, wzrostu i rozwoju. Bo to są – podobnie zresztą jak biblioteki, o których z pewnością jeszcze napiszę – obszary autentycznej inicjacji w czytanie, a zatem w praktykę, która rozwija najważniejsze intelektualne, moralne i społeczne kompetencje. I która dlatego – w najszerszym możliwym sensie – sprzyja zmianie świata na lepsze. A przecież tego właśnie świat rozpaczliwie potrzebuje. ©

ZUZANNA

Radzik:
Gdy spełnia się pismo

To niby oczywiste: nadchodzi Adwent, więc czytamy Księgę Izajasza. Najwięcej jej w niedzielnym i codziennym lekcjonarzu, zatem słyszymy ją na niedzielnej mszy i na roratach. Najwięcej też w brewiarzowych godzinach czytań. Jest z czego czerpać: to jedna z najdłuższych ksiąg biblijnych. Być może jedna z najlepszych literacko, bo „Izajasze" – bibliści nie mają wątpliwości, że autorów i redaktorów jest paru, a tekst powstawał między VIII a VI wiekiem p.n.e. – są znakomitymi literatami i poetami. Znamy melodię ich słów, pobrzmiewają nam one, cytowane w Nowym Testamencie jako spełnione. Izajasz buduje nam w głowach schemat historii zbawienia: wybranie, upadek i łamanie przymierza przez ludzi, a po karze i upadku – wybawienie. W dodatku finałem staje się wielbienie Boga Izraela przez wszystkie ludy Ziemi. Nic dziwnego, że Izajasz jest tak obficie cytowany w Nowym Testamencie. Ruchowi Jezusowemu pasował jak ulał do tego, w co wierzyli, widząc w Jezusie spełnienie zapowiedzi proroków.

Ale co ważniejsze, czytelnicy Księgi Izajasza w różnych czasach są przekonani, że mówi ona właśnie o nich. Słyszą się w tej księdze. To tekst adwentowy uniwersalny, mówiący o nadchodzącym czasie, Bogu w historii, zbawieniu i lepszych stosunkach społecznych. Tym, na co wszyscy czekamy. Łaja i obiecuje wybawienie oraz głosi miłosiernego Boga.

Jako odnoszący się właśnie do nich czytali go członkowie wspólnoty z Qumran nad Morzem Martwym, gdzie znaleziono 21 jego kopii, wraz z najdłuższym i kompletnym Wielkim Zwojem Izajasza, datowanym na 125 r. p.n.e. W Qumran znaleziono także sześć peszarim, czyli interpretacji Księgi Izajasza. Już w II wieku p.n.e. tekst był właściwie tym, który znamy (choć są różne warianty niektórych fragmentów), był ważny, czytany, interpretowany i religijnie przeżywany. Tekst, który mówi właśnie o nas – uważali uwcześni Żydzi różnych nurtów: ruch Qumran, inne grupy, uczniowie Jezusa. Wreszcie sam Jezus, który w Ewangelii Łukasza zaczyna publiczną działalność od interpretowania w synagodze haftary, czyli czytania z proroków zaczerpniętego z Księgi Izajasza. Jezus też mówi: to o mnie. A dokładniej: „Dziś spełniły się te słowa Pisma, któreście słyszeli".

Jako tekst o nich i o ich czasach czytali go kolejni – pokolenia Żydów i wyłonionych z judaizmu chrześcijan. Jego interpretacja budzi spór między tymi grupami, ale wciąż jedni i drudzy sięgają po niego w modlitwach i rozważaniach, rozglądają się wokół i czują dreszcz. Bo w naszej antycypacji lepszego, innego świata chcemy słyszeć o nadziei, o sądzie sprawiedliwym, o miłosiernym i wybaczającym Bogu, który nas przygarnie. O możliwej harmonii między ludźmi i o sprawiedliwości. O pokoju chcemy słuchać! Jakże chcemy, w świecie udręczonym przez złych, chciwych i brutalnych przywódców, by przyszedł Książę Pokoju, wyrwał świat z kleszczy przemocy i nas ukoił.

Adwent z Izajaszem to czas z niezmienną ludzką nadzieją, że może być lepiej. Odwieczną, bo skoro zapisał ją ponad 2700 lat temu, a nas wciąż chwytają za serce i prowadzą jego słowa, to znaczy, że ta nadzieja jest zawsze taka sama. Jaka potęga tekstu jest w tym, że poetycki zapis płomiennego serca proroka stał się lekturą wszech czasów, że rezonuje z kolejnymi pokoleniami.

Być może najpiękniej o prorokach pisał Abraham Joshua Heschel, który tworzył swój doktorat o świadomości proroka, boleśnie zanurzony w historię XX-wiecznej Europy. Dysertację obronił w 1932 r., kilka tygodni przed dojściem Hitlera do władzy. Gdy wydawał jego rozszerzoną wersję w Stanach Zjednoczonych w 1962 r., znów historia działa się wokół, a on sam był zaangażowany w ruch walki o prawa obywatelskie. Być może właśnie ze względu na zanurzenie w nurt życia, słowa Heschela o prorokach czuje się na skórze. „Prorocy nie proponują nam rozmyślania nad ogólnymi ideami – pisze we wstępie do „Proroków" Heschel. – Ich słowa są gwałtownym atakiem, który torpeduje nasze złudzenia fałszywego bezpieczeństwa, stanowi wyzwanie dla uników, które zwykliśmy robić, weryfikuje naszą wiarę, podważa naszą ostrożność i bezstronność".

Prorocy nie są od przepowiadania przyszłości jak jacyś wróże. Oni są od nazywania rzeczywistości najprawdziwiej. Czytania „znaków czasu", co i my mamy robić. „Jego głos rzadko jest miły czy pieszczotliwy – pisze Heschel. – Często przynosi pocieszenie i ukojenie od ciężaru; ale jego słowa nierzadko uderzają niczym biczem, zdają się nawet potworne – ich zadaniem jest wstrząsnąć, a nie poruszyć". Prorocy podnoszą krzyk, odczuwają zdumiewającą irytację w obliczu niesprawiedliwości, ale też, jak Izajasz w ostatnich rozdziałach, winy nasze i słabości widzą jako błahostki wobec szalonej miłości Boga. ©

POŻEGNANIE

Odszedł od nas wybitny pisarz i przyjaciel

Paweł Huelle

(1957-2023)

Prozaik, poeta, dramaturg, scenarzysta, filozof, wykładowca, erudyta, wspaniały człowiek.

Związany z Gdańskiem autor wielu wybitnych powieści i opowiadań, m.in. „Weisera Dawidka", „Opowiadań na czas przeprowadzki", „Śpiewaj ogrody" czy „Tality".
Za swoją twórczość wyróżniony m.in. Nagrodą Fundacji im. Kościelskich, Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, Srebrnym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis" oraz Paszportem „Polityki".

Rodzinie i bliskim najserdeczniejsze wyrazy współczucia składają

PRZYJACIELE Z WYDAWNICTWA ZNAK

EUROPA CHCE BYĆ PSEM

W Brukseli dokonuje się strategiczna zmiana w myśleniu o świecie. Powszechna dziś już zgoda na przyjęcie do Unii dziewięciu nowych członków to reakcja na rosyjską agresję, chińską ekspansywność i polityczną niestabilność w USA.

PIOTR OLEKSY

ABDULA BERISHA / ANADOLU / GETTY IMAGES

Baldrick, niezbyt rozgarnięty sługa na dworze księcia Jerzego Hanowerskiego, stanął przed zadaniem stworzenia słownikowej definicji psa. „Nie kot" – powiedział po dłuższym namyśle.

Tę scenę z komediowego serialu „Czarna żmija" przywołał w 2020 r. felietonista tygodnika „Economist", piszący pod pseudonimem Charlemagne (Karol Wielki). Jego zdaniem właśnie w ten sposób Europę definiują jej liderzy: z przekonaniem deklarują, że Europa nie jest Rosją, Chinami ani nawet USA. Od każdego z tych państw różni się jakościowo, czy to w zakresie swobód i demokracji, czy to troski socjalnej. Natomiast problem pojawia się, gdy przychodzi stworzyć definicję pozytywną: czym jest Europa?

Strategiczna konieczność

Niedawno, we wrześniu, ten sam „Economist" ogłosił na okładce: Unia Europejska musi stać się większa. Dał tym wyraz nastrojom panującym od niedawna wśród liderów Unii. Jej dalsze rozszerzenie, od 2011 r. (tj. od przyjęcia Chorwacji) traktowane jako temat niechciany, jest dziś przedstawiane jako strategiczna konieczność. W „Deklaracji z Grenady", wieńczącej październikowy szczyt Rady Europejskiej, czytamy: „Rozszerzenie jest geostrategiczną inwestycją w pokój, bezpieczeństwo, stabilność i dobrobyt".

Przyjęcie nowych członków ma dać Unii dodatkową siłę i skalę, które pozwolą jej zająć należne miejsce w tworzącym się świecie wielobiegunowym. Unia, dotąd postrzegana jako projekt głównie polityczny i społeczno-ekonomiczny, ma stać się także geopolitycznym graczem. Ma być zdolna do tego, by rywalizować z innymi potęgami i kształtować ład światowy zgodnie ze swoim modelem funkcjonowania: szerząc demokrację, troszcząc się o praworządność i prawa mniejszości, ograniczając korupcję i nadużycia władzy.

Rozszerzenie, o którym obecnie się mówi, byłoby krokiem podobnym do tego z lat 2004-07, gdy Unia przyjęła dwanaście krajów, w tym dziesięć z byłego bloku sowieckiego. Teraz w grze jest dziewięć: Albania, Bośnia i Hercegowina, Czarnogóra, Gruzja, Kosowo, Serbia, Macedonia Północna, Mołdawia i Ukraina. Łącznie 70 mln ludzi. Przewodniczący Rady Europejskiej Charles Michele uważa, że przyjęcie ich będzie możliwe już w 2030 r.

Bałkany pytają: a my?

Rewolucja w podejściu do dalszego rozszerzenia dokonała się w Unii po rosyjskiej inwazji na Ukrainę. Kijów złożył wniosek o członkostwo cztery dni po tym, jak Moskwa odpaliła rakiety. W ślad za Ukrainą poszły wkrótce Gruzja i Mołdawia. W czerwcu 2022 r. Ukraina i Mołdawia otrzymały status kandydata na członka Unii. W przypadku Gruzji wstrzymano się z decyzją, wskazując na problemy z przejrzystością tamtejszej polityki.

Decyzje te wywołały w bałkańskich stolicach niezadowolenie, nawet oburzenie. Nie chodziło tu o niechęć wobec państw posowieckich, lecz fakt, iż Mołdawia i Ukraina przeskoczyły dwa stopnie naraz. Chwilę wcześniej nie były nawet objęte polityką rozszerzenia Unii, lecz polityką sąsiedztwa, z którą nie wiązała się perspektywa członkostwa. Tymczasem w Albanii, Czarnogórze czy Macedonii Północnej pamięta się, jak wiele wysiłków włożono tam, by otrzymać status kandydata. Ostatnie z tych państw musiało nawet zgodzić się na zmianę nazwy, by zakończyć trwający prawie trzy dekady spór z Grecją. ↦

Przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen i premier Macedonii Północnej Dimitar Kovačevski. Skopje, Macedonia Północna, 30 października 2023 r.

↦ Pojawiła się też obawa, że Kijów i Kiszyniów nie tylko dogoniły kraje bałkańskie, lecz za chwilę – korzystając z politycznej przychylności – mogą je przegonić. Przy czym dla Unii utrzymanie jej wiarygodności i wpływów na Bałkanach jest równie istotne. Dlatego nowa dynamika w kwestii rozszerzenia musi dotyczyć także tego regionu.

Pilnują tego zresztą takie kraje jak Chorwacja, Austria, Rumunia, a nawet Węgry (w tym wypadku wynika to z relacji premiera Orbána z tymi bałkańskimi liderami, którzy balansują między Zachodem a Rosją i Chinami). W efekcie, dzięki przyśpieszonemu trybowi, w grudniu 2022 r. status kandydata otrzymała też Bośnia i Hercegowina.

VANO SHLAMOV / AFP / EAST NEWS

Prounijna demonstracja Gruzinów, która odbyła się kilka dni po tym, gdy Komisja Europejska zaleciła odroczenie kandydatury Gruzji. Tbilisi, 20 czerwca 2022 r.

Francuski zwrot

Unijni dyplomaci, z którymi rozmawiałem, przyznają, że po tym, jak Ukraina złożyła wniosek o członkostwo, wśród unijnych liderów i urzędników zapanowała konsternacja. Nikt nie wiedział, jak się w tej sytuacji odnaleźć. Jeszcze przed chwilą jakiekolwiek rozszerzenie Wspólnoty zdawało się sprawą odległą, a już o Ukrainie nikt nie myślał w tym kontekście. Ale nastrój chwili nie pozwalał na odrzucenie lub zepchnięcie do „zamrażarki" jej wniosku.

Polacy podjęli inicjatywę natychmiast. Jednak argumenty naszej dyplomacji i prezydenta Andrzeja Dudy przekonywały głównie liderów państw Europy Środkowej. Z perspektywy czasu widać, że kluczowe znaczenie dla stworzenia nowej dynamiki miała postawa dwojga liderów: najpierw przewodniczącej Komisji Europejskiej Ursuli von der Leyen, a następnie prezydenta Francji Emmanuela Macrona.

Przewodnicząca von der Leyen jako pierwsza spośród zachodnich przywódców dostrzegła w tym strategiczną szansę dla Unii. Zaczęła rozmowy z przywódcami Francji, Holandii i Danii – państw tradycyjnie sceptycznych wobec przyjmowania nowych członków. Jej gotowość do zdecydowanych działań, która zwykle jest przyczyną napięć w Unii, tym razem odniosła dobry skutek.

Natomiast Macron włączył się do gry wiosną 2023 r., dokonując zwrotu we francuskiej polityce wobec Europy Środkowo-Wschodniej i Bałkanów. Dotąd cechowała się ona dużym dystansem, a Paryż odsuwał dyskusję o rozszerzeniu, argumentując, że Unia nie jest na to gotowa. Sygnałem tego zwrotu było przemówienie Macrona w Bratysławie w maju 2023 r.: stwierdził tam, że Europa Zachodnia niewystarczająco wsłuchiwała się w środkowo- i wschodnioeuropejskie apele „o uznanie historii i bolesnych wspomnień".

Macron nawiązał też do słynnych słów prezydenta Jacques'a Chiraca, który w 2004 r. skarcił nowych członków Unii za wsparcie inwazji USA na Irak. „Niektórzy mówili, że przegapiliście okazję, by milczeć. Ja mówię, że czasami to my przegapialiśmy okazję, by was słuchać. Ten czas już minął" – powiedział teraz Macron. Wiele wskazuje, że zaczął on postrzegać rozszerzenie Unii jako krok ku realizacji swojej wizji autonomii strategicznej Europy – wzrostu jej geopolitycznego znaczenia i większej niezależności od USA.

Przyspieszenie: wobec Europy Wschodniej...

Następnym krokiem po nadaniu statusu kandydata jest zgoda na otwarcie negocjacji akcesyjnych, której udziela Rada Europejska. Przywódcy państw członkowskich muszą być tu jednomyślni. Kolejny etap to określenie ram negocjacji. Jeszcze kolejny: ich realny start. Negocjacje to proces mozolny i złożony, mogą trwać latami lub zatrzymać się na długi czas.

Na początku listopada Komisja Europejska zarekomendowała nadanie statusu kandydata Gruzji, otwarcie negocjacji z Ukrainą i Mołdawią oraz przyjęcie pewnych działań wobec państw bałkańskich. Decyzje w tych kwestiach mają zapaść na szczycie Rady Europejskiej 14 i 15 grudnia 2023 r. Rekomendacje Komisji odebrano jako pozytywny sygnał. Tymczasem nie jest on tak jednoznaczny, jak powszechnie się wydaje.

Zdaniem Komisji, choć Kijów zrealizował tylko cztery z siedmiu „kroków" (Unia unika słowa „warunki), które określono latem 2022 r., to zasłużył na otwarcie rozmów akcesyjnych. Niemniej Komisja podkreśla już teraz, że określenie ram negocjacyjnych będzie możliwe dopiero po zwiększeniu przez Ukrainę wysiłków na rzecz walki z korupcją, dostosowaniu regulacji o lobbingu do unijnych standardów (ma to ograniczyć wpływy oligarchów) i po wprowadzeniu rekomendacji Komisji Weneckiej do ustawy o mniejszościach narodowych.

Mniej zastrzeżeń dotyczyło Mołdawii. Wskazano, że musi wzmocnić wysiłki na rzecz reformy wymiaru sprawiedliwości, walki z korupcją i deoligarchizacji – przy czym nikt nie ma wątpliwości, że punkty te są w agendzie tamtejszych władz. Na tym etapie Komisja nie odnosi się za to do największego wyzwania dla członkostwa Mołdawii, którym jest istnienie Naddniestrza (parapaństwa, *de iure* części Mołdawii) i obecność tam rosyjskiej armii.

Gdy idzie o Gruzję, Komisja miała zastrzeżenia wobec woli jej władz, by zwalczać zewnętrzną (tj. rosyjską) dezinformację i ingerencję, a także zaznaczyła, że polityka zagraniczna Tbilisi musi być

bardziej zgodna z polityką Unii. Podkreślono też, że dotąd Gruzja zrealizowała jedynie trzy z dziewięciu wskazanych wcześniej „kroków". Można się spodziewać, że w grudniu Gruzja otrzyma status kandydata, ale że będzie to bardziej sygnał wysłany w stronę tamtejszego społeczeństwa, a nie władz.

...oraz wobec Bałkanów

W przypadku państw bałkańskich sprawa jest bardziej złożona. Przy czym warto pamiętać, że większość z nich jest o krok dalej – negocjacje akcesyjne zostały otwarte już jakiś czas temu. Jednak postępy w kluczowych sferach idą dość powoli.

I tak, Czarnogóra jest w stanie ciągłej politycznej zawieruchy. Bośnia i Hercegowina jest szarpana wewnętrznymi podziałami. Europejski kierunek Serbii ma wymiar bardziej formalny niż realny, a poza tym w ostatnim czasie zaognił się spór z Kosowem. To ostatnie, poza problemami wewnętrznymi i konfliktem z serbską sąsiadką, będzie musiało zmierzyć się z faktem, że wciąż nie jest uznawane przez niektóre państwa Unii (np. Hiszpanię i Rumunię).

Teoretycznie największe postępy robią Albania i Macedonia Północna. Od Tirany oczekuje się jednak przyśpieszenia reform, Skopje zaś jest blokowane przez spór historyczno-tożsamościowy z Bułgarią. Aby go zażegnać, konieczna jest zmiana konstytucji – Bruksela i Sofia chcą, by wśród wymienionych w niej mniejszości narodowych znaleźli się Bułgarzy. Rządząca w Skopje koalicja nie ma jednak wymaganej do tego większości, a prawicowa opozycja nie chce słyszeć o żadnych ustępstwach dotykających sfery tożsamości narodowej.

Listopadowe rekomendacje Komisji Europejskiej nie wzbudziły więc entuzjazmu na Bałkanach. Jednocześnie wielu przyznaje, że w tym wypadku nie było czego ogłaszać.

A co z reformą Unii?

W „Deklaracji z Grenady" znajdziemy stwierdzenie, że przygotowując się do przyjęcia nowych członków, Unia „musi przeprowadzić niezbędne prace i reformy wewnętrzne". Dyskusja na temat zmian w funkcjonowaniu Wspólnoty rozpala emocje także polskich polityków. Z perspektywy państw kandydujących pojawia się za to pytanie: czy reformy nie zablokują rozszerzenia? Lub wręcz: czy dyskusja o reformach nie ma pełnić funkcji hamulca?

> Czy prorosyjskie rządy Węgier i od niedawna także Słowacji nie zablokują przyjęcia do Unii Ukrainy? Jak pogodzić **interes polskich rolników ze strategią rozszerzenia?**

Trudno się nie zgodzić, że jeśli Unia ma stać się jednocześnie większa i bardziej sprawcza, musi przebudować swoje instytucje i zmienić sposób podejmowania decyzji. Jeśli Europa ma być naprawdę psem, a nie tylko „nie-kotem", musi mieć możliwość działania. Już teraz widać, jak trudno dojść do porozumienia w gronie dwudziestu siedmiu państw. Co dopiero, gdy będzie ich trzydzieści sześć [o tej dyskusji pisał Dariusz Rosiak, „TP" nr 46/2023 – red.].

Zagrożeń jest więcej. Można postawić pytanie, na ile zwrot w polityce Macrona wobec Europy Wschodniej i Bałkanów to faktyczna zmiana strategii, a na ile deklaracja, która nie przetrwa kolejnego cyklu wyborczego. Podobne pytania można stawiać wielu innym krajom zachodnim.

Niepokój budzi też nasz region. Czy prorosyjskie rządy Węgier i od niedawna także Słowacji nie zablokują przyjęcia Ukrainy? Jak pogodzić interes rolników z Polski czy Bułgarii ze strategią rozszerzenia Unii? Czy nie stanie się ona kartą przetargową w innych trudnych sprawach, jak polityka migracyjna czy ekologia?

Mentalna zmiana w Brukseli

Unijni dyplomaci i pracownicy Komisji Europejskiej, z którymi rozmawiałem, w prywatnych rozmowach podzielają te obawy. Jednocześnie podkreślają skalę zmiany, która dokonała się w myśleniu o Europie.

Obecna powszechna zgoda na przyjęcie nowych członków ma podłoże w myśleniu strategicznym. Jest reakcją na rosyjską agresję, chińską ekspansywność, turecką asertywność i polityczną niestabilność w USA. Jakby liderzy Unii przypomnieli sobie, że w przeszłości Wspólnota zawsze rozwijała się i umacniała w procesie rozszerzenia, który generował konieczność zmian wewnętrznych. Jednocześnie największą moc sprawczą dawała jej siła przyciągania: wizja, że kiedyś możesz stać się jej członkiem (tak było przecież także w przypadku Polski i reform, których musiała dokonać, by w 2004 r. wejść do Wspólnoty).

Mentalna zmiana jest w Brukseli odczuwalna na wielu poziomach. Nie oznacza to jednak, że panuje tam optymizm. Przeciwnie: wszyscy są świadomi, w jak fatalnej sytuacji jest Ukraina. W jej przypadku rozszerzenie jest więc rozumiane jako próba wyjścia naprzeciw jej dramatowi. Zarówno temu, który już się wydarzył, jak i temu, który jeszcze się wydarzy.

A jednak koń

Jednocześnie chyba wszyscy w Unii są świadomi, że wizja wielkiego rozszerzenia w roku 2030 jest mało realna. Choć dziś mówi się o przyjęciu wszystkich dziewięciu państw, czas zapewne to zweryfikuje. Wejście do Unii dwumilionowej Macedonii to przecież nic w porównaniu z integracją Ukrainy. Może się więc okazać, że dla zachowania dynamiki i wiarygodności Unia przyjmie na razie tylko mniejszych kandydatów.

Ważne, by cały ten proces przebiegał w sposób przejrzysty i zrozumiały. Unia rozbudziła wielkie oczekiwania w dziewięciu społeczeństwach. Nagły odwrót spowodowałby kryzys jej wiarygodności i co za tym idzie, ograniczenie możliwości jej oddziaływania.

Na licznych konferencjach i spotkaniach eksperckich Ukraińcy i Mołdawianie, pełni entuzjazmu, spotykają teraz swych kolegów z państw bałkańskich – nieco zmęczonych, lekko cynicznych, patrzących na cały ten szum z dystansem. Ich postawa mówi: spokojnie, my już w tym miejscu byliśmy.

W Unii naprawdę zaszła rewolucja w myśleniu o strategii, w tym o jej rozszerzaniu. Ale to nadal ta sama Unia, która potrzebuje czasu, ton papieru, lat rozmów i jednocześnie wymaga od kandydatów realnych zmian. Koledzy z Bałkanów mogliby powiedzieć: nieważne, czy to pies, czy nie-kot... Bo koń jaki jest, każdy widzi. A mimo to wszyscy chcą go mieć.

© PIOTR OLEKSY

DAVID CANALES / SOPA IMAGES / LIGHTROCKET / GETTY IMAGES

Demonstracja przeciwko amnestii dla katalońskich separatystów, Madryt, 18 listopada 2023 r.

Jak amnestia podzieliła cały kraj

AGNIESZKA ZIELIŃSKA Z ANDALUZJI

Od początku wieku tylko kilka spraw zbulwersowało Hiszpanów do tego stopnia, że milion z nich wyszło na ulice: terroryzm, wysłanie żołnierzy do Iraku – oraz nowy rząd Pedra Sáncheza.

Protesty nie ustają – choć nie są już tak liczne, jak pamiętnego 18 listopada.

– Źródła rządowe mówiły o 170 tys. uczestników, a my mieliśmy dron i wiemy, że był nas ponad milion. Kiedy stałam na madryckiej Plaza de Cibeles, czułam tyle emocji i ogromną nadzieję na zmianę – mówi „Tygodnikowi" Inma Castilla de Cortázar, wiceprzewodnicząca Forum Wolności i Alternatywy. Forum – wspólnie z setką innych instytucji i organizacji pozarządowych – zorganizowało protest w Madrycie 18 listopada. Ich inicjatywę wsparły Partia Ludowa (PP) i VOX, a także grupy sędziów, policjantów oraz kilkudziesięciu emerytowanych wojskowych.

Nowy rząd

Tuż po godzinie 12 czerwono-żółto-czerwone flagi pokryły Plaza de Cibeles. Tego dnia w okolicach miejsca protestu flagę Hiszpanii za 5 euro można było kupić niemal wszędzie. Zgromadzenie odbyło się pod hasłem „»Nie« dla amnestii i samostanowienia". Protestujący nawiązali w ten sposób do koalicji rządowej, która zawiązała się po lipcowych wyborach. W jej ramach partie z Katalonii poparły nowy rząd socjalistów w zamian za prawo amnestii dla katalońskich separatystów i obietnicę referendum niepodległościowego. A to rozgniewało protestujących.

Z madryckiego Plaza de Cibeles apelował do Sáncheza lider Partii Ludowej, Alberto Núñez Feijóo: „Wróćmy do zdrowego rozsądku, konstytucji, trójpodziału władzy i niezawisłości sędziowskiej". Z kolei kataloński polityk Carlos Carrizosa, przywódca prawicowej partii Ciudadanos, oskarżył Hiszpańską Socjalistyczną Partię Robotniczą (PSOE) Sáncheza o „chronienie kasty niedotykalnych, którzy pozostaną bezkarni za to, co zrobili", mówiąc w ten sposób o organizatorach nielegalnego referendum w sprawie niepodległości Katalonii w październiku 2017 r.

W Hiszpanii do protestów w różnej formie dochodzi od 3 listopada, czyli tuż po podpisaniu umowy koalicyjnej między PSOE i Republikańską Lewicą Katalońską (ERC). Media społecznościowe, zwłaszcza platformę X (dawniej Twitter), zdominowały tweety z hasztagiem #NN, czyli Noviembre Nacional (narodowy listopad), które są wyrazem protestu wobec rosnących przywilejów i groźby secesji Katalonii. Złośliwi żartują nawet, że Sánchezowi po raz pierwszy udało się zjednoczyć prawicę wokół jakieś sprawy.

Po nieudanej próbie lidera Partii Ludowej, która wygrała wybory, rząd udało się utworzyć dotychczasowemu premierowi. Cztery miesiące po wyborach parlamentarnych powstał kolejny, trzeci rząd socjalistów, a lider PSOE został już oficjalnie zaprzysiężony na premiera. W nowym rządzie znajdą się 4 wicepremierki i 12 kobiet na 22 ministerstwa. Sáncheza poparło 8 partii, ale do rządu wchodzą tylko dwie – PSOE i ultralewicowa Sumar, na której czele stoi Yolanda Díaz. Nowy rząd może liczyć na 179 głosów w 350-osobowym Kongresie Deputowanych.

Większości nie udałoby się osiągnąć bez głosów nacjonalistów i separatystów z Kraju Basków i Katalonii. Jak pisze konserwatywny „The American Spectator", Sánchez „sprzedał naród za kaprysy

tych, którzy zorganizowali zamach stanu w 2017 roku", a w ramach kolacji „porozumiał się z byłymi terrorystami z ETA", czyli politykami z partii EH Bildu z Kraju Basków.

Mimo podpisanych koalicji i zaprzysiężenia nowego premiera protesty nie ustępują. W ramach indywidualnego protestu 28-latek z Toledo postanowił przykuć się do drzewa naprzeciwko Kongresu Deputowanych, czyli hiszpańskiej izby niższej. Adán Sánchez przez 48 godzin prowadził strajk głodowy – był to jego bunt wobec amnestii dla separatystów. Nie skusił się nawet, kiedy nieznana osoba zamówiła mu jedzenie z McDonalda. Młody hydraulik szybko stał się gwiazdą w mediach społecznościowych. Jak przypomina, „Pedro Sánchez w kampanii obiecywał, że nie będzie współpracował z separatystami i że postawi [Carlesa] Puigdemonta przed sądem, a teraz z nim współpracuje".

Taniec z nadmuchiwanymi lalami

Sánchez pisał o tym także w tweecie z 6 listopada 2019 r.: „Nikt nie jest ponad prawem. Puigdemont jest uciekinierem przed wymiarem sprawiedliwości. Będziemy pracować nad tym, aby hiszpański wymiar sprawiedliwości mógł go bezstronnie osądzić". Kataloński polityk, aby uchronić się przed konsekwencjami prawnymi za organizację nielegalnego referendum uciekł w 2017 r. do Belgii. Kiedy prawo o amnestii zostanie uchwalone, będzie mógł wrócić do Barcelony i zamieszkać tam ze swoją rodziną.

Dziś Sánchez zmienia opinię, bo potrzebuje głosów z partii Puigdemonta. Siedmiu polityków Junts daje Sánchezowi większość w parlamencie. Nie wydaje się to jednak większość stabilna. Jak mówił na początku listopada Puigdemont, „Sánchez musi walczyć o stabilizację dzień po dniu".

Hiszpańscy politolodzy są zgodni, że ani Sánchez nie jest zwolennikiem niepodległości Katalonii, ani Puigdemont nie jest socjalistą. Obu polityków do rozmów zachęciła tylko arytmetyka parlamentarna. Niemiecki tygodnik „Der Spiegel" pisze o Sánchezie, że jest „Viktorem Orbánem z południa" i nazywa go „zdrajcą". Podobnie jak kilkuset młodych ludzi, którzy niezmiennie od 3 listopada protestują przed główną siedzibą socjalistów w Madrycie.

Ikoną protestów z madryckiej dzielnicy Argüelles, znanej z Plaza de España i pomnika don Kichota jest Iñigo van Eyck. Mężczyzna w podeszłym wieku występuje często z nadmuchiwanymi lalami. W ten dość wizualny sposób chce pokazać amoralność grupy posłów PSOE, którzy jego zdaniem „sprzedają Hiszpanię". Spektakl z lalami nawiązuje do skandalu z udziałem socjalistów w domach publicznych w Andaluzji z 2019 r. Protesty przed siedzibą PSOE gromadzą też grupy radykałów. Są wśród nich faszyści śpiewający zakazane pieśni, które pełniły funkcje nieoficjalnych hymnów za czasów generała Franco. W okolicach kościołów najczęściej widać z kolei protestujących karlistów. To przedstawiciele hiszpańskiego ruchu społeczno-politycznego, który dąży do odtworzenia konserwatywnego i prokatolickiego kraju.

Dla kogo amnestia

Protestów przeciwko amnestii nie popiera z kolei 80-letni Katalończyk Josep Riera Torrent. Mężczyzna mieszka w 11-tysięcznej gminie Torroella de Montgrí w okolicach Girony. Jak sam o sobie mówi: nie jest ani prawicowy, ani lewicowy.

– Co to za demokracja, w której nie można zorganizować referendum? Oskarżono nas o przemoc i zamieszki po referendum, ale kto wysłał do nas policjantów z Madrytu? – mówi „Tygodnikowi" Riera Torrent.

Mężczyzna nie rozumie też, dlaczego środowiska sędziowskie protestują przeciwko prawu amnestii dla katalońskich separatystów. – Sędziowie orzekają według porządku prawnego, ale prawo tworzy władza wykonawcza. Dopiero według niego sędziowie wydają swoje wyroki – mówi 80-latek, który zasłynął z tego, że do swojego domu zaprosił kilku imigrantów z Afryki Subsaharyjskiej. Dał im schronienie, nauczył katalońskiego, pomógł znaleźć pracę, a oni traktują go jak dziadka.

Projekt amnestii, na razie jedynie złożony w izbie niższej parlamentu, popiera też wicepremierka Yolanda Díaz, liderka Sumar. Jej zdaniem „amnestia została zaprojektowana tak, aby pomóc zwykłym ludziom, dyrektorom szkół, którzy 1 października 2017 roku otworzyli swoje szkoły na głosowanie podczas referendum, a teraz ponoszą tego konsekwencje prawne". Rząd szacuje, że łącznie może chodzić o około 400 osób, z czego nieco ponad 100 to politycy lub urzędnicy powiązani z organizacją referendum. Reszta to protestujący lub aktywiści, skazani za przestępstwa przeciwko porządkowi publicznemu.

22 listopada sąd skazał Oleksandra S., młodego Ukraińca z okolic Barcelony na siedem i pół roku więzienia. Mężczyzna podczas zamieszek w październiku 2019 r. rzucił petardą w dwóch policjantów. Protesty odbywały się tuż po tym, jak Sąd Najwyższy skazał dziewięciu katalońskich przywódców niepodległościowych za defraudację i organizację referendum. Usłyszeli oni wyroki od 9 do 13 lat więzienia. Po wyroku sądu w Katalonii narodził się nowy ruch Tsunami Democràtic, który promował i organizował protesty jesienią 2019 r. Teraz Oleksander S. i inni katalońscy separatyści mogą być objęci amnestią.

– To jakiś absurd – oburza się Inma Castilla de Cortázar z Forum Wolności i Alternatywy. – Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek ktoś odpuścił mi grzywnę za złe zaparkowanie samochodu, a tu rozmawiamy o sprawach zupełnie innej wagi. Prawo amnestii to po prostu prawo dżungli.

W podobnym tonie wypowiedział się sędzia Sądu Najwyższego Pablo Llarena, kiedy odbierał w Madrycie nagrodę Stowarzyszenia Adwokatów: „Kiedy przestanie się stosować prawo wobec niektórych obywateli, dopuszczając karanie innych za to samo zachowanie, w społeczeństwie pojawi się zwątpienie".

Większość spraw dotyczących amnestii ma przynajmniej 4 lata, gdyż były związane bezpośrednio z organizacją referendum albo reakcją na wyroki Sądu Najwyższego z 2019 r. Jak wyjaśnia Martí Majoral, rzecznik grupy prawników Alerta Solidària, większość protestujących dostała grzywny lub wyroki poniżej 2 lat pozbawienia wolności i te wyroki już odsiedziała: – Amnestia jest dość restrykcyjna i może pomijać akty protestu, które nie są bezpośrednio związane z referendum lub wyrokami z 2019 roku. Na przykład protesty przeciwko królowi – mówi Majoral.

Powrót do przeszłości

Amnestia i ułaskawienie często bywają mylone. I jedno, i drugie zwalnia z wyroku, ale ułaskawienie umożliwia daro- ↦

↦ wanie wyroku skazanym osobom, a amnestia odpuszcza przestępstwo niezależnie od tego, czy wyrok już zapadł. Ułaskawienie oznacza zatem całkowite lub częściowe odpuszczenie wyroku w trybie indywidualnym. Z kolei amnestia ma „charakter zbiorowy i zarządzana jest z powodów politycznych o nadzwyczajnym charakterze, takich jak zakończenie wojny domowej czy okresu wyjątkowego" – czytamy na stronie Królewskiej Akademii Języka Hiszpańskiego.

Hiszpania miała już ustawę o amnestii. W 1977 r., dwa lata po śmierci gen. Franco, uchwalono ją jako zasadniczy element przejścia od frankizmu do demokracji. Ustawę poparli wszyscy deputowani w Kortezach, z wyjątkiem Alianzy Popular (AP), formacji, z której powstała dzisiejsza Partia Ludowa (PP) oraz partii z Kraju Basków Euskadiko Ezkerra (EE). Regulacje z 1977 r. dotyczyły wszystkich więźniów politycznych, którzy dopuścili się przestępstw i wykroczeń przed ogłoszeniem ustawy.

Obecnie jednak amnestia nie jest uregulowana w hiszpańskiej konstytucji. A prawnicy są w tej kwestii podzieleni. Obrońcy uważają, że konstytucja 1978 r. wprost jej nie zabrania. Inni konstytucjonaliści twierdzą z kolei, że ustawa zasadnicza zabrania masowego ułaskawiania.

Amnestia dla separatystów, obietnica nowego referendum oraz umorzenie Katalonii 20 proc. długu budzi sprzeciw innych hiszpańskich Wspólnot Autonomicznych. – Chcemy, żeby Katalonia została w Hiszpanii, ale dlaczego redukowany jest dług tylko dla jednej Wspólnoty, która na potęgę wydaje miliony euro, między innymi na ambasady? – mówi Inma Castilla de Cortázar. Podkreśla, że z każdym rokiem rośnie liczba „ambasad" Katalonii. Do tej pory otworzyła ona swoje przedstawicielstwa m.in. we Francji, Meksyku, Wielkiej Brytanii, Stanach Zjednoczonych czy przy Unii Europejskiej.

Według badań prowadzonych na Uniwersytecie Karola III w Madrycie, od lat 90. XX w. w Hiszpanii wzrasta identyfikacja z konkretnym regionem. – W większości mieszkańcy Półwyspu Iberyjskiego mówią, że czują się Hiszpanami, albo w połowie Hiszpanami, a np. w połowie madrytczykami. Są jednak takie regiony w Hiszpanii, w których mieszkańcy czują większe przywiązanie do swojego regionu niż całego państwa. Chodzi zwłaszcza o Kraj Basków, Katalonię czy Walencję.

Katalończycy (raczej) chcą Hiszpanii

Według sondażu przeprowadzonego na przełomie października i listopada przez Centre d'Estudis d'Opinió, 52 proc. Katalończyków nie popiera niepodległości Katalonii. Z kolei w roku 2017, w którym przeprowadzono referendum, za secesją Katalonii było 49 proc. Katalończyków.

Inma Castilla de Cortázar wspomina konferencje z udziałem Katalończyków w Bostonie: – Katalończycy często podkreślają swoją odrębność od Hiszpanii. Czasem celowo rozmawiają z nami po katalońsku. I wtedy przypomina mi się wydarzenie w Bostonie, gdzie na pytanie, kto jest z Hiszpanii, wszyscy podnieśli rękę. Poza granicami jakoś czują więzy z krajem – mówi Castilla de Cortázar.

– Pytasz mnie, jak zagłosuję, jeśli zorganizują nowe referendum? – mówi Josep Riera Torrent. – To zależy od pytania. Jeśli pytanie będzie brzmiało: „czy jesteś za niepodległością Katalonii?" – wybiorę „nie". Żyjemy w czasach globalizacji, dlatego nie uważam, że Katalonia powinna być osobnym państwem. Ale myślę, że Hiszpania powinna być wielonarodowym krajem z dużą autonomią regionów.

Według 80-latka o narodzie możemy mówić w przypadku odrębnego języka, tradycji czy zwyczajów, a jego zdaniem Katalonia się do tego zalicza: – Przed przybyciem Burbonów do Hiszpanii w 1714 r. w Hiszpanii istniało wiele królestw. To Burbonowie na siłę stworzyli jedno królestwo, ale Hiszpania była, jest i będzie krajem wielonarodowym – tłumaczy Riera Torrent. – Rządzący muszą to zauważać, a nie walczyć o poparcie Katalonii tylko wtedy, kiedy potrzebują naszych głosów w parlamencie.

© AGNIESZKA ZIELIŃSKA

Wołanie o bochenek chleba

KATARZYNA MALAROWSKA

W Egipcie szaleje inflacja, rząd brutalnie ucisza krytyków. Ze Strefy Gazy nad granicę ciągną Palestyńczycy z nadzieją na ratunek. Niemal pewne jest tylko jedno: wynik wyborów prezydenckich.

Gdy rozmawiamy o pogarszającej się sytuacji w jego kraju, Mustafa, znajomy Egipcjanin, narzeka: – Inflacja nas zżera. Niektórzy, ci z uboższych warstw społecznych, ograniczają już spożywanie jedzenia. Na ulicach widać, jak bardzo są chudzi.

Eksperci prognozują, że na początku nowego roku wprowadzona zostanie czwarta już obniżka wartości funta egipskiego. Obecnie rządzący prezydent Abd al-Fattah as-Sisi, który najpewniej pozostanie u władzy trzecią kadencję z rzędu, wie, że czekają go trudne decyzje. Dlatego pod koniec września ogłoszono, że wybory prezydenckie odbędą się wcześniej, niż planowano. Zamiast głosować wiosną, Egipcjanie pójdą do urn w dniach 10-12 grudnia.

CENA POSTĘPU | Egipt jest drugim po Argentynie największym dłużnikiem Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Jego zadłużenie wzrosło z 37 mld dolarów w 2010 r. do 164 mld we wrześniu tego roku. Inflacja z kolei osiągnęła we wrześniu rekordowy poziom 40 proc. (w październiku spadła o 2 pkt. proc.). Gospodarka mocno ucierpiała z powodu pandemii COVID-19, a od czasu ponownej rosyjskiej inwazji na Ukrainę waluta uległa trzykrotnej dewaluacji (Egipt importował około 85 proc. pszenicy z Ukrainy i Rosji). Dla wielu ludzi z uboższych warstw społecznych mięso stało się luksusem. Brakuje dolarów amerykań-

ISLAM SAFWAT / GETTY IMAGES

Plakaty przedstawiające prezydenta Abdela-Fattaha El-Sisiego w tzw. Nowej Stolicy Administracyjnej, Egipt, 31 lipca 2023 r.

skich, które na czarnym rynku osiągają najwyższe kursy w historii. Najniższa miesięczna pensja w sektorze państwowym wynosi 3 tys. funtów (ok. 390 zł).

„Jeśli ceną postępu i dobrobytu narodu jest głód i pragnienie, to nie jedzmy i nie pijmy", komentował sytuację kraju prezydent Sisi podczas konferencji, która jesienią odbyła się w nowej stolicy administracyjnej Egiptu – kosztownym i jednym z wielu megaprojektów prezydenta. Nowoczesna stolica budowana w duchu *smart city* powstaje na pustyni na wschód od Kairu i może już się pochwalić najwyższym budynkiem w Afryce. Prezydent dodał: „Nie ważcie się mówić, że wy, Egipcjanie, wolicie jeść, niż budować i rozwijać się".

To wezwanie do poświęceń skrytykował ówczesny najpoważniejszy rywal prezydenta, Ahmad at-Tantawi. Mówił, że wizja Sisiego zakłada budowanie „wysokich budynków, miast i pałaców na pustyni", a nie zapewnia ludziom „godnego życia" z dostępem do dobrej edukacji i opieki zdrowotnej. Jednak w październiku Tantawi nagle zrezygnował z ubiegania się o fotel prezydenta. Od miesięcy informował, że władze egipskie go nękały i uniemożliwiały prowadzenie kampanii, a Egipcjanie, którzy chcieli zarejestrować poparcie dla innych kandydatów, byli prześladowani i aresztowani. 7 listopada rozpoczął się proces karny przeciwko Tantawiemu, oskarżono go o spiskowanie i nawoływanie do rozpowszechniania materiałów wyborczych bez zezwolenia.

Po wyeliminowaniu Tantawiego pozostali kandydaci nie stanowią dla obecnego prezydenta poważnego wyzwania. Sisi – sprawujący władzę żelazną ręką od 2014 r. – skutecznie dławi opozycję i głosy sprzeciwu. Najpewniej wygra trzecie wybory z rzędu. W 2018 r. zmienił konstytucję, która pozwoli mu rządzić do końca dekady. Przez pierwsze lata prezydentury Sisi faktycznie był postrzegany jako gwarant stabilności po Arabskiej Wiośnie i ugruntował swój wizerunek jako istotnego gracza na arenie międzynarodowej. Jednak w miarę pogłębiania się problemów gospodarczych stracił niezachwiane poparcie w kraju.

NEGOCJACJE | Do wyzwań stojących przed prezydentem doszedł konflikt w Strefie Gazy, z którą Egipt jako jedyny kraj oprócz Izraela dzieli granicę. Władze egipskie dążą do zakończenia walk nie tylko ze względów humanitarnych, ale także z obawy przed obciążeniami finansowymi i kwestiami bezpieczeństwa w przypadku exodusu. Dlatego Egipt, mimo presji ze strony Izraela, odmawia przyjmowania palestyńskich uchodźców. Zaprzecza również doniesieniom mediów o planach umorzenia długów przez USA w zamian za wpuszczanie Palestyńczyków do kraju. Sisi zajmuje istotną pozycję w negocjacjach dotyczących rozejmu między Izraelem i Hamasem, co poprawia jego wizerunek, ale jednocześnie tłumi propalestyńskie protesty w kraju, gdy te wymykają się spod kontroli i skandowanie o „wolną Palestynę" przekształca się w wołanie o „bochenek chleba".

– Nie wiem, czy sytuacja się poprawi – mówi mi Mustafa. – Ceny są absurdalne, a ludzie szukają innych źródeł utrzymania, pracują w dwóch pracach. Chcę stąd wyjechać. ©

Autorka w latach 2018-21 mieszkała w Kairze, pracowała tam w ambasadzie RP.

Chińczycy w Kambodży

BARTOSZ KOWALSKI

Ta historia pokazuje, jak niedemokratyczny i ubogi kraj może stać się łakomym kąskiem dla mocarstwa. A także – dla jego gangsterów.

Hun Sen, lat 71, który od kilku dekad rządzi Kambodżą twardą ręką, miał kiedyś powiedzieć, że Chiny są jak ogień, na którym można coś ugotować, ale zbyt bliski kontakt z nimi może być ryzykowny. Kambodżańskie elity przywołują tę maksymę jako dowód na mądrość przywódcy. Rzecz w tym, że Hun sformułował ją, zanim sam nawiązał bliskie relacje z Chinami.

Pekin zaczął wspierać jego reżim po tym, jak w 1997 r. Hun przejął pełnię władzy. Odtąd erozja demokracji postępuje tu proporcjonalnie do wzmacniania relacji z Chińczykami.

DEMOKRACJA Z CHIŃSKIM RYSEM | Dziś demokracja ma w Kambodży charakter fasadowy. Ostatnie w miarę wolne wybory, które prawdopodobnie wygrała opozycja, odbyły się w 2013 r. Odtąd Hun Sen domyka autorytarny system: zamknięto ostatnie niezależne media, ograniczono rolę niezależnych organizacji, opozycja jest prześladowana.

Wybory nadal się odbywają, ale nie są wolne. Przed głosowaniem w 2018 r. Hun Sen przestał bawić się w pozory i zdelegalizował największe ugrupowanie opozycyjne, po czym jego Partia Ludowa zdobyła wszystkie mandaty. W tegorocznych wyborach, w lipcu, zdobyła 120 ze 125 mandatów (pięć przypadło rojalistycznej partii FUNCINPEC – zapewne dzięki wstawiennictwu Chin, które łączą z dworem królewskim specjalne stosunki). USA uznały, że te wybory nie były wolne i równe. Za to Chiny pogratulowały nowemu premierowi Hun Manetowi. To syn Hun Sena – ojciec namaścił go na następcę.

Inne kraje demokratyczne były bardziej wstrzemięźliwe od USA, licząc na liberalizację systemu przez Hun Maneta, wykształconego w West Point. Ten na razie studzi zachodnie oczekiwania – w pierwszą podróż udał się do Pekinu. Efekt wizyty to szereg memorandów o współpracy. Jest w nich zapis o wspólnym sprzeciwie wobec „upolityczniania praw człowieka" i zewnętrznych ingerencji „pod pretekstem ochrony praw człowieka i demokracji".

PATRONAT I WSPÓLNOTA | Przypadek 15-milionowej Kambodży pokazuje, jak niewielki, pozbawiony zasobów i niedemokratyczny kraj może stać się łakomym kąskiem dla chińskiego mocarstwa.

Choć Kambodża nie jest jeszcze chińską prowincją (jak sąsiedni Laos), zmierza w tym kierunku. Chiny zapewniają bezpieczeństwo reżimu, inwestycje i wsparcie międzynarodowe, pozwalające mitygować krytykę i sankcje ze strony Zachodu. Pekin jest też protektorem Kambodży wobec jej potężnych sąsiadów – Tajlandii i Wietnamu.

W zamian Kambodża wspiera Chiny na poziomie regionalnym (Stowarzyszenie Narodów Azji Południowo-Wschodniej, ASEAN) i globalnym (ONZ) oraz udziela im strategicznego dostępu do Oceanu Indyjskiego. To transakcyjny układ, choć podlany wspólnotą przekonań: nieufnością wobec demokracji, zachodnich wartości i kapitalizmu (część elit, w tym Hun Sen, wywodzi się z ruchu Czerwonych Khmerów).

Naturalnie do tego tanga trzeba dwojga: Kambodża to jedno z najbardziej skorumpowanych państw na świecie. Politykę i gospodarkę kontroluje 15-20 rodów, ministerstwa to rodzinne biznesy. Słabe rządy prawa sprzyjają chińskiej polityce relacyjnej, ułatwiają nieformalne działania biznesowe i rozbudowę wpływów politycznych.

Z drugiej strony, autorytarny kurs Hun Sena skutkuje krytyką i sankcjami Zachodu. To błędne koło, w którym kraje zachodnie, przez lata przeznaczające ogromne sumy na powojenną odbudowę kraju, mają związane ręce. Władze w Phnom Penh umacniają się na pozycji klienta Pekinu, oskarżając jednocześnie Zachód, że chce narzucić swoje reguły (tę formułę słychać w wielu państwach rozwijających się będących na bakier z demokracją).

Choć głównymi kierunkami eksportu pozostają USA i UE, to Chiny są głównym źródłem inwestycji. Rośnie też popularność języka chińskiego, który pomaga w karierze.

KTO WYGRYWA DWUKROTNIE | 20 lat temu na rzece Mekong nie było żadnego mostu, dziś jest pięć. Prócz Chińczyków budują je Japończycy i Koreańczycy. Ale tylko Pekin może zapewnić infrastrukturę, za którą nikt inny nie chce płacić: autostrady, lotniska czy hydroelektrownie. W planach jest kolej, która połączy oba państwa. Chiny chcą poprowadzić ją przez Laos, by ominąć Wietnam i Tajlandię oraz uzyskać dostęp do Oceanu Indyjskiego. W tym roku Pekin zainicjował projekt blisko 200-kilometrowego kanału między Phnom Penh a wybrzeżem (koszt: 1,7 mld dolarów).

Infrastruktura, która jest budowana dzięki finansowaniu z Pekinu, służy zarówno interesom Kambodży, jak też Chin. Pozornie jest to sytuacja *win-win*, choć często oznacza, że Chiny wygrywają dwukrotnie. Przykładem pierwsza w kraju autostrada, która wiedzie ze stolicy do Preăh Sihanŭk, jeszcze niedawno sennego miasteczka nad Zatoką Tajlandzką, gdzie plaże kusiły zachodnich backpackersów. Przejazd tą trasą, zbudowaną i zarządzaną przez Chińczyków, kosztuje kilkanaście dolarów – zwykli mieszkańcy z niej nie korzystają.

BRENT LEWIN / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

Przed kasynem New Macau w kurorcie Sihanoukville, Kambodża, marzec 2018 r.

Poprawa infrastruktury była natomiast impulsem dla napływu Chińczyków, choć raczej podejrzanego autoramentu: miasto stało się mekką dla chińskiego przemysłu hazardowego i gangsterów trudniących się praniem pieniędzy, cyberprzestępstwami, narkotykami, a nawet handlem ludźmi i organami.

MIASTO GRZECHÓW | Punktem krytycznym dla przemiany Preăh Sihanŭk w lokalny odpowiednik Makau była legalizacja w kraju w 2017 r. internetowych kasyn, których Pekin u siebie zabrania. Skutkiem był napływ nielegalnego kapitału z Chin. Jak grzyby po deszczu zaczęły tu rosnąć kasyna i inne obiekty niekoniecznie turystyczne.

Choć trudno stwierdzić, na ile odbywało się to za aprobatą Pekinu, biznesy takie nie byłyby możliwe bez pozyskania przez Chińczyków przychylności urzędników, policji i polityków. Po Phnom Penh krążą opowieści, jak Hun Sen przyjmuje w swej rezydencji chińskich biznesmenów i ustala najważniejsze transakcje. Aby zrobić tu interes, trzeba znać wpływowych ludzi – jak sino-khmerski biznesmen i senator Ly Yonhg Path, doradca Hun Sena.

W Kambodży zdarzają się sceny rodem z Dzikiego Zachodu – np. ucieczka chińskiego bosa narkotykowego Chen Hsin Hana, który od 2009 r. odsiadywał wyrok 52 lat więzienia. Gdy pewnego dnia został pod eskortą przewieziony na leczenie zęba poza mury więzienia, do kliniki wtargnęła zbrojna grupa, która go uwolniła.

PIERWOWZÓR | Jesienią 2019 r. Kambodża zdelegalizowała internetowe kasyna. W połączeniu z pandemią spowodowało to odpływ „inwestorów" z Preăh Sihanŭk. Po pandemii nie wrócili też chińscy turyści, których entuzjazm do zwiedzania Kambodży ostudził chiński przebój filmowy „Nie stawiaj wszystkiego na jedną kartę" (angielski tytuł: „No More Bets"). Thriller ten opowiada o pracy przymusowej w internetowych kasynach i realiach przemysłu hazardowego w niewymienionym z nazwy kraju Azji. Łatwo się domyślić, że jego pierwowzór to Kambodża.

Przed pandemią Chińczycy stanowili jedną piątą mieszkańców Preăh Sihanŭk. Dziś to w dużym stopniu miasto duchów, pełne niedokończonych budynków, których właściciele uciekli z Kambodży, nierzadko zabierając ze sobą plany budowlane. Poprawie wizerunku miasta służy hasło przekształcenia go w „drugie Shenzhen", symbol chińskiego cudu gospodarczego. Temu celowi podporządkowano pogłębienie portu, modernizację dróg, a zwłaszcza rozwój specjalnej strefy ekonomicznej, w której większość firm pochodzi z Chin.

Mimo to port jest nadal miejscem przemytu, a zamknięcie kasyn nie zlikwidowało przestępczego procederu w okolicy. Zmianie uległ tylko jego charakter.

MEGAPROJEKT I KULISY | Pandemia zastopowała też rozpoczęty 15 lat temu megaprojekt w niedalekim Dara Sakor, na wybrzeżu. Kompleks ten, wielkości połowy Singapuru, ma składać się z lotniska, portu, parku przemysłowego i luksusowego kurortu wraz ze specjalną strefą ekonomiczną.

Dotąd powstało tylko lotnisko. Inwestycja, wątpliwa ekonomicznie, doprowadziła do dużych strat środowiskowych: wysiedlenia tysięcy mieszkańców i wycinki lasów w parku narodowym Botum Sakor. Rozwijanie turystyki odbywa się też kosztem niszczenia lasów namorzynowych i wymaga przepompowania wielkich ilości piasku, by zbudować plaże.

Za realizację projektu, który jest elementem chińskiej inicjatywy Pasa i Szlaku, odpowiada chińska firma państwowa Union Development Group (UDG). Ponieważ są podejrzenia, że mocno przeskalowane lotnisko w Dara Sakor może służyć celom wojskowym, w 2020 r. USA objęły sankcjami i UDG, i kambodżańskich generałów zaangażowanych w jego realizację (jeden z nich to brat ministra obrony).

Obawy USA budzi też aktywność Chin w porcie Ream, gdzie Kambodża ma niewielką bazę marynarki. Pod auspicjami Pekinu trwają tam prace nad rozbudową portu, oficjalnie do celów handlowych. Choć stała obecność obcych wojsk w Kambodży jest niezgodna z jej konstytucją, nietrudno wyobrazić sobie scenariusz, w którym Ream stanie się bazą dla chińskiej floty wojennej i jej oknem na Zatokę Tajlandzką oraz pobliski Wietnam.

NA ROZDROŻU | Przed pandemią przez ostatnie 20 lat gospodarka Kambodży rosła średnio 7 proc. rocznie. Pandemia zadała jej cios. Zwłaszcza turystyce: przed 2020 r. sam tylko kompleks świątynny w Angkor Wat odwiedzało 2,5 mln turystów. Dziś, mimo pocovidowego otwarcia Chin, wielkie hotele wokół Angkor Wat, budowane z myślą o Chińczykach, są nadal puste.

Problemy potęgują perturbacje światowej gospodarki i miejsce Kambodży w łańcuchu dostaw (jako producent żywności i linia produkcyjna dla firm odzieżowych). W 2023 r. gospodarka może zaliczyć spadek o 20 proc. To zaś może studzić zapał Hun Maneta do liberalizacji systemu, który opiera się na zapewnieniu spokoju społecznego i gospodarczego wzrostu. Będzie on raczej konsolidować władzę i szukać wsparcia u chińskiego patrona.

Kambodża jest na rozdrożu. Ten biedny kraj, którego tkankę społeczną przeorał reżim Czerwonych Khmerów, może stać się wasalem Pekinu. Alternatywą jest większa niezależność polityczna i liberalizacja gospodarki. To wiązałoby się jednak z osłabieniem władzy Hunów i przecięciem sieci interesów łączących lokalne elity polityczno-biznesowe z Pekinem.

Pod znakiem zapytania stoi jednak gotowość Zachodu i jego realne możliwości, by równoważyć gospodarczo Chiny. Zwłaszcza w ich bliskim sąsiedztwie. ©

Autor jest adiunktem w Katedrze Studiów Azjatyckich i analitykiem w Ośrodku Spraw Azjatyckich Uniwersytetu Łódzkiego. W ramach grantu zespołowego Narodowego Centrum Nauki prowadzi badania nad polityką Chin w państwach rozwijających się.

WIDZIAŁEM RAJ. CZYLI PIEKŁO

Młody inżynier z Zachodu trafił 90 lat temu na sowiecką Ukrainę. O tym, co Jerry Berman zobaczył w krainie Wielkiego Głodu, mówią jego listy. Odnaleziono je – przypadkowo – dopiero niedawno.

MACIEJ PIOTROWSKI

Historia ta zaczyna się na strychu pewnego domu w brytyjskim mieście Manchester, w roku 2016. Alison Marshall, emerytowana ekonomistka, podczas porządków znajduje paczkę z listami. Głównie romantycznymi, adresowanymi do jej dziadka od jego przyszłej żony, babci Alison. Ale jest coś jeszcze: listy od niejakiego Jerry'ego Bermana. Był kolegą dziadka. Alison widzi na kopertach obco brzmiące nazwy: Stanitza, Novosvitlivka, Kharkov.

– To nie był jeszcze moment, w którym krzyknęłabym „Eureka!". Nie wiedziałam nic o Wielkim Głodzie. Po prostu byłam ciekawa rodzinnych historii – mówi mi Alison.

Pytanie brzmiało: dlaczego w ogóle kolega dziadka przebywał w latach 30. w Związku Sowieckim? Aby rozwiązać zagadkę, Alison odnalazła syna autora listów, Petera Bermana. Wraz z nim ustaliła brakujące elementy układanki. Zwróciła się też do Sary Nesteruk, badaczki z uniwersytetu w Huddersfield w Anglii.

W ten sposób, krok po kroku, wspólnie zrozumieli, że listy Bermana stanowią nie tylko pamiątkę rodzinną – są świadectwem jednej z największych sowieckich zbrodni.

Kusząca oferta

Cofnijmy się o ponad wiek. Jest rok 1903, gdy w małym żydowskim sztetlu Pikiele, 130 km od Kłajpedy, przychodzi na świat człowiek, który kilka dekad później będzie adresatem listów znalezionych na strychu.

Jerry (to imię przyjmie później, ale używajmy go) Berman dorasta tam, aby w wieku 18 lat, tuż po I wojnie światowej, wraz z rodziną wyemigrować aż do Kapsztadu, wtedy w brytyjskim dominium Związku Południowej Afryki. Tam zdobywa tytuł inżyniera, po czym rusza za pracą do Nowego Jorku. Stąd wypędza go Wielki Kryzys, który wybuchł w USA w 1928 r. W tym momencie dostaje kuszącą ofertę ze Związku Sowieckiego.

Pod koniec lat 20. Kreml na gwałt szuka inżynierów z Zachodu, którzy chcieliby zaangażować się w ambitny projekt forsownej industrializacji. Sowiecki plan pięcioletni (1928-32) ma doprowadzić do metamorfozy zacofanego dotąd rolniczego kraju w nowoczesną gospodarkę przemysłową. Aby pokonać kapitalistów, komuniści potrzebują ich wiedzy i technologii, ich maszyn.

Związek Sowiecki żyje wtedy myślą o rozwoju technologicznym. „Rosja szaleje na punkcie techniki, inżynierii i nauki. Po prostu szaleje!" – pisze Berman w liście z Moskwy. Notuje, że wszystkie artykuły w prasie i książki w księgarniach poświęcone są przemysłowi.

On sam jest pozytywnie nastawiony do komunistycznego eksperymentu, do tego zna rosyjski z młodości. Dlatego postanawia zostać jednym z wykonawców sowieckiego planu.

Nie wie, za jaką cenę odbywa się ta przemiana.

Most nad Dońcem

Jest rok 1932, gdy 29-letni inżynier trafia do robotniczych baraków pod Ługańskiem. Konkretnie: do miejscowości Nowoswitliwka w Ukraińskiej Socjalistycznej Republice Sowieckiej (dziś to obwód ługański, okupowany przez Rosję). Ma zadanie: jak najszybciej zbudować most na rzece Doniec Siewierski.

Wciąga go wir socjalistycznego wyścigu pracy. „Haruję jak szalony. 17 godzin dziennie!" – pisze w jednym z pierwszych listów.

Pisuje wtedy głównie do brata, Izraela Bermana. Listy przetrwają dzięki oryginalnemu sposobowi kolportażu informacji w tamtych czasach: brat przepisuje je na maszynie i rozsyła dalej do osób zainteresowanych życiem w dalekich krajach. Również do dziadka Alison.

– To niezwykłe, jak prywatna historia przez przypadek połączyła się z wielkimi wydarzeniami dziejowymi XX wieku – mówi dziś odkrywczyni listów.

Widać z nich, że Jerry Berman szybko dostrzega trudy pracy pod Ługańskiem. Na stepach panuje mroźna zima. Robotnicy są przemęczeni. Południowoafrykański inżynier jest zmuszony docierać ↦

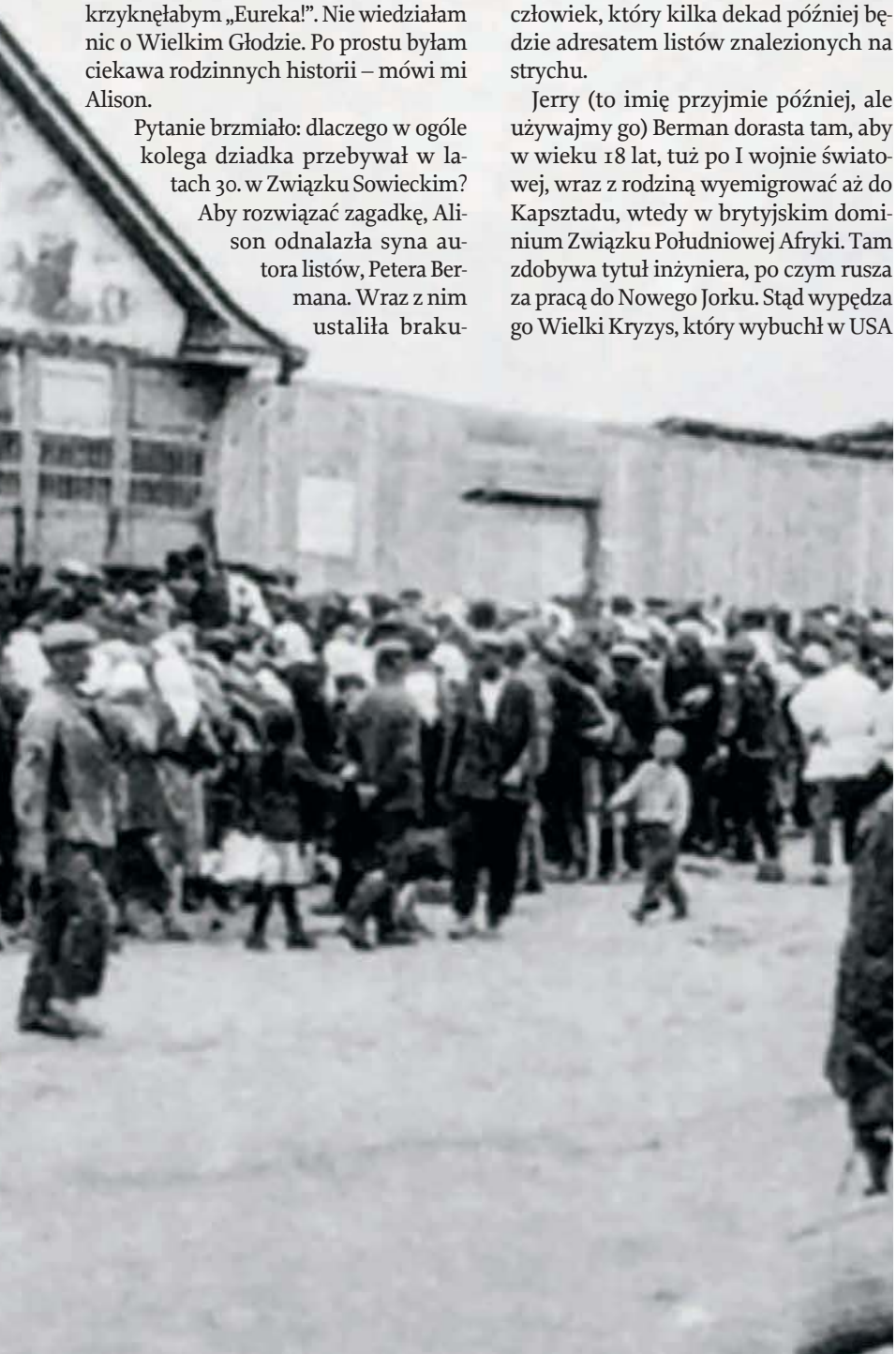

ARCHIWUM PAŃSTWOWE UKRAINY / DOMENA PUBLICZNA

Kolejka za chlebem w Charkowie, 1932 r.

↦ na budowę pieszo, po kolana w śniegu. Stwierdza: „Cóż za kolosalną pomyłką jest cała moja przygoda!... Piekło...”.

Ani ziarenka zboża

Jerry cierpi chłód, głód i tęskni za domem. Pisze o tragediach i paradoksach sowieckiej pięciolatki: o braku węgla w górniczym Donbasie, o „bezrobociu w raju robotników”, o chłopach, którzy porzucają gospodarstwa niezadowoleni kolektywizacją, o mostach zbudowanych w ciągu roku i fabrykach, które po zbudowaniu nie mogą zostać uruchomione.

Przede wszystkim zwraca uwagę na tragiczny poziom zaopatrzenia w Ukrainie, tym spichlerzu Europy. Jedzenie, kartki na żywność: to refren kolejnych listów z zimy i wiosny 1932 r. Stołówkę swojej brygady porównuje do stajni, warunki żywienia uznaje za gorsze niż w Afryce. Pisze, że pokazanie się na ulicy z kromką białego chleba grozi publicznym linczem. „Tragedia i płacz. Mężczyźni odchodzą od zmysłów. To zrozumiałem: chleb to wszystko, czego potrzebują ludzie – i jego właśnie brakuje. Czarnego, kwaśnego, źle wypieczonego”.

W Boże Narodzenie 1932 r. pisze: „Mogę głodować z innymi. Od czterech dni nie widzieliśmy ziarenka zboża. Ani jednego. Widzisz, jakie szczęście nas spotkało??? Jestem zupełnie głodny”.

Widziałem wystarczająco dużo

Obserwuje swoich robotników, jak walczą o resztki z kuchni: „Boże! Gdybym mógł opowiedzieć Wam o nocnych scenach, których byłem świadkiem! Zadrżelibyście z przerażenia! Nikt z Was nie będzie w stanie sobie wyobrazić widoku sterty śmieci po obiedzie, obierków po ziemniakach zmieszanych ze śniegiem. Żebyście mogli to zrozumieć, musiałbym spróbować opisać cały ten obraz z jego smrodem, jednak uchronię Was przed tym. Ale wyobraźcie sobie czterech robotników, których złapałem o trzeciej w nocy, klęczących w śmieciach w poszukiwaniu choć skrawka ziemniaczanego obierka, którym chcieli nakarmić swoje kobiety i dzieci. Czy ludzka istota, Rosjanin [Berman określa tak wszystkich obywateli sowieckich – red.], czy ktoś inny, może wykarmić siebie i swoją rodzinę 800 gramami czarnego chleba i niczym więcej?”.

HOLODOMOR MUSEUM / MATERIAŁY PRASOWE

Listy Jerry'ego Bermana w zbiorach Muzeum Holodomoru

Fragmenty jego listu, pisanego w zupełnie pragmatycznym stylu (o cenach chleba, czasie pracy), brzmią jak wiersz biały poety modernisty. Interpunkcja i wersyfikacja oryginalna:

I saw this paradise.
I saw it here and there.
I saw it by day and by night.
I have seen enough

W tłumaczeniu:

Widziałem ten raj.
Widziałem to tu i tam.
Widziałem to w dzień i w nocy.
Widziałem wystarczająco dużo

Tak nieświadomy przybysz z południowej Afryki rejestruje zjawisko, które historycy później określą mianem Hołodomoru, Wielkiego Głodu. W latach 1932-33 w ludobójstwie sprokurowanym przez Kreml zginęło kilka milionów mieszkańców sowieckiej Ukrainy. W tym co najmniej 101 osób ze Stanicy Ługańskiej, w okolicach której pracował Berman.

Każdy żyje dla siebie

Inżynier obserwuje drobny wycinek tej zbrodni. Warunki życia robotników, z którymi ma styczność, to wierzchołek góry lodowej, jaka miażdży ukraińską prowincję. Robotnicy muszą być jakoś karmieni, by mogli iść do pracy. Gorzej z ich rodzinami: władze nie wydają dodatkowego przydziału chleba dla mężczyzn, którzy mają na utrzymaniu kobiety i dzieci.

To widzi i nad tym rozpacza Berman. Nie jest jednak świadomy tragedii rolników, dla których 800 gramów robotniczego chleba byłoby luksusem. Słyszy tylko, co się dzieje na wsi. Pisze w liście: „Trudności są olbrzymie. Kołchoźnicy nie otrzymują mąki ani chleba przez ostatnie dwa czy trzy miesiące, ze względu na to, że nie wykonali planu”.

Będąc w Charkowie, widzi czekających na chleb. Pisze: „Widziałem tu wiele kolejek, ale takiej – nigdy. Ciągnęła się po ulicy Engelsa przez cztery kwartały! Na całej długości ochraniali ją milicjanci. Ludzie zajęli swoje miejsca dzień wcześniej i stali cierpliwie cały ranek jak sardynki w puszce. Ciekawe typy: kobiety z niemowlętami, napięte twarze. (...) Milicjanci starali się trzymać porządek, bili pałkami tych, którzy wpychali się bez kolejki. (...) Ponad połowa kolejki to wieśniacy, bo tam deficyt chleba jest większy niż w miastach”.

Berman jest dobrym obserwatorem: widzi też zjawiska będące skutkiem głodu, jak zerwanie więzi społecznych: „Wielki kryzys, który tu panuje, doprowadził do tego, że ludzie nie bawią się, nie spotykają w kawiarniach, nie płacą za siebie nawzajem, nie zapraszają się do domu; każdy żyje dla siebie, walczy o swoją kromkę chleba i kubek herbaty”.

To ma być równość?

Jerry Berman ma szczęście: nie dojada tylko na początku swojej pracy w Związku Sowieckim. Później jego sytuacja ulega poprawie, jako zagraniczny inżynier jest dopieszczany przez partię. W Stanicy Ługańskiej otrzymuje bardzo wysoką pensję (pięciokrotnie więcej niż robotnicy). Pisze o sobie, że należy do „rosyjskiej arystokracji”, i że jest ubrany zgodnie z paryską modą.

„Przepuście go – on jest jeden, a roboli masa!” – słyszy w kolejce po posiłek. Jest

dla industrializacji zbyt cenny, by miał głodować.

Zauważa, że w teoretycznie równościowym państwie sowieckim człowiek jest klasyfikowany ze względu na ubiór i tylko dobrze prezentujący się obywatel wejdzie do urzędów, łatwiej mu załatwić sprawę czy ominąć kolejkę. Pisze: „Jestem uprzywilejowany – dostaję obiad bez kolejki: zupa z ogórków kiszonych i drugie: purée z ziemniaków z niewielkim kawałeczkiem mięsa. To niesłychany przywilej, bo inni nie dostają mięsa".

Cóż za rozczarowanie...

Nie jest mu jednak łatwo. Żyje w obawie przed zagrożeniem, którego nie nazywa po imieniu. Rodzina namawia go do powrotu, on na to nie reaguje. W li ście zwraca tylko uwagę na opisywaną w sowieckich gazetach sprawę inżynierów firmy Metro-Vickers, których aresztowano w Moskwie i oskarżono o szpiegostwo. Choć tego nie artykułuje, widać, że czuje na plecach oddech bezpieki. Czyżby bał się sfabrykowanych oskarżenia o sabotaż? W marcu pisze: „Nie trafiłem do więzienia tylko dzięki późnemu przyjściu wiosny i odwilży".

Pragnie przenieść się z Ukrainy do Rosji (tam jest „lepsza sytuacja żywnościowa"). Wreszcie, późną wiosną 1933 r., wyrywa się, jedzie przez Moskwę (uwielbia jej „teatry, kina, maniery") do Niżnego Nowogrodu, gdzie czuje się bezpieczniej.

Równocześnie, po paru miesiącach pobytu w Związku Sowieckim, żegna się ze swoim wyobrażeniem socjalizmu. Pisze do brata: „Czy rozumiesz, Izraelu, jak strasznie podeptane zostały moje ideały polityczne, jak tragicznie rozczarowany, zraniony i zły jestem!".

Berman nie ma wątpliwości, że sytuacja ekonomiczna nie wynika z naturalnych przyczyn, lecz z polityki władz. „Stalin wszystko widział" – pisze. Notuje, że na wsi żyło się dostatnio, póki nie zaczęła się kolektywizacja, a industrializacja odbywa się „kosztem głodujących robotników. Ceną krwi i potu niedożywionych ludzi. Dzięki pracy osób wolnych i aresztantów, pracowników przymusowych i żołnierzy".

Pozostaje tam jeszcze dwa lata. – To, że wrócił w 1935 r., pewnie uratowało mu życie. Wykształcony inżynier nie przeżyłby pewnie czystek roku 1937 – zauważa Alison Marshall.

ARCHIWUM PETERA BERMANA / HOLODOMOR MUSEUM / MATERIAŁY PRASOWE

Inżynier Jerry Berman, data i miejsce wykonania zdjęcia nieznane

Jerry Berman pracował potem w RPA, zmarł w 1979 r.

Spojrzenie z zewnątrz

O Hołodomorze najwięcej opowiedzieli nam po latach jego bezpośredni świadkowie, mieszkańcy ukraińskiej wsi. Naukowcy zaczęli pracować z nimi jednak dopiero od lat 80. i 90. XX w. Wcześniejsze relacje, zapisywane na bieżąco, możemy policzyć na palcach jednej ręki. To choćby dzienniki nauczycielki Ołeksandry Radczenko czy rolnika Nestora Biłousa, uratowane paradoksalnie przez bezpiekę, która skonfiskowała je i ukryła w archiwach.

Jednak również relacje przybyszów z zagranicy są dziś cenne dla Ukraińców. Dzieje się tak dlatego, że stanowią dowód osób bezstronnych, podważając twierdzenia obecnej rosyjskiej propagandy, jakoby Hołodomor był wymysłem ukraińskich nacjonalistów.

Alison Marshall: – Spojrzenie Bermana jest wyzute z emocji, a przez to bardziej obiektywne. Był inżynierem, pisał beznamiętnie o cenach, liczbach, warunkach życia.

Dotąd najbardziej ceniono reportera Garetha Jonesa, autora korespondencji o Wielkim Głodzie dla brytyjskich gazet (jego losy stały się kanwą dwóch filmów fabularnych i szeregu książek) czy Alexandra Wienerbergera, autora ikonicznych zdjęć (do jednego z nich nawiązuje symbol Hołodomoru stosowany na pomnikach: postać wychudzonej dziewczynki).

Teraz do ich grona dołącza Jerry Berman.

Czołgi na moście

Na ukraińskie wsie i miasteczka, które odwiedził Berman, przez dekady nikt nie zwraca specjalnej uwagi. Omija je wielka historia. Aż do roku 2014, gdy rozpętana przez Rosję w Donbasie wojna przynosi także na Ługańszczyznę chaos i śmierć.

W nielubianym przez Bermana osiedlu Nowoswitliwka prorosyjscy kolaboranci strzelają do kolumny uchodźców: ginie 17 osób. Na rzece Doniec Siewierski, w miejscu, gdzie pracował Berman, front zatrzyma się na kolejne siedem lat.

W 2020 r. tamtejszy most zostaje poddany remontowi. Funkcjonuje jako quasi-przejście graniczne do lutego 2022 r., gdy przejeżdżają przez niego rosyjskie czołgi. Dziś niemal cała Ługańszczyzna jest okupowana przez Rosjan.

Gdy skończy się wojna

Kijów, sierpień 2021 r. Do historyczki Jany Hrynko z Muzeum Hołodomoru docierają wieści o niezwykłej korespondencji Bermana.

– To była niezwykła radość dla muzealnika. Wielkie wydarzenie. Takie listy to unikaty dla naszej kolekcji, bo pokazują tamten tragiczny czas z nowej perspektywy – mówi mi dzisiaj Jana Hrynko. – Berman poświęca wiele uwagi warunkom, w których żył i pracował, a to wszystko przyczynia się do obalenia sowieckiego mitu industrializacji pod rządami Stalina jako skutecznego menedżera.

Listy zostają oficjalnie przekazane kijowskiemu muzeum w 2021 r. Tamtejsi kuratorzy przygotowują na ich podstawie wystawę, digitalizują ją i udostępniają w internecie. Pomaga im w tym Alison Marshall, która coraz bardziej interesuje się Ukrainą: najpierw jeździ do muzeum z listami po 24 lutego 2022 r., gotuje we Lwowie posiłki dla uchodźców i udziela gościnnych wykładów na Kyiv School of Economics.

Jana Hrynko mówi, że listy Bermana staną się częścią kolekcji przyszłej wystawy stałej Muzeum Hołodomoru. Ma ona powstać, gdy skończy się wojna.

© MACIEJ PIOTROWSKI

NAUKA

JAK BUK TO ROBI

Drzewa różnych gatunków synchronizują swoje kalendarze reprodukcji nawet na dystansie dwóch tysięcy kilometrów.. Prawdopodobnie po to, by zagłodzić wrogów.

MICHAŁ BOGDZIEWICZ

U wielu roślin długoletnich reprodukcja to spektakularne zjawisko. Są lata, gdy drzewa przestają rosnąć i produkują mniej liści oraz substancji chroniących je przed owadami, bo energię inwestują głównie w produkcję nasion. Po tych tzw. latach nasiennych następują lata głuche, gdy nasion nie ma wcale lub prawie wcale. Zmienność w produkcji nasion jest zsynchronizowana pomiędzy osobnikami, populacjami, a nawet między gatunkami. W efekcie drzewa – nawet odległe od siebie o tysiące kilometrów – robią w danym roku to samo: produkują nasiona lub nie. Cykle lat bogatych i głuchych są bardzo trudne do przewidzenia, jednak budzą wielkie zainteresowanie, nie tylko naukowców, ale również istot znacznie od nich mniejszych.

Przechytrzyć gryzonie

W latach nasiennych dostępność pokarmu dla dzikich zwierząt na wielkich obszarach przekracza pojemność ich żołądków. W latach głuchych zaś, gdy nasion nie ma, dochodzi do głodu na wielką skalę. Ten zsynchronizowany cykl obfitości i niedoboru wywołuje daleko idące zakłócenia w sieciach pokarmowych. Po latach nasiennych następują wybuchy liczebności gryzoni. Dzięki ogromnej dostępności pokarmu gryzonie rozmnażają się na wielką skalę, robią to często nawet zimą, pod śniegiem. Liczebność ich populacji rośnie od kilku do kilkudziesięciu osobników na hektar. Liczną gromadę gryzoni czeka jednak tragiczny los – nasiona się kończą, a w kolejnym roku drzewa zazwyczaj nie produkują nowych.

Lata nasienne powodują też migracje ptaków. W Ameryce Północnej tysiące osobników opuszczają kanadyjskie lasy borealne i przemieszczają się daleko na południe od swoich typowych obszarów występowania, podążając za erupcją dostępności pokarmu powodowaną przez lata nasienne świerków. Międzyroczna zmienność w produkcji nasion wpływa nawet na ryzyko zachorowania przez ludzi na choroby przenoszone przez dzikie zwierzęta.

Gdy po roku nasiennym następuje wysyp gryzoni, zaczyna się wspaniały czas dla kleszczy. Rok po wysypie gryzoni to kleszczy jest więcej, a co za tym idzie ryzyko zachorowania na boreliozę rośnie. Zależność między produkcją nasion a zachorowaniami na boreliozę występuje również w Polsce, a echo tego zjawiska widoczne jest we frazach wyszukiwarki Google. Dwa lata po dużym opadzie nasion Polacy częściej wyszukują takie frazy jak „rumień" czy „borelioza". Z inną konsekwencją lat nasiennych mają styczność mieszkańcy Podkarpacia. W latach, gdy buk nie produkuje nasion, niedźwiedzie zaczynają szukać dodatkowego pokarmu poza lasem, co prowadzi do wyższej

TONI ANZENBERGER / ANZENBERGER / FORUM

liczby konfliktów z ludźmi, takich jak szkody w ulach czy na plantacjach drzew.

Pytanie o przyczyny występowania lat nasiennych można rozważać na dwóch poziomach: fizjologicznym oraz ewolucyjnym. W pierwszym przypadku interesuje nas, jak dane zjawisko powstaje. To znaczy: jakie mechanizmy fizjologiczne odpowiadają za wytworzenie tak ogromnej międzyrocznej zmienności w produkcji nasion? Jak powstaje synchronizacja pomiędzy drzewami? Jak drzewa pod Poznaniem synchronizują swój kalendarz reprodukcji z drzewem pod Warszawą czy Pragą? Drugi rodzaj pytań dotyczy ewolucyjnych przyczyn występowania takiego zjawiska. Czyli: w jaki sposób dobór naturalny doprowadził do jego powstania?

Hipotez ewolucyjnych – od nich zacznijmy – jest kilka. Przyjrzymy się trzem: dwóm wiodącym i jednej względnie nowej.

Po pierwsze, jak wiadomo, drzewa nie mogą uciekać przed konsumentami nasion. Przez dziesiątki lat stoją w miejscu, a zrzucając nasiona, tworzą łatwo dostępną restaurację dla zwierząt bytujących w lesie. Aby nasiona mogły przeżyć, potrzebny jest mechanizm, który pozwoliłby uniknąć konsumentów nasion bez przemieszczania się. Taką strategią są właśnie lata nasienne. W końcu w latach głuchych populacje konsumentów nasion, zwłaszcza specjalistów pokarmowych (zwierząt wybrednych, w których menu znajdują się np. tylko nasiona jednego gatunku), umierają z głodu. Gdy wreszcie nadchodzi rok nasienny, w lesie jest mniej zwierząt żywiących się nasionami. Następuje nasycenie nielicznych konsumentów i nasiona mają szansę przeżyć.

Po drugie, koncentracja kwitnienia w jednym, zmasowanym wydarzeniu pozwala zwiększać roślinom efektywność zapylania. Jest to szczególnie ważne w przypadku roślin wiatropylnych, którym owady nie pomagają przenosić pyłku na żeńskie kwiaty innych osobników. W latach nasiennych rośliny produkując ogromne ilości pyłku nasycają nim powietrze. W ten sposób zwiększają szansę, że kwiaty zostaną zapylone.

Komu służą pożary

Kolejnym mechanizmem selekcyjnym może być... przewidywanie przyszłości. Okazuje się, że nie wszystkie lata są dobre dla reprodukcji. Przykładowo w latach bardzo suchych przeżywalność siewek niektórych gatunków może być bardzo niska. Siewki innych gatunków największe szanse mają tuż po pożarach, po tym jak konkurencja zginie w ogniu. Może więc lata nasienne są strategią typu „siedź i czekaj", aż takie dobre warunki się nadarzą? Wymagałoby to jednak rzeczywiście przewidywania przyszłości, bo inicjacja reprodukcji zaczyna się miesiące, a zazwyczaj lata przed właściwym opadem nasion. Czy jest to możliwe?

Są dowody na to, że tak. Kluczem jest autokorelacja czasowa pogody. Innymi słowy, zjawiska pogodowe często następują po sobie w cyklach, trochę jak pory roku, tylko w skali wieloletniej. Przykładowo oscylacja El Niño to zjawisko meteorologiczne występujące na obszarach Pacyfiku, związane z cykliczną zmiennością wiatrów oraz temperatury wody oceanicznej, które wpływa na klimat regionów sąsiadujących z oceanem. Powoduje ono występowanie cykli pogodowych: okresów zimniejszych i mokrych, po których następują okresy gorące i suche. Istnieją gatunki roślin, które nauczyły się to wykorzystywać, np. dwuskrzydłowate z Azji Południowo-Wschodniej.

Moim ulubionym dowodem „przewidywania przyszłości" są zaś badania opisane w 2020 r., które wykazały, że reprodukcja świerka białego (gatunku występującego w Ameryce Północnej) jest stymulowana przez gorące i suche lato rok przed opadem nasion. Mamy gorące lato, a rok później zmasowany wysyp szyszek. Co takiego dzieje się w czasie gorącego i suchego lata? Pożary! Świerk wykorzystuje zjawisko atmosferyczne (gorące lato) jako wskazówkę do rozpoczęcia cyklu reprodukcji. Dzięki temu jego nasiona mają większą szansę, że opadną rok po pożarze – co z kolei zwiększa ich szanse na kiełkowanie i przeżycie. Należy jednak podkreślić, że hipoteza „przewidywania środowiska", jak ją nazywamy, jest stosunkowo mało udokumentowana w porównaniu do mechanizmów opisanych wyżej – nasycenia konsumentów nasion oraz zwiększonej efektywności zapylania. Nie jest to jednak spowodowane tym, że to zjawisko występuje rzadziej (a przynajmniej na razie tego nie wiemy). Po prostu badania takie wymagają długoletnich obserwacji (nawet dekad) produkcji nasion oraz siewek, które były do tej pory mało dostępne. Ta dostępność jednak rośnie, o czym za chwilę.

Selekcja naturalna faworyzowała osobniki, u których występowała międzyroczna zmienność w produkcji kwiatów i nasion, gdyż skuteczniej unikały one konsumpcji nasion. I efektywniej zapylały kwiaty. Na co konkretnie jednak selekcja działała? Jaki mechanizm fizjologiczny pozwala roślinom na wytworzenie lat nasiennych, zsynchronizowanych w tak dużej skali przestrzennej? Mechanizmów takich jest kilka, a najbardziej powszechnym wydaje się nadwrażliwość na zmienność pogody.

U buka zwyczajnego jest to np. wrażliwość na sekwencję pogodową w postaci następujących po sobie lat zimnych oraz gorących. Gdy mamy lato ↦

Od lewej: nasiona buka, dębu, kasztana jadalnego i jaworu

↦ zimne, a następnie gorące, informacja ta zdaje się zapisywać w molekularnej pamięci drzewa, po czym w roku trzecim pojawia się zmasowane kwitnienie. Ewolucję tego mechanizmu można sobie wyobrazić następująco. Tysiące lat temu populacja roślin praprzodków produkowała nasiona co roku. Przypadkiem, wskutek mutacji, jeden z osobników miał zestaw genów, który powodował, że rozpoczęcie produkcji kwiatów występowało tylko, gdy rok wcześniej było bardzo sucho (lub gorąco, zimno, wietrznie – wskazówek pogodowych używanych przez rośliny w tej kwestii jest sporo). Mutant ten nie produkował nasion co roku, gromadząc niewydatkowane zasoby. Dopiero po suchym roku zużył nagromadzoną energię i wyprodukował więcej owoców niż zwykle. Dzięki temu więcej nasion tego mutanta przeżyło, bo populacja owadów, która składała jaja w owocach, została nasycona. Owady złożyły tyle jaj, ile tylko mogły, a owoców i tak zostało. Osobnik ten przekazał więc swoje geny następującemu pokoleniu skuteczniej niż te osobniki, które nasiona produkowały regularnie. Kolejne pokolenia następowały po sobie, a nadwrażliwość rozprzestrzeniała się i utrwalała w populacji.

Efekt Morana

Jeżeli to nadwrażliwość na zmienność pogody jest fizjologicznym kluczem do zmienności międzyrocznej, to mamy od razu podpowiedź, skąd synchronizacja pomiędzy osobnikami. Otóż poszczególne osobniki nie są zsynchronizowane ze sobą. Są one zsynchronizowane z pogodą, używają bowiem tej samej wskazówki pogodowej do rozpoczęcia cyklu reprodukcji. Natomiast pogoda, zwłaszcza wahania temperatury, jest zsynchronizowana na dużych obszarach. Zazwyczaj ciepły lipiec w Poznaniu oznacza ciepły lipiec w Łodzi, Warszawie i Rzeszowie. Synchronizacja zjawisk ekologicznych w przestrzeni w wyniku oddziaływania zjawisk pogodowych nazywana jest efektem Morana.

Ale to nie koniec historii o synchronizacji. Żeby efekt Morana działał skutecznie, rośliny oddalone od siebie o setki kilometrów muszą „czytać" pogodę w tym samym czasie. W innym przypadku mechanizm się załamie, gdyż pogoda jest dobrze zsynchronizowana w przestrzeni, a mniej w czasie. O ile ciepły lipiec w Poznaniu oznacza ciepły lipiec w Rzeszowie, o tyle ciepły lipiec w Poznaniu nie musi oznaczać ciepłego sierpnia w Rzeszowie. Gdyby więc poszczególne populacje nie trzymały reżimu czasowego, synchronizacja nie byłaby tak spektakularna. I rzeczywiście, są gatunki, które reżimu czasowego nie trzymają. Ich „okna wrażliwości", gdy temperatura wpływa na inicjację cyklu reprodukcyjnego, są różne, zależne od klimatu danego miejsca. W konsekwencji synchronizacja lat nasiennych w przestrzeni sięga „tylko" kilkuset kilometrów – u dębów trochę powyżej 500 km. Natomiast u wspomnianego już buka zwyczajnego osobniki oddalone od siebie nawet ponad 1500 km mogą współdzielić międzyroczne wahania w produkcji nasion. Jak buk to robi?

Gdy po roku nasiennym następuje wysyp gryzoni, **zaczyna się wspaniały czas dla kleszczy.** Rok po wysypie gryzoni to kleszczy jest więcej, a ryzyko zachorowania na boreliozę rośnie.

DK IMAGES / EAST NEWS

Nasiono kasztanowca pospolitego

Jeszcze kilka miesięcy temu mechanizm odpowiedzialny za utrzymanie reżimu czasowego u buka był zagadką. Wiadomo było, że populacje buków w całym zasięgu tego gatunku (a obejmuje on większość Europy, od Hiszpanii do Polski i od Grecji do Szwecji) zawsze „czytają" pogodę w czerwcu i lipcu. To zaskakujące, ponieważ klimat w tych miejscach drastycznie się różni. Średnia temperatura latem waha się od 7,7 do 16,6 st. Celsjusza. Powinno to powodować przesuwanie się „okna wrażliwości", gdy rośliny czytają pogodę, podobnie jak powoduje przesuwanie się wielu innych zjawisk ekologicznych. W cieplejszym klimacie drzewa zielenieją wcześniej, kwitną wcześniej, wcześniej budzą się po zimie. Jak bukowi udaje się zakotwiczyć jego „okno wrażliwości" właśnie w czerwcu i lipcu? Nie może on do tego używać zmian w temperaturze, bo spowodowałoby to wcześniejsze otwarcie okna na południu, gdzie panuje cieplejszy klimat.

W lipcu w „Science" naukowcy ze Szwajcarii opisali badania, które wykazały, że kluczowym zjawiskiem biorącym udział w starzeniu się liści (ich żółknięciu i opadaniu) jest przesilenie letnie. 21 czerwca to najdłuższy dzień w roku, po tej dacie następuje skracanie dnia. Efekt temperatury na czas opadania liści zmienia się w zależności od tego, czy rozpatrujemy okres przed, czy po przesileniu letnim. Przed przesileniem wysokie temperatury przyspieszają czas, gdy liście zaczną opadać. Po przesileniu wysokie temperatury powodują, że liście pozostają na drzewach dłużej. Wydaje się, że świetny przykład tego zjawiska mieliśmy w tym roku.

Jednak nie starzenie się liści jest w tej historii ważne. Przeczytałem te badania pewnego lipcowego wieczoru na moim balkonie w mieszkaniu na poznańskiej Wildzie. Od razu poczułem, że jest to bardzo ważne odkrycie dla badań, które prowadzimy w Centrum Biologii Lasu. Intuicja zadziałała, choć nie wiedziałem jeszcze, gdzie dopasować ten nowy element. Następnego dnia rozesłałem publikacje Szwajcarów do współpracowników, a po południu usiedliśmy przy kawie, by o nich porozmawiać. Rozmawialiśmy o niemal romantycznym aspekcie szwajcarskich badań – drzewa na całej półkuli północnej przestawiają swoje mechanizmy fizjologiczne tego samego dnia, w czasie mistycznego przesilenia letniego. Tego samego dnia... Eureka!

Przesilenie

21 czerwca to najdłuższy dzień w roku w całej Europie, bez względu na lokalny klimat. Bezwzględna długość tego dnia co prawda różni się pomiędzy Gdańskiem

Ministerstwo Edukacji i Nauki

Projekt dofinansowany ze środków budżetu państwa, przyznanych przez Ministra Edukacji i Nauki w ramach Programu „Społeczna Odpowiedzialność Nauki II".

a Barceloną (dzień jest dłuższy na północy), jednak na każdej szerokości geograficznej na półkuli północnej jest to zawsze najdłuższy dzień. Wykonaliśmy odpowiednie analizy i dziś już wiemy – buk nie jest wrażliwy na pogodę w czerwcu i lipcu. Jest wrażliwy na pogodę po 21 czerwca. Populacje buka w całej Europie czekają, aż dzień zacznie się skracać po przesileniu letnim, aby otworzyć swoje „okno wrażliwości" wszędzie w tym samym czasie. Dzięki temu lata nasienne buka charakteryzują się spektakularną skalą synchronizacji przestrzennej.

Warto poruszyć jeszcze jeden wątek – zmian klimatu. Wiele roślin wybrało nadwrażliwość na zmiany pogodowe jako mechanizm wytwarzania lat nasiennych. W czasie gdy nasza planeta ogrzewa się w niespotykanym dotąd tempie, ma to swoje alarmujące konsekwencje. Wrócę tu znów do buka zwyczajnego, który jest modelowym gatunkiem badawczym w Centrum Biologii Lasu.

Jak wspomniałem, buk produkuje najwięcej nasion po sekwencji pogodowej w postaci zimnego (dwa lata przed opadem nasion) i ciepłego lata (rok przed opadem nasion). Jeszcze 40 lat temu gorące lato stymulujące produkcję kwiatów zdarzało się raz na dekadę. Dziś tak długo czekać nie trzeba. Gorące lato (wg kryteriów buka zwyczajnego) zdarza się raz na dwa, trzy lata. Częstsza stymulacja kwitnienia powoduje, że drzewa nie mają odpowiednio dużo czasu, by gromadzić zasoby do wytworzenia tak spektakularnych lat nasiennych jak kiedyś. Rzadziej też zdarzają się lata, gdy nasion nie ma – w lesie zawsze jest kilka osobników, które je produkują. Innymi słowy, synchronizacja też się załamała.

Ma to swoje dramatyczne konsekwencje. O ile lata nasienne były skuteczną strategią reprodukcyjną jeszcze dwie dekady temu, dziś, na skutek ich rozsynchronizowania, już nią nie są. I tak proporcja nasion buka niszczonych przez ćmę *Cydia fagiglandana* wzrosła w przeciągu ostatnich 40 lat z 1 proc. do 40 proc. Efektywność zapylania natomiast spadła z 50 proc. do 33 proc. W rezultacie drzewa produkują od 50 proc. do 80 proc. mniej zdrowych nasion niż 40 lat temu.

Co ważne, to załamanie się potencjału reprodukcyjnego jest całkowicie niewidoczne. Drzewa ogółem produkują tyle samo nasion co kiedyś. Jednak załamanie się lat nasiennych powoduje, że nasiona są tracone na skutek zmian w oddziaływaniach międzyosobniczych i międzygatunkowych. Teraz trzeba znaleźć odpowiedź na pytanie: czy utrata tak dużej liczby nasion powoduje problemy z regeneracją lasu? W biologii znane jest zjawisko „długu wymarcia", które występuje wtedy, gdy dorosłe osobniki wytrzymują zmiany w środowisku, ale nie są w stanie efektywnie się rozmnażać. Jednym z priorytetów naszych badań jest sprawdzenie, czy mamy z takim zjawiskiem do czynienia. © MICHAŁ BOGDZIEWICZ

Autor jest dyrektorem Centrum Biologii Lasu na Wydziale Biologii UAM w Poznaniu. Laureat Nagrody Narodowego Centrum Nauki dla młodych naukowców z 2022 r. Badania jego zespołu są finansowane przez NCN i Europejską Radę ds. Badań.

REKLAMA

ELIZA

Kącka:
Elektryczna baba pogania

Autobus 167, mozolny korek na ulicy Batorego, przepychamy się ku arteriom placu Unii. Koczuję z książką w jednej pakamerze z czterech siedzeń przy młodych intensywnie obsługujących telefony komórkowe. Odrywają się na moment, ona zaczyna: „Ostrzegam cię, jak się do mnie odezwiesz po tym, jak cię zostawię, to cię usunę ze znajomych na fejsbuku". „A co, zostawisz mnie?". „No jasne, ja już z tobą ogólnie nie wyrabiam". „Fajnie, że masz taki przekaz do mnie". „Serio cię zostawię". „A może ja cię pierwszy zostawię?". „Nie, bo ja to zrobiłam pierwsza!". „A to już?". „Już". Pełzniemy w korku, wjazd w Bagatelę. Gość raptem rechoce złośliwie: „Pierwszy!". Ona: „??!". „Zablokowałem cię na fejsie". „Ty chamie!". „Przecież ze mną zerwałaś". „Ale to było moje wydarzenie!!!".

Biedronka lokalna, długa kolejka do kas samoobsługowych. Przede mną para staruszków: „Dlaczego ty stanąłeś do tych kas?". „Tam jest straszny tłum". „A tu pogania". „Pogania? Pracownik?". „Mówiłam ci, ja tu podeszłam ostatnio. Pomachałam masłem nad ekranem: o tak! – i od razu baba zaczęła się mnie czepiać". „Jaka baba? To mechanizm". „Mechanizm, nie mechanizm, jak mnie elektryczna baba pogania, to ja się wstydzę". „Co się przejmujesz, toto nie myśli". „Ale ja myślę!". „Za dużo myślisz". „Bo to ma taki ton, że od razu widać". „Co widać?". „Że kupujemy najtańsze masło, o!".

Autobus 168, wspinaczka mokotowska po szczeblach robót drogowych. Obok mnie dwie starsze wpatrzone w siebie z aprobatą. „Jaki ma pani piękną chryzantemkę, pani Olu". „A dziękuję". „A skąd?". „A z grobu". Pauza na trudnym afekcie. „Jak?!! Pani Olu, jak to z grobu?!". „No co? Ja jestem żona". „Ale z grobu brane to nieszczęście...". „Nieszczęście to ja z nim miałam przez całe życie". „Ech". „Myślał, że się przede mną schowa!". „Ech". „No to teraz leży, a ja sprzątam". „O grób jednak trza zadbać". „Sprzątam po jego babach. I wiozę na grób mamusi, na Bródno".

Instytut Onkologii, czuwanie pod dyżurką lekarską. Dosiada się starsza, pod osiemdziesiątkę, opatrunek na szyi. Zagaja: „Czekamy". „Ano". Milczymy. Ona po chwili: „Ale pani młoda, pani się tym za dużo nie zajmuje". „Czym?". „Czekaniem". „Aha". Antrakt w ciszy. „Ja to za szybko zaczęłam czekać, za szybko". Myślę, czy drążyć, ale podrzucam: „Czekać na co?". Ożywia się: „Dobre pytanie. Matka zmarła na to, co ja". Uśmiecham się: „Pani jeszcze nie zmarła, chyba że mam przyjemność z widmem". Śmieje się, ale oszczędnie, przytrzymując ostrożnie opatrunek: „Kobiety nie czekają chyba, wie pani, na coś konkretnego. Po prostu zaczynają oczekiwać, a nie żyć". „A to prawda". „Niech pani tak nie robi". Znów milczymy. „Wie pani, zaczęłam myśleć jeszcze przed diagnozą, że my kobiety za szybko zaczynamy gadać ze śmiercią". „To czekanie ją wabi" – mówię. Ona: „Owszem. I wcale nie jest to gwarancja, że się szybko umrze. Chodzi o to, że się przestaje żyć". „Uhm". W korytarzu cień doktora. Ona: „Ja już wiem, na co czekam. Niech pani to dla mnie zrobi: czeka tylko wtedy, gdy musi. I wie, na co".

Wieczorny marsz wzdłuż parkanu Łazienek. Rozkopy i siatki, więc przesmyk wąski i trzeba iść gęsiego. Śnieg i wiatr, zimno. Drepczemy jak pingwiny w zamieci, kolebiąc się w rytm podmuchów. Przede mną kobieta kiele siedemdziesiątki, z rozświetloną komórką głośnomówiącą. Ja i drepczący za mną gość z psem pod pachą mamy słuchowisko. Telefon mówi: „Masz mięso?". „Nie mam. A kto mówi?" – pyta nasza przewodniczka. „Tu Janka. Masz to mięso czy nie?". „Mam ciasto". Telefon: „Boże jedyny. Jan też ma ciasto. Nikt nie ma mięsa". „Co za problem?". Na przerywanej transmisji: „Jubilat l∗bi mięs∗. Masz w dom∗ mięso?". „Mam kotleta, ale nie wrócę do domu". „Mój Boże, kotlet. Mało". Starsza odwraca się do mnie z nadzieją: „Ma pani mięso?". „Przy sobie?". „Niekoniecznie. Ale może mi pani zorganizuje mięso?". Facet z psem: „Mam, ale nie dam. Ale mogę pobiec po mięso dla psa". Starsza: „A takie mięso może jeść jubilat?". Facet: „Jeśli nie jest wybredny". Starsza: „Wdzięczna będę". Pobiegł. Starsza do mnie: „Pani na to nie wygląda, ale zapytam: czy ma pani mięso?". „Nie mam". „Nienawidzę jubilatów".

Komisja orzecznicza przy ulicy Andersa, długie oczekiwanie. Siedzę sobie z córką, obok mężczyzna z synkiem. Wymieniamy mrugnięcia. Kolejka krótka, ale dłuży się, bo dzieci ze spektrum inicjują własne rytuały. I rodzic nie ma już złudzeń, że nie przetrwa bezboleśnie. Po naszej stronie względny spokój, ale po drugiej ruch. Ojciec wdaje się ze mną w dialog. „To nie powinno tak wyglądać". „Wiem" – mówię. „To nie są zwierzęta doświadczalne". „Wiem" – mówię. Uspokoił się. „Ja wiem, że nie ja pierwszy to pani mówię". Owszem, dziesiąty, nic nie szkodzi, to się nie przedawnia. „Nie wiem, skąd czerpać siłę" – mówi. „Ja też nie wiem – mówię – ale nauczyłam się patrzeć na to wszystko jak na nasz wspólny performans". Zawiesił się: „No ale my mamy realne problemy!". „Jak najbardziej – mówię mu – nasze dzieci wymagają wsparcia. Ale wiesz – mówię mu – nie znamy się, ale zaryzykuję przejście na ty, bo ta sytuacja łamie zapory: to my jesteśmy szansą". On: „Na co? My jesteśmy społecznie niczym". Ja: „Dzięki temu jesteśmy zmianą. Poligonem inności, zupełnie naturalnym". Wyszedł lekarz, zaczęły się komisje, mijające się z nami o lata świetlne doświadczeń. Niemniej jednak. ©

TYGODNIK POWSZECHNY
KSIĄŻKI W TYGODNIKU
magazyn literacki
„TP” 50/2023

Dodać światu kolorów

MICHAŁ SOWIŃSKI

Proza Valérie Perrin zachwyca wiarą we własną moc i daje nadzieję, że życie ma sens – szczególnie w trudnych czasach.

Życie każdego człowieka można zamienić w powieść. I nie chodzi mi wyłącznie o tych, którzy doświadczają wyjątkowych przygód – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem" francuska pisarka Valérie Perrin. W przypadku autorki „Życia Violette" słowa te należy potraktować jako literackie credo, bo to właśnie dzięki swojej alchemicznej wręcz zdolności przemiany rzeczywistości w literaturę wysokiej próby zyskała miliony czytelników na całym świecie.

Jej prozę przełożono w sumie na 30 języków, a kolejne książki, w samej tylko Francji, sprzedają się w milionowych nakładach. Bezpretensjonalna, empatyczna, „pisząca sercem" (jak sama o sobie mówi), Perrin wymyka się prostym klasyfikacjom gatunkowym.

Obfita, zielono-fioletowa kwiecistość okładek może być myląca (przynajmniej dla mnie była), bo w przypadku prozy Perrin wcale nie mamy do czynienia z banalnymi i przesłodzonymi historiami, ale z literaturą, która nie kapituluje wobec trudnego zadania, jakim jest opisanie ludzkiego życia w całej jego rozciągłości i skomplikowaniu. Cel o tyle trudny, co rzadko dziś sobie stawiany przez pisarzy i pisarki.

Zmień wodę kwiatom

Perrin zadebiutowała późno, bo w 2015 r. (czyli w wieku 48 lat) powieścią „Niedzielni zapomniani". Historia młodej, wychowywanej przez dziadków kobiety, która w wolnych chwilach pracuje jako wolontariuszka w domu starców, błyskawicznie stała się we Francji (i nie tylko) bestsellerem – polskie tłumaczenie książki ukaże się w lutym nakładem wydawnictwa Albatros. – W życiu staram się nie spieszyć, dlatego tak długo nosiłam w sobie tę powieść. Gdy pojawił się odpowiedni moment, w końcu udało mi się ją napisać – przyznała autorka.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Reportaże, biografie, eseje, poezja i proza.
Recenzje nowości wydawniczych, rozmowy z pisarkami i pisarzami, najciekawsze trendy.

Dobra literatura na
TygodnikPowszechny.pl/ksiazki

Jeszcze jako nastolatka porzuciła szkołę i wiodła burzliwe życie na własną rękę. Jak sama przyznaje, jest jedną z niewielu kobiet we francuskiej literaturze, która jest w stanie utrzymać się wyłącznie z pisania. A jednocześnie Perrin – w dużej mierze za sprawą świadomie podejmowanych decyzji – znajduje się na marginesie francuskiego życia literackiego. Najlepszym tego wyrazem może być fakt, że do tej pory nie otrzymała żadnego znaczącego wyróżnienia – i to w kraju, gdzie nagród nie brakuje i odgrywają one ważną rolę w budowaniu hierarchii wewnątrz środowiska literackiego. Perrin to doskonały przykład pisarki, wobec której opinie krytyków i czytelników znacząco się rozmijają.

Międzynarodowe uznanie i pozycję jednej z najchętniej czytanych francuskich autorek przyniosła jej druga książka, czyli „Życie Violette" (2019), choć jej francuski tytuł to „Changer l'eau des fleurs", czyli „Zmień wodę kwiatom". Jak przyznała sama pisarka, to wdzięczna metafora prostej prawdy, że czasem w życiu potrzebna jest niewielka zmiana, aby rozkwitnąć na nowo.

Violette, gdy ją poznajemy na początku powieści, jest samotną kobietą w średnim wieku, która pracuje jako dozorczyni cmentarza w małym miasteczku gdzieś w środkowej Francji. – O ile nie jesteśmy pustelnikami, wszystko, co dzieje się w naszym życiu, jest wynikiem spotkania z innymi ludźmi. W przypadku Violette do rewolucji dochodzi, gdy spotyka komisarza Juliena Seula. On chce wiedzieć, skąd się wzięła w tym dziwnym miejscu, ona z kolei jest ciekawa, dlaczego tak mu zależy, aby jego matka spoczęła w grobie mężczyzny, który nie był jej mężem – wyjaśnia w rozmowie Perrin, dodając, że od zawsze miała słabość do kryminałów.

I faktycznie – oboje wszczynają śledztwa, pomagając sobie nawzajem w zrozumieniu własnych biografii. Każde z nich bowiem w wyniku fatalnych wypadków, zbiegów okoliczności i nietrafionych decyzji znalazło się w punkcie swojego życia, z którego sami nie potrafią ruszyć dalej. Rodzi się między nimi zaufanie, dzięki któremu otwierają się przed sobą, a ich wzajemne historie zaczynają się coraz bardziej zazębiać. Okazuje się, że mogą sobie pomóc nie tylko poprzez wzajemne zwierzenia, ale również działanie i – co najważniejsze – interpretację tego, co słyszą. Bohaterowie prozy Perrin wiodą bowiem życie na miarę literatury, nic więc dziwnego, że potrzebują literackich narzędzi, aby zrozumieć to, czego doświadczają.

Ma to szczególne znaczenie w przypadku tytułowej Violette, która, jak zresztą wiele innych postaci stworzonych przez tę autorkę, nie ma rodziny – wychowała się w sierocińcu i przez całe życie budowanie normalnych relacji międzyludzkich (także z samą sobą) było dla niej wyzwaniem. – Czy przez to rozumie mniej czy więcej niż inni? Skoro wszystkiego musiała nauczyć się sama, może inaczej odbiera świat? Inaczej przeżywa emocje? Te pytania mnie fascynują, przede wszystkim jako pisarkę – stwierdza Perrin. – Ludzie ze skomplikowaną przeszłością, którzy wyrastają i dojrzewają sami w trudnych warunkach, są potem nie do zdarcia, o ile wcześniej nauczą się o siebie dbać.

Podręcznikiem do nauki życia, z którego intensywnie korzysta Violette, jest „Regulamin tłoczni win" Johna Irvinga. Głównym bohaterem tej powieści jest Homer Wells, również sierota, który metodą prób i błędów uczy się świata. – To pierwsza i najważniejsza powieść w jej życiu: na niej, i to całkiem dosłownie, uczy się czytać. Wcześniej miała kontakt jedynie z książeczkami swojej małej córki – mówi Perrin. – Dlatego też pierwsza lektura zajmuje jej wiele czasu, ale gdy w końcu udaje się jej przeczytać tę opasłą powieść, traktuje to jak wielkie zwycięstwo, symboliczny moment, w którym odzyskuje kontrolę nad własnym życiem. Później będzie czytać wiele innych książek, ale do tej konkretnej będzie wracać nieustannie.

Nadzieja na coś nowego

Co ważne, identycznie postępuje także Homer, główny bohater „Regulaminu", który również szuka pocieszenia w literaturze – dla niego najważniejszą w życiu powieścią jest „David Copperfield" Charlesa Dickensa, jako że w dużej mierze również utożsamia się z losami tytułowego bohatera – pomimo że dzieli go od niego (zresztą podobnie jak Violette od Homera) blisko sto lat, o innych różnicach społecznych i kulturowych nie wspominając. W przypadku tego łańcucha literackich zapożyczeń nie chodzi

o popisy erudycyjne, ale o głęboką wiarę w samą literaturę, dzięki której zarówno Homer, jak i Violette mogą zakorzenić się w rzeczywistości. A możliwe jest to właśnie dzięki opowieściom – nie tyle samym fabułom czy postaciom, ale poczuciu sensu i ciągłości egzystencji, jakie daje powieściowa narracja.

Regulamin, który pojawia się w tytule powieści Irvinga, ma tu szczególne znaczenie. W fabule pojawia się dosłownie – jako zestaw zaleceń i zakazów związanych z produkcją cydru, który wytwarzany jest na plantacji jabłek. Problem w tym, że większość zatrudnianych tam pracowników sezonowych (biednych imigrantów z całego świata) nie potrafi czytać – a ci, którzy byliby w stanie, i tak go ignorują. Tym samym regulamin staje się naczelną metaforą, która dobrze opisuje kondycję wszystkich bohaterów powieści – instrukcja obsługi życia, nawet jeżeli istnieje, pozostaje poza naszym zasięgiem. Bo też nie takiego regulatywno-prawnego wsparcia powinna udzielać nam powieść.

– Violetta została opuszczona dwa razy: przy urodzeniu, a potem przez męża. Wiele rzeczy dla niej jest zagadką, dla nas też – mówi Perrin, tłumacząc, dlaczego jej bohaterka (zresztą nie jedyna) tak bardzo potrzebuje pociechy, jaką daje literatura. – To mnie właśnie najbardziej interesuje w powieściach. Lubię, gdy w życie bohaterów, które wydaje się nieruchome i już na zawsze ustalone, wkrada się chaos. Wtedy wszystko zaczyna się walić, a dotychczasowy porządek traci sens – dodaje. – Musi minąć trochę czasu, zanim z tej zawieruchy wyłoni się coś nowego. Powieści, które lubię, dają nadzieję, że do tego dojdzie. Chcę, żeby czytelnik śledził ten proces razem ze mną. Moim zamiarem jest trafiać w emocje, nie jestem intelektualistką, wolę podbijać serca czytelników.

Co ciekawe, w prozie Perrin punktem zwrotnym często nie są same tragiczne wydarzenia, lecz raczej opowieści o nich, przynoszone przez kolejne postaci. Skomplikowaną i bolesną historię Violette poznajemy dzięki przypadkowemu spotkaniu z przystojnym detektywem, który nie tylko nam, ale również samej Violette dostarcza brakujące elementy układanki. W ten sposób jej biografia może odzyskać spójność, a ona sama kontrolę nad własnym życiem. U Perrin literatura

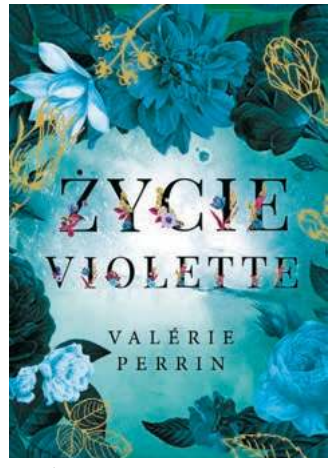

Valérie Perrin
ŻYCIE VIOLETTE,
Wydawnictwo Albatros 2023

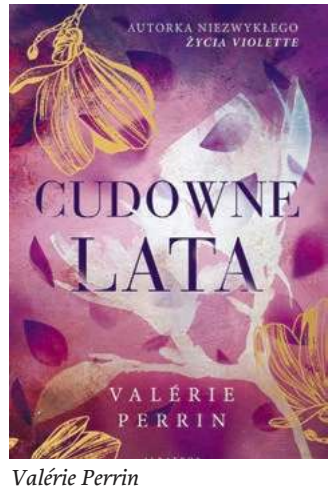

Valérie Perrin
CUDOWNE LATA,
Wydawnictwo Albatros 2023

i egzystencja zbudowane są z podobnego materiału.

Nie tylko Paryż

Podobnie wygląda sytuacja w „Cudownych latach", ostatniej powieści autorki, której akcja rozpięta jest między latami 1986 i 2017. W tym czasie poznajemy złożone losy trójki bliskich przyjaciół: Adriena, Étienne'a i Niny, których łączy zarówno wielka miłość, jak i mroczna tajemnica. Zagadka ich poplątanych biografii jest jeszcze bardziej skomplikowana niż w przypadku Violette, jednak czytelnicze inwestycje emocjonalne w historie bohaterów okazują się w tym przypadku równie opłacalne.

Perrin: – W tej powieści opowiadam historię trzydziestu lat przyjaźni trójki ludzi, ale też samej Francji i reszty świata: mamy tam choćby upadek muru berlińskiego czy zamachy w Nowym Jorku z 11 września. Jest w tym oczywiście sporo nostalgii, ale przede wszystkim chodziło mi o pokazanie możliwie szerokiego kontekstu dla fabuły, w której wielu ludzi jest w stanie się odnaleźć. Dlatego opowiadam o przemianach gospodarczych, społecznych, technologicznych, ale też o muzyce; znowu, nie tylko przecież francuskiej, bo pojawia się także U2 czy The Cure.

Muzyka faktycznie odgrywa ogromną rolę w tej historii. Dlaczego? – Jedna piosenka może odmienić nasze życie, sprawić, że się w kimś zakochamy, może pomagać nam przetrwać najtragiczniejsze momenty – twierdzi Perrin.

Tłem jej powieści bywa przede wszystkim francuska prowincja – małe miasteczka, podobne do tego, w którym sama się wychowywała. – Uwielbiam takie miejsca, bo są mi bliskie, ale też świetnie sprawdzają się jako materiał literacki. Wszyscy się w nich znają i wiedzą o sobie wszystko, a przez to relacje międzyludzkie są gęste i wyraziste. Łatwiej zaplatać z nich fabułę – mówi Perrin. Jako swojego ulubionego pisarza wymienia Marcela Pagnola. – Zarówno w swoich powieściach, jak i filmach opowiadał o życiu prostych ludzi: sklepikarzy, właścicieli małych kawiarenek, robotników, z czułością, ale bez popadania w protekcjonalne tony. Proste życie, wbrew pozorom, najtrudniej uchwycić w literaturze. A zależy mi na tym, bo w ten sposób najlepiej widać uniwersalne problemy, z którymi wszyscy się mierzymy. Z drugiej strony nie czuję się kronikarką francuskiej prowincji. Po prostu nie uważam, że w Paryżu dzieją się rzeczy ważniejsze. Nie trzeba umieszczać akcji powieści na Saint-Germain-des-Prés czy w VII dzielnicy Paryża, żeby powiedzieć coś istotnego o świecie – podkreśla autorka.

Historie, które opowiada Perrin, nie są przesadnie oryginalne, nie znajdziemy w nich również formalnych ani językowych innowacji – jest to jednak literatura, która zachwyca wiarą we własną moc. Proza ta składa się z gęsto splecionych ze sobą opowieści, które potrafią szczelnie wypełnić rzeczywistość, nadając jej narracyjną strukturę i literacki sznyt. – Lubię dodawać światu kolorów, lubię dawać czytelnikom nadzieję, że życie ma sens, szczególnie w trudnych czasach – podsumowuje naszą rozmowę Perrin.

© MICHAŁ SOWIŃSKI

Afera o dezertera

OLGA ŻYMINKOWSKA

Francuski humor łączy szaloną wyobraźnię surrealistów z wyrazistością kryminalnej intrygi.

„Cóż to za motorowerek z chromowaną kierownicą tam w głębi podwórza?" – pyta Georges Perec, wygrywając nieistniejący jeszcze konkurs na najdziwniejszy tytuł książki roku 1966. Z pewnością Bookseller-Diagram Prize – humorystyczny laur literacki przyznawany od 1978 r. – trafiłby właśnie do Pereca, gdyby powieść ukazała się dwanaście lat później.

Przygody wojaka Pollaka

W 1966 r. Perec ma już za sobą pierwsze próby literackie, w tym uznaną za zaginioną powieść „Les Errants" (Błądzący), kolejną, również nieodnalezioną – „J'avance masqué" (Kroczę zamaskowany) oraz wiele opowiadań i dramatów satyrycznych publikowanych w prasie. Jednak rozgłos przynoszą mu dopiero „Rzeczy" (1965) wyróżnione prestiżową nagrodą Renaudot. To w zasadzie jedyna książka Pereca, która została odebrana przez czytelników bez cienia humoru, jako realistyczny opis społeczeństwa konsumpcyjnego lat 60. (mimo że najważniejsze, zdaniem trzydziestoletniego pisarza, były tu językowe eksperymenty – pastisz składni Flauberta i parodie popularnych magazynów mody).

Wydana zaraz po „Rzeczach" powiastka „Quel petit vélo à guidon chromé au fond de la cour?" („Cóż to za motorowerek z chromowaną kierownicą tam w głębi podwórza?" – i był to, obiecuję, ostatni raz, gdy przytaczam tytuł w całości) powstała więc jako pierwszy nieśmiały dowód na to, że sytuacja historyczna czy stosunki społeczne są dla Pereca tylko źródłem koniecznej anegdoty.

W „Motorowerku" tłem historycznym jest wojna w Algierii prowadzona przez Francję w latach 1954-1962, zakończona uzyskaniem niepodległości przez francuską kolonię na mocy porozumienia w Évian. Perecowi po raz kolejny nie chodzi jednak o szczegółowy opis okropności wojny (choć trzeba przyznać, że 400 tys. ofiar odbiera mowę), lecz o obśmianie starego motywu wojskowej dezercji.

Między innymi dlatego „Motorowerek" (któremu z daleka patronują „Przygody dobrego wojaka Szwejka" Haška) nie został dobrze przyjęty wśród tych, którzy spodziewali się grzecznej kontynuacji Flaubertowskiej stylistyki. Bezpośrednią inspiracją okazała się historia kolegi Pereca – Jacques'a Lederera (w książce – Henio Pollak), który podczas służby wojskowej w forcie Vincennes prosił o pomoc dla kumpla o dziwnym nazwisku „Kara...", chcącego uniknąć wyjazdu na wojnę w Algierii.

Problem tkwił rzecz jasna w uprawdopodobnieniu „niezdolności do służby wojskowej", która w przypadku towarzysza broni (którego nazwisko zmienia się w książce w zależności od sytuacji: począwszy od Karaśwista, przez Karadygmat, Karakuku, Karafalk aż po Karanoję i Karakiri) miała przybrać formę urazu kończyny w wyniku zmiażdżenia jej kołem wspomnianego motorowerka, którego właścicielem był sam sierżant Pollak.

My, Perec

Tak zaczyna się afera o dezertera, opowiadana głównie w „kumpelskiej" narracji pierwszej osoby liczby mnogiej („my, paczka zacnych ludzi, dzielnych jak Marignan, silnych jak Patos, subtelnych jak Artemis" – przedstawia się „po muszkietersku" Perec). W historię wprowadza nas więc „ferajna z Montparnasse'u", która przez wzgląd na swego „przezacnego kumpla" Pollaka postanawia pomóc Karafalkowi (jego nazwisko „coś tam znaczyło i nie było mowy, by mogło łatwo wypaść z pamięci"). Rytm „epickiej opowieści prozą urozmaiconej rymowanymi ozdobnikami pochodzącymi od najznamienitszych autorów" (jak reklamuje Perec we wstępie) wyznaczają podróże Henia Pollaka, który wiedzie życie niczym Jekyll i Hyde – za dnia oddaje się wojskowym powinnościom jako sierżant, a wieczoram wraca do rodzinnego Montparnasse'u. Tam zmienia się w „dziarskiego kawalira", na którego czeka wspomniana grupa przyjaciół oraz ciepły pokoik ze stosikiem książek i uroczą „bogdanką".

Intryga zmierza wprost do rozwiązania, a cała historia toczy się w atmosferze rozchichotania i sztubackich żarcików. Perec czyni przy tym liczne aluzje do swojej biografii, ale brak tym razem domniemanych nawiązań do znanej wszystkim historii o wojnie, Zagładzie i osieroceniu.

W odróżnieniu od późniejszych powieści (przykładem niech będą „Zniknięcia", „W albo wspomnienie z dzieciństwa" czy „Życie instrukcja obsługi"), „Motorowerek" pozostaje dziełem konsekwentnie niemelancholijnym. Perec raczy nas tu literaturą dziecięcego zamiłowania do absurdu, czym wpisuje się w silnie obecną we Francji tradycję „karnawałowo-surrealistyczną". „Motorowerek" stylistycznie przypomina niektóre z powieści herszta grupy OuLiPo Raymonda Queneau (przede wszystkim „Zazie w metrze", szaloną opowieść o francuskiej Pippi Pończoszance wprowadzającej zamęt do życia porządnych paryżan) i to nieprzypadkowo, ponieważ właśnie publikacja „Motorowerka" sprawia, że Perec zostaje przyjęty do Warsztatu Literatury Potencjalnej.

Główne składowe Perecowskiego świata: błazeński humor podszyty groteską, rozmiłowanie w grach i aluzjach językowych oraz szczególne zainteresowanie formalną stroną literatury (w „Motorowerku" aż roi się od intertekstualnych „mrugnięć okiem", trzeba przyznać, że dziś już nie zawsze czytelnych) – doskonale zrymowały się z poetyką OuLiPo.

Na skrzyżowaniu

„Motorowerek" – przez niektórych uważany za mało znaczący wybryk w twórczości pisarza – stanowi z jednej strony dzieło

osobne (najmniej w nim demonów wojennej przeszłości), z drugiej – wpisuje się w literacki kanon francuskiej „humorystyki" wyznaczony przez takie nazwiska jak choćby Rabelais, Jarry, Michaux, Vian, Queneau czy Topor (lista ta częściowo pokrywa się z autorami obecnymi w „Antologii Czarnego Humoru" André Bretona). Tak jak nie mamy większych wątpliwości co do „narodowego" charakteru humoru czeskiego czy angielskiego, pojęcie „francuskiego humoru" zostaje wciąż w sferze domniemań. „Motorowerek" jest jednym z ciekawszych świadectw tego, że humor we Francji mieści się „na skrzyżowaniu ulicy Bretona z bulwarem Viana" (u Pereca przewija się w innym kontekście motyw „skrzyżowania ulicy Viana z bulwarem Teilharda de Chardina"), łącząc w sobie szaloną wyobraźnię surrealistów z wyrazistością kryminalnej intrygi.

Oprócz ukłonu w stronę oulipijczyków (wart odnotowania jest tu Boris Vian, którego „Pianę złudzeń" Perec miejscami wręcz przepisuje), „Motorowerek" korzysta również ze stylistyki popularnych kryminałów – szczególnym echem pobrzmiewa tu twórczość Frédérica Darda, znanego w tamtym czasie autora humorystycznych powiastek o komisarzu San Antonio. Jest to połączenie raczej wyjątkowe, ponieważ nie mamy tu do czynienia ani z „czystym" surrealizmem (z jego nieodłącznym metafizycznym „naddatkiem" w postaci atmosfery grozy, snów, halucynacji i freudyzmu), ani z prymitywną formułą kryminałów w stylu *noir*.

Raczej wesoła groteska

Udział elementów „nadprzyrodzonych" w efekcie komicznym (a więc na przykład gadających psów u Viana, cofającego się czasu u Jarry'ego czy „wyimaginowanej geografii" u Topora) w „Motorowerku" jest znikomy i zastąpiony raczej językowymi zabawami. Znajdziemy tu grafomańskie porównania rodem z gotyckich powieści („godziny snuły się powoli jak ziarnka gresu w klepsydrze"), raz po raz archaizowaną składnię („takowemi przemówił doń słowy"), dziecięce rymowanki („koniec kropka, idź do żłobka") czy celowe powtarzanie wciąż tych samych absurdalnych szczegółów (kierownica – „chromowana", motorowerek – „popierdujący").

Nie ma tu jednak, mimo wszechobecnej atmosfery groteski i absurdu, ani krzty

Georges Perec
CÓŻ TO ZA MOTOROWEREK Z CHROMOWANĄ KIEROWNICĄ TAM W GŁĘBI PODWÓRZA
przeł. Rene Koelblen, Stanisław Waszak, Lokator 2023

frenezji i estetyki seansów spirytystycznych, przyćmionego światła, uśpionego erotyzmu czy złowrogiej metafizyki, jak zdarzało się niejednokrotnie w początkowych fazach surrealizmu. Perec przemalowuje Bretona plakatówkami, starannie ukrywając wszelkie skojarzenia metafizyczne i uwypuklając codzienną, absurdalną stronę egzystencji. To w potoczności i trywialności życia dostrzega źródło humoru i jest tym samym najbliżej Rolanda Topora, innego spadkobiercy surrealizmu w wydaniu „'patafizycznym".

'Patafizyka (według Alfreda Jarry'ego – „teoria urojonych rozwiązań" i „nauka o potencjalnych własnościach rzeczy") patronuje wszelkim literackim działaniom, które swój początek biorą z zachwiania elementarnego poczucia oczywistości. Pod względem filozoficznym jest to podejście wręcz „antyfrancuskie", gdyby Kartezjańską pewność wziąć za reprezentatywną koncepcję francuskiej filozofii. Gra z codziennym poczuciem pewności odbywa się najczęściej przez drobne „wybicia" z toku lektury, wtrącenia od czasu do czasu – jak to określił Vian – „dzyndz michałków", które zaburzają płynność akcji. Nie odgrywają one najczęściej żadnej większej roli w opowiadanej historii, występują mimochodem, wtrącają się bez uprzedzenia, majaczą gdzieś w tle niczym sceneria realistycznego gościńca (w „Motorowerku" pojawia się stół, który wierci się podczas nakrywania). Świat 'patafizyczny nasycony jest przez to czarnym humorem, który łamie społeczne obyczaje, a nawet „patafizykuje" elementarne prawa przyrody.

Śmiechem podszyty

Pomimo tego, że „Motorowerek" powstał na kanwie tragicznych wydarzeń politycznych, nie uderza w moralizatorskie tony. Śmiech Pereca nie jest podszyty dydaktyzmem ani chęcią wskazania na okrutne siły rządzące społeczeństwem. Owszem, znajdziemy tu fragmenty otwarcie krytykujące francuską politykę, szczególnie tę, która zmusza obywateli, aby „poili swą krwią szlachetne wzgórza Afryki, które zrządzeniem wiekopomnej historii stały się ziemią francuską"). Każdy, nawet najdobitniejszy przytyk rozpływa się jednak w atmosferze pogodnej i nieskrępowanej wesołości. Ta niewymuszona swawolność daje szczególny efekt – świat staje się nagle teatrem kukiełkowym, pojedynkiem na miny, w którym „powaga", „majestat" i „błazeństwo" to zwykłe potyczki na konwencje i języki.

Perec to śmiertelny wróg sentymentalizmu, grający na nosie wielkim tematom egzystencji – w „Motorowerku" są nimi wojna i dezercja, w „Rzeczach" – konsumpcjonizm, a w „W albo wspomnieniu z dzieciństwa" – osobista biografia. „Motorowerek" karnawalizuje świat tradycyjnych wartości: „miłość" to tylko „uczucie mięty", „przyjaźń" to wspólne pogaduchy w szynku, a „Wolność, Demokracja, Ludzkie Ideały i Socjalizm" zaliczają się do owych „Szurum-Burum", o których gawędzi się miło przy kieliszku cointreau. Realna groza skrywająca się pod hasłem „wojsko" czy „Algieria", czająca się śmierć i obcość świata, jaką przy odrobinie wysiłku można wyczuć w powieści Pereca, zostają przykryte cyrkowym namiotem, pod którym rozbrzmiewa złowrogi chichot.

„Motorowerek" kończy się spisem figur stylistycznych i retorycznych sporządzonych przez samego autora (a będących pokłosiem fascynacji Pereca seminarium Rolanda Barthesa). Oprócz klasycznych hiperboli, metonimii i anafor, które Perec odnajduje w swoim tekście, pojawiają się w indeksie wytwory jego szalonej wyobraźni: „kapucynada", „ckliwość", „bombastyczność", a nawet „logodiareja" (połączenie „logorei" – słowotoku i „diarei" – biegunki). Perec po raz kolejny daje do zrozumienia, że napisany przez niego tekst jest tak naprawdę zbiorem figur-kukiełek, zaleceń i przyzwyczajeń tworzących sztuczny świat, konwencji i przepisów formalnych, a bohaterowie – Karakiri, Henio Pollak i ferajna z Montparnasse'u – to chimery, których kruchy żywot na pstrym motorowerku jeździ.

© OLGA ŻYMINKOWSKA

Francuski black metal: ofiary Borisa Viana

JAN BŁASZCZAK

Jak wiadomo, Boris Vian wysoko cenił sobie absurd i czarny humor. Mam więc nadzieję, że doceniłby okładkę „Piany dni", jaką zgotował mu wydawca polskiego tłumaczenia powieści. Zdaję sobie sprawę, że trafił na nią plakat jej filmowej adaptacji, ale marne to pocieszenie, kiedy swój egzemplarz wyciągam późną nocą, by uniknąć kąśliwych uwag ze strony domowników.

Choć lektura Viana wiąże się więc z chronicznym niewyspaniem, uczy mnie, że mogłem skończyć gorzej. Kiedy ukradkiem zaglądam do tej przebranej za harlequin powieści, od razu trafiam na przejmujące wyznanie: „Moja siostra się stoczyła, proszę Pana – westchnął Mikołaj. – Ukończyła filozofię. Nikt nie lubi się chwalić takimi rzeczami w rodzinie dumnej ze swych tradycji".

Może coś jest na rzeczy? Bo czy francuscy filozofowie nie zamienili czasem swych katedr na katakumby? Czy pod osłoną nocy nie spakowali niedokończonych traktatów, by zaszyć się na głębokiej prowincji, gdzie nie dosięgał ich oceniający wzrok zdrowej części społeczeństwa? A jeśli wcale tak się nie dzieje, jeśli nie mam racji, to proszę mi wytłumaczyć przypadek Hasjarla. Albo chociaż wytłumaczyć, co kierowało Vindsvalem, gdy chował się za swoim pseudonimem. Któż to jest? Ha, no właśnie! Najprościej mówiąc: „ofiara Viana".

Choć to przecież niesprawiedliwe, jak obarczanie lekarza winą za fatalną diagnozę. Dlaczego więc Hasjarl i Vindsval usunęli się w cień? Dlaczego zeszli do podziemi i to tych najgłębszych, bo mowa przecież o bohaterach blackmetalowej sceny. Reprezentantach muzycznej ekstremy, którą cechuje chałupnicza produkcja, skrzekliwy wokal i nieczytelne okładki. Głosach sceny, która przez lata musiała funkcjonować w cieniu spalonych kościołów i pewnego głośnego zabójstwa. A przecież to właśnie tutaj, na francuskim odcinku tego plugawego uniwersum, Deathspell Omega i Blut Aus Nord wykrzykują swoje filozoficzne traktaty. I nie chodzi tu wcale o popowe wyimki z Nietzschego, o jakiegoś Schopenhauera dla ubogich. Nic z tych rzeczy, Hasjarl i Vindsval filozofują na całego. Sięgają po pradawne święte księgi, po średniowiecznych mistyków, wreszcie, po XX-wiecznych francuskich myślicieli z półki profesora Kolankiewicza. A im bardziej filozofują, tym bardziej się skrywają.

Choć oba zespoły działają od lat 90., konsekwentnie nie grają koncertów, nie publikują swoich zdjęć, nie rozmawiają z prasą. Przez ćwierć wieku Deathspell Omega udzieliła dwóch wywiadów (ostatniego 19 lat temu), które zresztą stoją ze sobą w zupełnej sprzeczności. Do tego stopnia, że jeden z nich wydaje się nieautentyczny. Tylko który? Jako że Hasjarlowi i Vindsvalowi nie sposób przekazać krytycznych uwag, nasi filozofowie śmiało poczynają sobie z blackmetalem. Deathspell Omega ciągnie go w stronę rytmicznych, awangardowych łamigłówek, podczas gdy Blut Aus Nord bada, czy można na poważnie grzebać w jego kłopotliwym symfonicznym dziedzictwie.

Oba zespoły rzeźbią w tym tworzywie na tyle sprawnie, na tyle zajmująco, że przyciągają uwagę fanów metalu z całego świata. Naiwnych słuchaczy, którym się jeszcze wydaje, że wystarczy kilka kliknięć, by dowiedzieć się czegoś o liderze ich nowego ulubionego zespołu. Po dwóch godzinach poszukiwań ich wiedza na temat Francuzów nie ulega zmianie, natomiast wiedzą już, kim jest Georges Bataille i Alexandre Kojève. I bardzo boli ich głowa.

Czytam właśnie kolejny internetowy wątek o „metafizycznym satanizmie" Deathspell Omega. Mogę czuć entuzjazm, ekscytację jego autora, który zanurza się właśnie po raz pierwszy w świecie pojęć Hasjarla. Jeszcze wyraźniej odczuwam jednak jego rezygnację, gdy kilka postów niżej dochodzi do wniosku, że musi najpierw przejść przez Hegla. Uśmiecham się pod nosem, bo sam już nie mam złudzeń: jestem za głupi na francuski black metal.

Dlatego, gdy lata temu rodzice zadzwonili do mnie z Paryża, pytając, jaką płytę mogliby mi przywieźć z wakacji, poprosiłem o album „Leviathan" Mastodona. Też na bazie wielkiej literatury (Melville), ale jednak znacznie mniej wymagający – zamiast Hegla wystarczy pokonać wieloryba. ©

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 50/2023
REDAKCJA: Monika Ochędowska
PROJ. GRAF.: Marek Zalejski | FOTOEDYCJA: JACEK TARAN
OPIEKA WYDAWNICZA: Anna Pietrzykowska, Mateusz Gawron
SKŁAD: Agnieszka Cynarska-Taran
NA OKŁADCE: Valérie Perrin | PASCAL ITO / MATERIAŁY PRASOWE

WSPÓŁWYDAWCA
Fundacja Tygodnika Powszechnego

PARTNERZY
Literacka Podróż Hestii
WYDAWNICTWO ALBATROS

Dołącz do naszej grupy na Facebooku i Instagramie @ksiazkiwtygodniku

REKLAMA

Świąteczny
PORADNIK PREZENTOWY

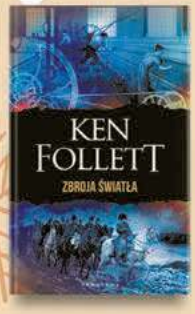

KINGSBRIDGE W OBLICZU REWOLUCJI PRZEMYSŁOWEJ I WOJEN NAPOLEOŃSKICH.

HISTORIA NAJWIĘKSZEJ NAGONKI W DZIEJACH SIEDEMNASTOWIECZNEJ ANGLII.

NIESZCZĘŚLIWE MIŁOŚCI, RODZINNE SEKRETY, TRAGICZNA ZBRODNIA SPRZED LAT.

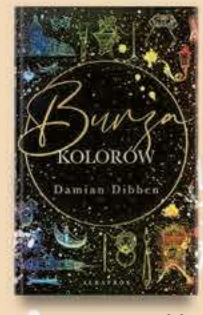

SZTUKA, MIŁOŚĆ I TAJEMNICZY SPISEK W RENESANSOWEJ WENECJI.

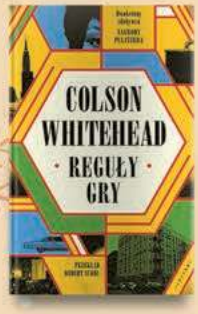

NOWOJORSKA SAGA RODZINNA – BARWNY PORTRET HARLEMU W BURZLIWYCH CZASACH.

POWIEŚĆ LAUREATKI PULITZERA, PODRÓŻ PRZEZ BOGACTWO KULTUR NOWEGO ŚWIATA.

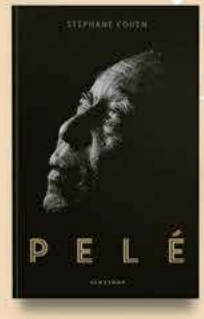

BIOGRAFIA LEGENDY SPORTU, PIERWSZEJ GLOBALNEJ GWIAZDY FUTBOLU.

WŁOCHY OD KUCHNI: POTRAWY, PRODUKTY, ZWYCZAJE, KULTURA, SZTUKA I... RADOŚĆ ŻYCIA.

PRAWDZIWY POWIEŚCIOWY LABIRYNT: HIPNOTYZUJĄCA ZAGADKA KRYMINALNA.

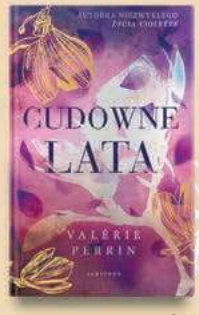

ODA DO PRZYJAŹNI I SZCZĘŚLIWYCH LAT DZIECIŃSTWA.

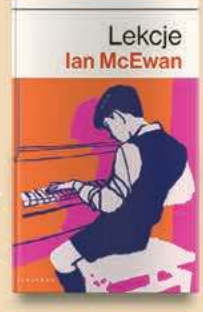

LITERACKI MAJSTERSZTYK LAUREATA NAGRODY BOOKERA.

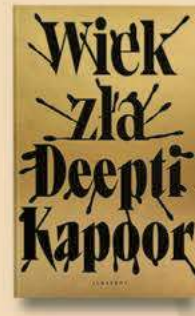

EPICKA OPOWIEŚĆ O POTĘŻNEJ INDYJSKIEJ RODZINIE MAFIJNEJ.

WYDAWNICTWO ALBATROS

Jak radzić sobie z uczuciami? Książki dla najmłodszych

Kiedy wszystko jest dziwne

Pierwszą przygodą są niezwykłe prace Élodie Bouédec, ilustratorki regularnie publikującej we francuskiej prasie. Ta książeczka to jej pierwszy album dla dzieci. Zainspirowana techniką filmu animowanego, Bouédec – jak wyjaśnia wydawca – rysuje drobnymi narzędziami na piasku barwionym czarnym tuszem, który rozsypuje na jasnym stoliku. Następnie swoje prace fotografuje, a uzyskany obraz koloruje na komputerze. Druga przygoda to zmagania z dziwnymi snami i zmysłowymi wrażeniami: bohaterce książeczki zdaje się, że przedmioty wokół niej zmieniają kształty i rozmiary, a ona sama raz jest ogromna, a potem znów malutka, mniejsza od białego królika. Tak, to opowieść inspirowana „Alicją w Krainie Czarów" Lewisa Carrolla, ale też odpowiedź na dziecięce lęki i koszmary. Autorki przekonują, że czasem nastrój poprawia nam po prostu świadomość, że ktoś doświadcza świata w sposób podobny do naszego.

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

▪ *Sandrine Bonini, Élodie Bouédec*
W MOIM MAŁYM ŚWIECIE,
przeł. Joanna Kuhn, NoBell 2023

Z życia nastolatki

Najlepsza przyjaciółka nagle zaczyna traktować cię jak powietrze i szkolne przerwy spędza z „koniarami", twoimi odwiecznymi wrogami. Do tego ukochana ciotka, z którą dzielisz artystyczne pasje, trafia do szpitala z powodu tajemniczej choroby zwanej depresją. Dlaczego niektórzy dorośli się z tego śmieją, a inni nie chcą o tym rozmawiać? Jakby jeszcze było mało – jedni chłopcy uparcie traktują cię jak powietrze, a inni łażą za tobą krok w krok i nie dają spokoju. Z takimi (i wieloma innymi) problemami zmaga się dwunastoletnia Humla Hansson, z czego relację zdaje w swoim dzienniku. Ester Eriksson i Kristinie Sigunsdotter, laureatkom prestiżowej szwedzkiej Nagrody Augusta, udało się nie tylko wejść w zagmatwany świat współczesnej, wrażliwej nastolatki, ale również znaleźć zrozumiały dla innych język, aby go opisać. Przy okazji – wyrazy uznania dla polskiej tłumaczki.

© MICHAŁ SOWIŃSKI

▪ *Kristina Sigunsdotter, Ester Eriksson*
SEKRETY HUMLI HANSSON,
przeł. Agnieszka Stróżyk, Zakamarki 2023

W stronę horyzontu

Każdy smok w dzień swoich dwusetnych urodzin opuszcza domowe ognisko. Wtedy dostaje od rodziców swój pierwszy skarb oraz górę na własność. Smok z książeczki francuskiego filozofa i ilustratora – mimo bogactwa i ogromnej przestrzeni, którą posiada do dyspozycji – czuje się jednocześnie „przeraźliwie wolny", ale też okrutnie samotny i przygnębiony. Spędzi wiele dni w tym stanie, zanim zacznie szukać sposobów na pokonanie chandry. „Uciążliwy skarb" to subtelna, przejmująca opowieść dla młodszych nastolatków, metaforycznie ilustrująca kryzysy dorastania, wiążące się nierzadko z traceniem bliskich i przyjaciół, którzy w pewnym momencie idą własnymi drogami. Warto pamiętać, uczy Derouen, że dokądkolwiek zmierzamy, jesteśmy na właściwym kursie.

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

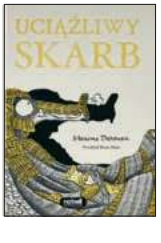

▪ *Maxime Derouen*
UCIĄŻLIWY SKARB,
przeł. Beata Huet, NoBell 2023

Gdzie jest dziadek?!

Dziadek miał charakterek. Często się złościł i od dawna nie był zbyt sympatyczny dla otoczenia. Prawdopodobnie dlatego, że miał dosyć bólu towarzyszącego przewlekłej chorobie, która nie chciała odpuścić. Z czasem wszyscy mieli już trochę dość humorów dziadka i zaczęli szukać wymówek, żeby tylko nie odwiedzać go w szpitalu. Wszyscy poza wnuczkiem Gottfridem, bohaterem ostatniej książki Ulfa Starka, wydanej już po śmierci szwedzkiego pisarza. Słodko-gorzka opowieść o niełatwych rodzinnych relacjach, miłości i próbie międzypokoleniowego porozumienia. Powiem wprost: wyciskacz łez, w sam raz na ciemne grudniowe wieczory. Autorką ilustracji jest Kitty Crowther, laureatka nagrody ALMA (Astrid Lindgren Memorial Award). Dorośli docenią arcydzielny przekład, dający sporo frajdy podczas czytania na głos albo na głosy.

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

▪ *Ulf Stark, Kitty Crowther*
UCIEKINIERZY,
przeł. Katarzyna Skalska, Zakamarki 2023

Gotycki horror i wiejska sielanka

ANOUK HERMAN

Budowanie nastroju, internetowe estetyki i hollywoodzki rozmach to najważniejsze cechy najnowszej literatury młodzieżowej.

Współczesna proza młodzieżowa splata kilka trendów, łącząc ze sobą ograne klisze i rewolucyjne nowości, silnie rezonując ze światem mediów społecznościowych, młodzieżowych kultur i chaotycznego przepływu newsów. W powieściach widoczne stają się osoby queerowe i kobiety (jak w komiksie o „Wszystkich moich queerowych chwilach" autorstwa Eleanor Crewes), rozpoznane zostają kultury inne niż europejskie (jak w „Arii" Nazanine Hozar albo „The Henna Wars. Miłości pisanej henną" Adiby Jaigirdar), a na pierwszy plan wysuwa się klimat. Budowanie nastroju przy jednoczesnym dbaniu o fabułę opowiadanej historii, bez ambicji prześcigania się w wykwintności języka, stanowi dzisiaj wyraźną cechę literatury YA.

Mówimy tu o książkach pisanych z filmowym, a nawet hollywoodzkim rozmachem: być może wydana w 2017 r. powieść „Siedmiu mężów Evelyn Hugo" Taylor Jenkins Reid wyznaczyła w tym zakresie nowy trend, który obecnie jedynie nabiera rozpędu. Efekt kinematyczny – wywołany głównie poprzez nadanie priorytetu sugestywnym opisom wyglądu bohaterów i bohaterek oraz książkowych lokalizacji – sprawia, że koncentrujemy się na estetyce. Samo słowo „estetyka" nie jest zresztą przypadkowe, bo tym, co najmocniej formuje gusta odbiorców i odbiorczyń książek *young adult* jest internet i cała związana z nim kultura wizualna.

Atmosfera, nastrój, emocje

Estetyki internetowe, w social mediach obecne raczej jako *internet aesthetics*, to kategorie, które grupują różne artystyczne fenomeny – modę, sztuki plastyczne, filmy, muzykę – w mniej lub bardziej spójne systemy, wokół których wytwarzają się społeczności przypominające subkultury (a – jak twierdzą niektórzy, m.in. dziennikarz TJ Sidhu – estetyki rzeczywiście są subkulturami na miarę XXI w.).

Abdi Nazemian
DZIEDZICTWO CHANDLERA,
przeł. Michał Zacharzewski, W.A.B. 2023

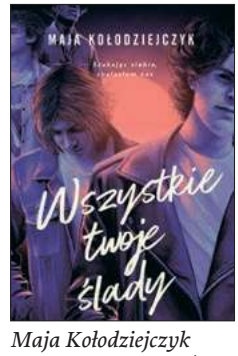

Maja Kołodziejczyk
WSZYSTKIE TWOJE ŚLADY,
Wydawnictwo Ale! 2023

Krystal Sutherland
DOM SIÓSTR MARNOTRAWNYCH,
przeł. Kaja Makowska, We need YA 2023

Dla przykładu posłużę się romantyzującą życie na obszarach podmiejskich estetyką *cottagecore*, która zawojowała media społecznościowe w trudnym okresie pandemii. Hasztagiem „*cottagecore*" opatrywano repostowane po wielokroć idylliczne fotosy wiejskich scen z „Marii Antoniny" Sofii Coppoli, zdjęcia drewnianych chatek i ziołowych ogródków czy autoportrety w stylizacjach przywodzących na myśl netfliksową ekranizację „Ani z Zielonego Wzgórza". Co łączyło wszystkie te przedstawienia? Atmosfera, nastrój, emocje. Estetyki to też sposób realizowania marzeń i aspiracji poprzez konsumowanie określonych tekstów kultury: jeśli ucieczka na wieś jest niemożliwa, sposobem na przynajmniej częściowe wcielenie jej w życie jest sięgnięcie po serial czy książkę, które o takiej ucieczce opowiadają.

Trudno, by w czasach Pokolenia Z sięgającego po pióra (a raczej klawiatury), rynek książkowy pozostał słodko nieświadomy istnienia zjawiska tak ważnego i formacyjnego jak *internet aesthetics*. Trudno, żeby młode osoby autorskie, z wyobraźniami aż kipiącymi od obrazów, nie wytwarzały własnego języka narracji, w którym starannie wyselekcjonowane konteksty mówią niekiedy więcej niż fabuła. Z tego też powodu warto, by przez literaturę młodzieżową przeprowadziły nas tu właśnie estetyki.

Mówi się, że hasztag „*darkacademia*" powstał około roku 2014 na Tumblrze, a następnie przeżył swój renesans w 2020 r. podczas pierwszego lockdownu, na który przypadł także szczytowy wzrost popularności TikToka (niech pierwszy rzuci kamieniem ten, kto wówczas nie pobrał aplikacji).

Gotyckie mury uniwersytetów, tonące w mroku biblioteki, popołudnia z książką przy czarnej kawie, stylizacje inspirowane szkolnymi mundurkami, zapał do nauki i determinacja, którą mogłaby się pochwalić bohaterka popularnego serialu Rory Gilmore – ekspozycja na te romantyczne obrazy sprawia, że studiowanie staje się trochę przyjemniejsze. ↦

↦ Edukacja – tak szkolna, jak i wyższa – jest bez wątpienia jednym z najważniejszych wątków literatury dla młodych dorosłych, bo w dużej mierze stanowi sedno dorastania. Ogromny sukces klasycznej już w tym gatunku powieści Donny Tartt, „Tajemnej historii", również zachęca do sięgania po tematy okołoszkolne i okołoakademickie.

W ostatnim czasie na polskim rynku pojawiło się kilka pozycji, które do książki Tartt mniej lub bardziej otwarcie nawiązują. Na początek warto wspomnieć o „Studium zatracenia" Avy Reid (przeł. Hana Matejek-Khouri), powieści *young adult* osadzonej w realiach wykreowanego przez autorkę świata fantasy, do którego stworzenia zainspirował ją walijski folklor. Akademicka podróż w poszukiwaniu prawdy na temat ulubionego pisarza Effy, głównej bohaterki „Studium...", okazuje się także wyprawą po prawdę o... Akademii. A uniwersytet wcale nie jest miejscem bezpiecznym i bezproblemowym, bo rządzi w nim instytucjonalny seksizm. Od Reid dostajemy opowieść o mizoginii, sprzeciwie wobec patriarchalnego porządku na uczelni oraz o walce o sprawiedliwość i widoczność w zdominowanym przez mężczyzn świecie nauki. To jeden z ciekawszych aspektów książki, taki, dla którego warto podsunąć ją pod nos licealist(k)om i osobom wkraczającym na uniwersytety.

Zaklasyfikowanie „Studium..." do kategorii mroczno-akademickich książek jest więcej niż oczywiste, nie tylko ze względu na tematykę, ale też rodzaj promocji, na który zdecydowała się autorka, otwarcie nazywająca swoją powieść „*dark academia book*". Ta gatunkowa świadomość, celowe nawiązywanie do estetycznej konwencji, wydaje się uczciwym, marketingowym zagraniem, zwłaszcza że faktycznie mamy do czynienia i z mroczną, i z akademicką baśnią, w której roi się od sugestywnych opisów porośniętych martwymi drzewami klifów i podłóg poskrzypujących w starej posiadłości.

Nieco gorzej w porównaniu do „Studium zatracenia" wypada powieść starszego od Reid autora, Abdi Nazemiana, którego „Dziedzictwo Chandlera" (przeł. Michał Zacharzewski) opowiada historię piątki uczniów elitarnej szkoły z internatem. Podczas zamkniętych zajęć pisarskich bohaterowie zdradzają sobie sekrety dotyczące nadużyć na kampusie, w tym przypadków przemocy seksualnej. Jeden z uczniów, Irańczyk Ramin, gej, który opuszcza rodzinny kraj ze względu na homofobię, pada ofiarą brutalnych otrzęsin. Co można zrobić dla przyszłych pokoleń, które będą uczyć się w Chandler? Jak ochronić je przed tym, co spotkało poprzednie? Aż chciałoby się postawić tezę, że nie ma porządnej powieści z gatunku *dark academia* bez wytykania palcami patologii, które trawią od środka placówki edukacyjne. Zarówno w „Studium...", jak i „Dziedzictwie..." warto docenić niezgodę na milczenie oraz otwartość w demaskowaniu tych dużo mniej *estetycznych* aspektów uczęszczania do szkół.

Marta Bijan **NOCNE GODZINY**, *Young 2023*

Weronika Łodyga **CÓRKI TAMTYCH WIEDŹM**, *Young 2023*

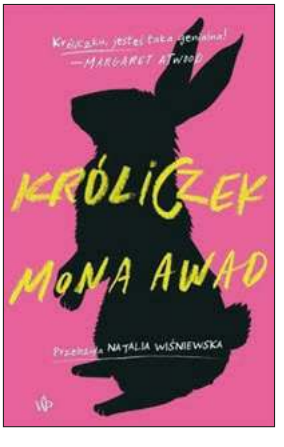

Mona Awad **KRÓLICZEK**, *przeł. Natalia Wiśniewska, Wydawnictwo Poznańskie 2023*

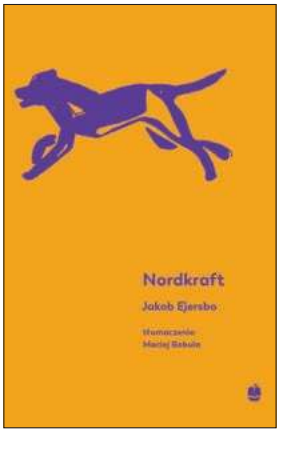

Jakob Ejersbo **NORDKRAFT**, *przeł. Maciej Bobula, Marpress 2023*

„Dziedzictwo Chandlera" jest zniuansowaną, taktownie napisaną historią z solidną queerową reprezentacją i rozwiniętym wątkiem odnalezionej rodziny, w której zawodzi przede wszystkim stanowczo zbyt wolne tempo akcji. Nazemiana polubiłam natomiast za „Like a Love Story", opowieść osadzoną w realiach lat 80. XX wieku i koncentrującą się na kryzysie AIDS w Stanach Zjednoczonych, której tłumaczenia na język polski zdecydowanie wyczekuję.

Zwracając się w stronę rodzimego rynku, warto w tym miejscu wspomnieć o „Wszystkich twoich śladach" Mai Kołodziejczyk. Autorka zabiera polskie osoby czytające do Stanów i – podobnie jak Abdi Nazemian w „Like a Love Story" – eksploruje rzeczywistość USA za czasów prezydentury Reagana. Ponownie mamy też do czynienia z historią osadzoną w gotyckich murach uczelni, w której spotykają się i buntownicy, i bogate dzieciaki (a w niektórych przypadkach buntownicy to *również* bogate dzieciaki). Kołodziejczyk naszpikowała swoją powieść kulturowymi artefaktami, które z założenia miały nas wrzucić w sam środek roku 1985. Pojawiają się więc radiowe hity tamtego okresu, filmy z epoki, kultowe samochody, nie zabrakło również wymachiwania włosami i gitarami elektrycznymi.

To krzykliwy miks, ale taki właśnie miał być, bo krzykliwość kontrastuje z uładzonym, elitarystycznym wizerunkiem uczelni, na którą uczęszczają bohaterowie „Wszystkich twoich śladów". Filmowość i hollywoodzkość, o których pisałam wcześniej, realizują się tu w pełni: dobro walczy ze złem, wolność z konwenansami, na tle tego wszystkiego

kwitnie gejowski romans, a na pocałunek czeka się – jak to w takich narracjach bywa – z utęsknieniem.

Magia, wiedźmy, króliczki

Biorąc pod uwagę rozmach kampanii marketingowej, nie można pisać o hollywoodzkości bez choćby wzmianki na temat „Nocnych godzin". Już okładka sugeruje, że mamy do czynienia z pewnym transmedialnym przesunięciem: oto młodzieżówka pomyślana jako film. „Scenariusz i reżyseria: Marta Bijan. Produkcja: Young" – projekt imitujący plakat filmowy nawiązuje do treści książki, będącej *de facto* historią trójki pogubionych, nastoletnich aktorów, których własne umysły (być może do wtóru zjawisk paranormalnych) płatają im na planie filmowym nieprzyjemnego figla.

Bijan zapewnia osobom czytającym to samo, co Kołodziejczyk: artefakty, a może – trafniej – rekwizyty. Szkocki zamek jest piękny i mroczny. Cmentarzyk nieopodal zamku jest – oczywiście – piękny i mroczny. Bohaterowie, zamknięci w zamku lub biegający po cmentarzyku, są piękni i mroczni, a w dodatku znają etykietkę „*dark academia*" i zdarza im się jej użyć. Jest to więc dosyć świadome ogrywanie gotyckiej konwencji tak, jakby konstruowało się tablicę na Pintereście.

Nieco inaczej wygląda to w przypadku „Domu sióstr marnotrawnych" Krystal Sutherland (przeł. Kaja Makowska), powieści, która również celuje w przyprawienie osób czytających o gęsią skórkę i buduje atmosferę niepokoju poprzez starannie skonstruowane opisy. Znów jest filmowo: dostajemy piękne, przerażające bohaterki, które w dzieciństwie znikają, żeby wrócić jakiś czas później całkowicie odmienione. Pojawiają się zagadki, a nawet teorie spiskowe, a na koniec opowieść o siostrach Hollow zaskakuje sensacyjnym plot twistem. W „Domu..." dostajemy jednak głęboką opowieść o siostrzeństwie, bliskości i socjalizacji dziewczynek. Pod tym względem przygody bohaterek przypominały nieco „Przekleństwa niewinności" Jeffreya Eugenidesa i było to skojarzenie, które przyjemnie prowadziło mnie przez lekturę.

Jeśli jednak jesteśmy już w temacie magii (bo ta się w „Domu sióstr marnotrawnych" pojawia – ostrzegam zwolenników realizmu), to należy wspomnieć o nowej książce Weroniki Łodygi, „Córkach tamtych wiedźm", która wyszła we wrześniu w serii Young Wydawnictwa Kobiecego (tytuł wspaniale nawiązuje do hasła „jesteśmy córkami czarownic, których nie zdołaliście spalić", dlatego ekspresowo przyciągnął moją uwagę). Osoby recenzujące piszą o powieści Łodygi, że jest lepiej skonstruowanym Harrym Potterem, i w jakimś sensie trudno się z tym nie zgodzić. Akcja rozgrywa się w polskiej szkole magii, a główna bohaterka, Julia, musi sobie radzić nie tylko z presją rówieśniczą, ale również oczekiwaniami, które ma wobec jej umiejętności rodzina. To klasyczna, napisana z humorem historia *coming-of-age*, ale z czarownicami, przez co przypomina mi trochę o „Koźlaczkach" Anety Jadowskiej.

Na koniec, nieco przewrotnie, chciałabym wspomnieć jeszcze o dwóch książkach, które niezupełnie spełniają kryteria narracji *young adult*. Pierwszą z nich jest „Króliczek" Mony Awad (przeł. Natalia Wiśniewska), niebędący książką młodzieżową, ale – jak sugerują osoby studiujące, z którymi omawiałam książkę na zajęciach – noszący wyraźne cechy „*teenage dramy*". I to z bohaterkami – czterema przeintelektualizowanymi, akademickimi girlbosskami i Samanthą, outsiderką – zachowującymi się tak, jakby dopiero zaczynały liceum.

„Bunny" po polsku to moja ulubiona premiera tego roku i sądzę, że można ją odczytywać na więcej sposobów: w kontekście kobiecych przyjaźni, życia imitującego sztukę, konieczności tworzenia w zgodzie z maksymą „*kill your darlings*". Mimo to interpretowanie króliczkowej narracji jako pokręconego horroru dla młodych dorosłych nadal jest mi bardzo bliskie.

Druga z bardzo dobrych książek to „Nordkraft" Jakoba Ejersbo (przeł. Maciej Bobula). Pojawia się w tym zestawieniu dlatego, że na jednym z portali do zamieszczania recenzji został oflagowany jako pozycja *young adult*. I może coś w tym jest, bo „Nordkraft" to opowieść o tym, jak się dorasta i jak się kocha w samym środku duńskiej sceny narkotykowej. Polecam odrobinę starszej młodzieży oraz wszystkim osobom, które chcą zacząć przygodę z literaturą z Danii. © ANOUK HERMAN

REKLAMA

słowo/obraz terytoria

mark fisher

dziwaczne i osobliwe

PREMIERA 6 grudnia

Żyd to los

MIKOŁAJ ŁOZIŃSKI:

Jest taki temat, który często wraca w zebranych tuż po wojnie świadectwach: chcesz jak najwięcej wziąć z życia, które może się w każdej chwili skończyć. Niespodziewanie odkryłem w tym część siebie.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Dlaczego nie piszesz pod nazwiskiem Stramer?

MIKOŁAJ ŁOZIŃSKI: Przez parę lat podpisywałem tak prace na studiach we Francji, z którą łączą mnie związki rodzinne. Tata urodził się tam na początku wojny, dziadek i babcia działali w ruchu oporu. Miałem prawo do obywatelstwa. I kiedy wyjechałem na studia do Paryża, złożyłem o nie papiery.

Po roku przyszedł list z informacją, że dostałem obywatelstwo i mam odebrać dokumenty we wskazanym urzędzie. Stawiam się na miejscu, pani w okienku podaje mi paszport, mówiąc: „Proszę sprawdzić, czy wszystko się zgadza". Sprawdzam: zdjęcie się zgadza, miejsce urodzenia się zgadza, data urodzenia się zgadza, imię się zgadza. Tylko nazwisko się nie zgadza: Stramer. „Proszę pani, ja się nazywam Łoziński!" – pokazuję mój polski paszport. Zaczynam jej tłumaczyć, że dziadek, polski Żyd ukrywający się w czasie okupacji, musiał zmieniać nazwiska i po wojnie już został przy Łozińskim. Kiedy po 10 minutach skończyłem moją opowieść, pani uśmiechnęła się i powiedziała: „Przykro mi, ale nic nie mogę zrobić, panie Stramer". Dwa lata zajęło mi odkręcenie tej historii.

Właśnie: po co odkręcać?

Nie chciałem być dwoma różnymi osobami. Kiedy na studiach wykładowca odczytywał listę obecności i padało: „Mikołaj Stramer", chwilę mi zajmowało, żeby się zorientować, że chodzi o mnie.

W „Stramerach", podobnie jak we wcześniejszych powieściach, wracasz do historii rodzinnej, by ją uporządkować i zrozumieć?

Te powieści są luźno inspirowane historią mojej rodziny. Wychodzę z założenia, że chciałbym pisać o rzeczach, na których trochę się znam. Pamiętam wywiad z Michaelem Haneke, wybitnym austriackim reżyserem, który powiedział, że jak przychodzi do niego student i mówi, że chce nakręcić film o Holokauście, to mu tłumaczy: „Nie dotykaj tego, bo nie masz o tym pojęcia. Lepiej zrób film o filiżance swojej babci. Będzie ciekawszy". Więc ja zajmuję się moją filiżanką. Dowiedziałem się, ile mogłem, o wojennych losach mojego dziadka i jego rodzeństwa, porządnie zdokumentowałem miejsca i czas, w którym żyli.

Uściślając: czas okupacji, którą Stramerowie próbują przetrwać w różnych częściach Polski, Europy, Azji.

Ich historia okazała się nietypowa na tle losów innych żydowskich rodzin po wrześniu 1939 r.: szóstka rodzeństwa przeżyła. Wszyscy. To chyba jedyne tak liczne żydowskie rodzeństwo, które ocalało w Polsce. Może nawet w Europie? Ten temat fascynował mnie od dziecka, wracało pytanie: dlaczego właśnie im się udało?

Wnioski?

Może odpowiedź jest w nazwisku, które znaczy krzepki, silny? Może pomogło im to, że pochodzili z ubogiego domu? Przed wojną mieszkali w Tarnowie przy Goldhammera 20 w jednym pokoju z kuchnią. W sumie ośmioro Stramerów, bo jeszcze rodzice oraz pies i kot. Od 11. roku życia pracowali, udzielali korepetycji, pieniądze oddawali mamie. Ich ojciec był niezaradny, słabo mówił po polsku, musieli być samodzielni. Od początku byli przystosowani do trudnych warunków. Wiedzieli, że mogą liczyć tylko na siebie. Przed wojną to było mało, tyle co nic. Ale już w czasie wojny dało im siłę, determinację i przekonanie, że sobie poradzą. Mieli też sporo szczęścia i niezwykłych przypadków. Z jednej strony historia tej szóstki nie dawała mi spokoju, a z drugiej – unikałem tematu. Był dla mnie niewygodny.

Ze względu na stosunki polsko-żydowskie za okupacji?

W „Stramerach" nie pokazuję stosunków między całymi narodami, tylko zawsze między konkretnymi ludźmi. Staram się nie uogólniać. Próbowałem opisać w sposób równie uczciwy i wiarygodny powojenne zaangażowanie moich żydowskich bohaterów w budowę nowego ustroju. Dwóch braci Stramerów to przecież komuniści.

To trzeba podkreślić z całą mocą: przedwojenni komuniści.

Komuniści przedwojenni i powojenni w świadomości społecznej niestety zostali zrównani. A przedwojenni to byli często idealiści, wierzący w równość i sprawiedliwość społeczną, jak Salek i Hesio, którzy w „Stramerze" trafiają za komunizm do więzienia. Komunizm był wtedy dla Żydów też sposobem na emancypację: dzięki niemu z obywateli trzeciej kategorii stawali się tacy jak wszyscy. To jest trafnie opisane w „Onych" Teresy Torańskiej, jednej z ważniejszych dla mnie lektur przy pisaniu „Stramerów".

Po 1945 r. Stramerowie zostają wrzuceni do bańki, której nie znali, ale chyba szybko uznają, że ten awans społeczny im się należy. Że los tak zdecydował w ramach rekompensaty za zaznane cierpienia. W nowym ustroju nadrabiają stracone lata. Prą do przodu, nie oglądają się za siebie.

Na socjologii uczyłem się, że od przełomowych zdarzeń często upływa 15 lat, zanim zaczyna się je badać. Dla moich bohaterów takim momentem prowokującym głębszą refleksję i rewizję komunistycznych postaw byłby zapewne najpierw rok 1956, a potem 1968. Gdybym miał kiedyś napisać trzeci tom, to tam umieściłbym ten moment zatrzymania się moich bohaterów i spojrzenia za siebie.

O przeszłości rozmawiałeś z jednym ze Stramerów, dziadkiem Romanem Korneckim, który walczył z wojnie domowej w Hiszpanii, a w PRL-u był korespondentem „Trybuny Ludu" we Francji?

Zmarł, kiedy miałem 4 lata, ale jakby wciąż był obecny, przez lata rodzice mówili: Roman powiedział to, Roman zrobił tak... Pół życia „poświęcił" idei komunistycznej, a drugie pół ją zwalczał, to u niego w mieszkaniu zbierał się w latach 80. podziemny „Tygodnik Mazowsze".

Rodzice doszukiwali się podobieństw do dziadka w moim sposobie bycia, zainteresowaniach, a nawet w ich braku.

„Zupełnie jak Roman, który nawet raz w życiu nie wbił gwoździa!" – słyszałem. Pamiętam, że dziadek dzwonił do mnie wieczorami i rozmawialiśmy o dobranockach, które on oglądał u siebie, a ja u siebie. Mam naszą wspólną czarno-białą fotografię: salon, dziadek klęczy na jednym kolanie, ja siedzę na podłodze, puszczamy resoraki.

Pogodny człowiek?

Całą szóstkę Stramerów znała moja ciotka, która jest psychoanalityczką. Powiedziała, że nie zauważyła u nikogo z nich śladów posttraumatycznych, wojna nie pokiereszowała ich psychicznie. Na tym też polegała wyjątkowość Stramerów. Wielu ludzi w tak ekstremalnych warunkach nie wytrzymywało, tak jak powieściowa Franka w okupowanej Warszawie, która mimo dobrego wyglądu, po dwóch latach ukrywania się, sama zgłasza się na gestapo. Nikt przecież wtedy nie wiedział, czy ta wojna potrwa jeszcze miesiąc, czy dziesięć lat.

A ludzie, mimo wszystko, usiłowali normalnie żyć.

Ta codzienność mnie najbardziej interesowała. Z niej chciałem zbudować wiarygodny powieściowy świat. Co się jadło i piło, jakie nosiło ubrania, o czym się rozmawiało i plotkowało. Jakie krążyły dowcipy. Niektóre nawet są mało śmieszne, za to pokazują niewiarygodne chamstwo wojennych lat. W sytuacji przeciągającego się kryzysu, kiedy zmieniają się cywilizacyjne reguły i puszczają hamulce, niektórzy szybko się demoralizowali. Nie przypadkiem po wyzwoleniu krążył dowcip: „Przed wojną mówiło się: opanuj się, bo były pany. Dlaczego więc teraz po wojnie mówi się „pohamuj się"?

Współcześni stróże moralności narzekają na młodych, że są wulgarni i chamscy, ale chyba nie zdają sobie sprawy, że dużo bardziej zepsute i przerażające było pokolenie ich dziadków oraz pradziadków. Okupacja stworzyła warunki, w których zło było premiowane. W tych warunkach świetnie odnajduje się Wacek, szesnastolatek z NSZ, dziś powiedzielibyśmy „żołnierz wyklęty" chodzący do lasu „polować na Żydków". Nawet namawia ukrywającego się na aryjskich papierach Nuska Stramera, którego nie podejrzewa o żydostwo, żeby do niego dołączył, bo to „łatwa forsa".

WERONIKA ŁAWNICZAK

MIKOŁAJ ŁOZIŃSKI (ur. 1980) jest autorem powieści wyróżnionych m.in. Nagrodą Fundacji im. Kościelskich („Reisefieber"), Paszportem „Polityki" („Książka"). Dwukrotnie nominowany do Nagrody Literackiej Nike, finalista nagrody Europy Środkowej Angelus. W roku 2019 w Wydawnictwie Literackim ukazał się „Stramer" (prawa do tłumaczenia tej powieści zostały sprzedane do 11 krajów), a w roku 2023 jego kontynuacja „Stramerowie".

Jest też postać z drugiego bieguna: babunia, opiekunka Róży, najmłodszej ze Stramerów.

Wojna to zawsze wielkie „sprawdzam". Babunia wyciąga Różę z tarnowskiego getta. Zabiera do Krakowa, ukrywa w suterenie przy Płaszowskiej. Uratowanie tego żydowskiego dziecka staje się celem jej życia, robi to nie tylko wbrew sąsiadom, ale też córkom. Babunia to tak zwana „prosta kobieta". Urodzona na wsi, po czterech klasach szkoły powszechnej pasła gęsi i usługiwała po domach. Jest po ludowemu antyklerykalna i zdroworozsądkowa. Pije wódkę, klnie i swoje wie. Mówi, że „polityka to zawsze kurwa-złodziej". Czy nie ma racji? I z tej wojny chyba też rozumie więcej niż wszyscy inni. W „Stramerach" to najbliższa mi postać.

Na ile istotna była Twoja wyobraźnia w trakcie pracy nad tą książką?

Starałem się jak najlepiej wczuć w moich bohaterów – ich emocje, spojrzenie na świat, sposoby na przetrwanie. Zrozumieć tych ludzi, lecz nie oceniać. Chodziłem po Warszawie, mijałem przechodniów i zastanawiałem się, co by było, gdyby od jednego krzywego spojrzenia zależało moje życie. Chciałem to poczuć w ciele.

I?

Całe się spina ze strachu. Ale próbujesz to ukryć. Dla świata masz być człowiekiem pewnym siebie. Jesteś czujny, przewidujesz myśli i relacje innych ludzi. Siostra mojego dziadka powiedziała coś, co mnie uderzyło: „Nie wolno tego mówić głośno w Polsce, ale my w okupowanej Warszawie bardziej baliśmy się Polaków niż Niemców. Bo lepiej nas rozpoznawali. Ale pamiętaj: nigdy nie wolno generalizować. Mnie życie w czasie okupacji uratowała warszawska kurwa". ↦

↦ Ta scena z prostytutką znalazła się w „Stramerach". A ja przy pisaniu powieści trzymałem się zasady, by nie generalizować.

Co ocaleni jeszcze opowiadali?

Wiktora Śliwowska, niedawno zmarła badaczka literatury, opowiadała, jak wyglądało jej życie na aryjskich papierach w Warszawie. Uważała, że przeżyła wojnę tylko dlatego, że była niegrzeczną dziewczynką i nie słuchała dorosłych. I potem przez całe życie radziła dzieciom, by też były niegrzeczne. Opowiadała mi o zwierzętach w powstaniu warszawskim. Że jedzono koty, psy, gołębie. I że z tego lata zapamiętała szarańczę koników polnych, które wpadały dorosłym do kubków z kawą. Jeszcze długo po wojnie wracał jej sen: w odbudowanej Warszawie jest jedno specjalne miejsce. Wchodzi się w bramę, w okienku kupuje bilet i dalej idzie się po schodach do podziemnego muzeum, w którym toczy się nienaruszone przedwojenne żydowskie życie. Dzieci biegną do chederu, w synagogach trwają modlitwy, żydowskie sklepy i restauracje są pełne. W powieści dałem ten sen Rudkowi Stramerowi.

Prawdziwa jest też scena, kiedy Natek demonstruje szefowi penisa z „aryjskim" napletkiem?

Sam bym tego nie wymyślił, nie starczyłoby mi wyobraźni. Podobnie z kolacją szabatową, do której siadają wermachtowiec, Niemka z Gdańska i ukrywający się na fałszywych papierach Nusek Stramer.

Takie sceny to wyzwanie?

Raczej prezenty, które dostałem dzięki świadectwom i rodzinnym opowieściom. Tuż po wojnie ludzie opowiadali o tym, co widzieli i czego doświadczyli inaczej. Po latach często zmieniali swoją opowieść, autocenzurowali się. Rozważali, co wspominać wypada, a czego nie. Co na to ich żony, mężowie, dzieci, wnuki? A przecież Jan Kott powiedział, że powstanie warszawskie było największą rewolucją seksualną w dziejach Polski. Niektórzy we wspomnieniach wpasowywali się w narrację martyrologiczno-pomnikową.

Ponieważ historia wojenna rodzeństwa Stramerów jest wyjątkowa, ja też musiałem znaleźć mój własny sposób na jej opowiedzenie. Postanowiłem nie pisać o Żydach i Zagładzie z pozycji na klęczkach. Tematy żydowskie są bardzo

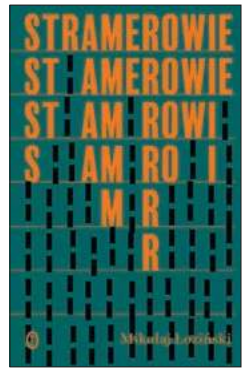

Mikołaj Łoziński **STRAMEROWIE**, *Wydawnictwo Literackie 2023*

delikatne, nikt nie wie, jak do nich podejść. To mi się kojarzy z historią o nosie: „Do mamy z córeczką przychodzi w gości pewien pan. Mała pyta: dlaczego ten pan ma wielki nos? Po wyjściu gościa mama ją karci: córeczko, nigdy więcej tak nie mów! Mija tydzień, pan znowu je odwiedza i dziewczynka mówi: mamo, ale ten pan ma mały nos! Zostają same i mama znowu zwraca jej uwagę: dziecko, tak nie wolno mówić. I kiedy po raz trzeci odwiedza je ten gość, dziewczynka mówi: mamo, dlaczego ten pan nie ma nosa?".

Twoje żydostwo?

Miałem siedem lat, wróciłem do domu i zawołałem od drzwi: „Mamo, na podwórku jest jeden Żyd!". „Mama spojrzała na mnie i powiedziała: „No chyba dwóch...". Źle to przyjąłem. Z dziećmi graliśmy w „Państwa i miasta". Rzucało się nożem i jak wbijał się w ziemię, to wygrywałeś fragment terytorium przeciwnika. Ale jeśli nóż trafił na przykład na kamień i się odbił, to przegrywałeś. A na ten kamień mówiło się „Żyd". Więc kiedy mama powiedziała mi o pochodzeniu, poczułem, że to nic dobrego. Ale potem rodzice mówili, że przecież tylu zdolnych ludzi to Żydzi. Einstein, Rubinstein, Spielberg, to fantastycznie! Pamiętam, co wtedy pomyślałem: „skoro to jest takie super, to dlaczego wcześniej się tym nie chwaliliście?".

Teraz już wiem, że większość polskich Żydów, którzy przeżyli wojnę i nie wyjechali z kraju, zerwała ze swoją tradycją, religią, językiem. Nie przekazała tego dziedzictwa swoim dzieciom, czyli pokoleniu moich rodziców, które z kolei nie przekazało nic mojemu pokoleniu. Dostajesz więc samą informację o pochodzeniu i radź sobie z nią sam.

Jak?

Tata kiedyś powiedział: „Polak czy Francuz to narodowość, a Żyd to los". Sądzę, że każdy musi sam dla siebie wymyślić, co to właściwie znaczy.

Wymyśliłeś?

To dobry dodatek do mojej polskości. A po napisaniu „Stramera" i „Stramerów" mogę coś więcej o nim powiedzieć moim synom.

Rodzina to Twój kluczowy literacki temat?

W sumie dopiero niedawno do mnie dotarło, że od 17 lat piszę powieści inspirowane historią mojej rodziny. Nie chcę psychologizować, ale może chodzi o to, że wychowałem się sam z mamą? I nie wiedziałem, jak to jest mieć dużą rodzinę, więc ją sobie wymyśliłem.

Kiedy urodziły mi się dzieci, zapytałem taty, czy ma jakieś rady wychowawcze. Powiedział: „Jak najwięcej miłości, a potem i tak się okaże, że wszystko było źle".

Eh...

Niedawno po spotkaniu autorskim podeszły trzy panie. Zapytały, czy mój dziadek naprawdę chodził do klasy z Romanem Brandstaetterem, o czym piszę w „Stramerze". Powiedziałem, że nie, że to akurat wymyśliłem. Okazało się, że Brandstaetter był ulubionym poetą ich babci, która pochodziła z okolic Tarnowa. Rozmawiamy dalej, ale czuję, że o coś więcej im chodzi. W pewnym momencie mówią: „Nasza babcia umarła po dziewięćdziesiątce, ale nigdy nie przyznała się, że jest Żydówką, że przechrzciła się przed wojną. Po jej śmierci te trzy wnuczki pojechały do Tarnowa i znalazły tam akt urodzenia babci, w którym jest nazwisko Stramer. Jej ojciec nazywał się Naftali Stramer".

Czyli rodzina Ci się powiększa?

Możliwe. Sprawdzę to.

A co w sobie ze Stramerów odkryłeś po napisaniu tych dwóch książek?

Zdałem sobie sprawę, że kiedy ukrywasz się, to jesteś bliżej swoich pierwotnych instynktów, też seksualnych. Ten temat często wraca w zebranych tuż po wojnie świadectwach. Chcesz jak najwięcej wziąć z życia, które może się w każdej chwili skończyć. I w tym właśnie niespodziewanie odkryłem część siebie.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

Najdelikatniejszy z księżyców

URSZULA HONEK

Kiedy po raz kolejny czytam wiersz Tomasza Różyckiego zatytułowany „Na jednym łóżku", słucham jednocześnie muzyki. Wybieram ulubionego Jóhanna Jóhannssona, „Flight From The City". Użytkownik portalu streamingowego zilustrował ten utwór fotografią czarnej tafli morza. Na horyzoncie, we mgle, stoi statek. Wpatruję się w fotografię i po chwili ulegam złudzeniu, że woda łagodnie się porusza. Statek jest nieruchomy. Myślę, że musiał tam być zawsze.

Tak samo jak być może zawsze istniała Kalipso, księżyc Saturna, która wraz ze swoimi siostrami – Tetydą i Telesto – dzieli tę samą orbitę. Kalipso jest jednym z najmniejszych księżyców w Układzie Słonecznym i podąża po orbicie za swoimi siostrami. Udało się ją sfotografować zaledwie dwa razy. Na fotografii z 1981 r. widzimy tylko jej kształt, obraz jest rozmazany, na wykonanej zaś w 2010 r. przez sondę Cassini można ją podziwiać z najbliższej, jak dotąd, odległości. W czarnej kosmicznej przestrzeni wydaje się świecić. Ma niespodziewanie gładką powierzchnię, delikatniejszą niż inne księżyce, i przypomina mi masę perłową. Osiadają na niej cząstki lodu, dzięki czemu ma wysoki współczynnik albedo – odbija promienie słoneczne, które do niej docierają.

Być może jak mityczna Kalipso, która, jak sobie wyobrażam, stała na wyspie, tuż przy brzegu morza, w oczekiwaniu na miłość, której nie mogła przyjąć. Jedna z wersji mitu głosi, że na wyspę Ogygia, gdzie więziono Kalipso, mogli dotrzeć tylko mężczyźni, w których się zakocha i którzy ją porzucą.

Wiersz „Na jednym łóżku" Tomasza Różyckiego uruchamia we mnie właśnie te obrazy: samotnie krążącą Kalipso w niepojętym kosmosie, Kalipso patrzącą w bezkres wody i szepcącą: „wątpiąc w zdolności poznawcze zmysłów, / co rusz weryfikuję rzeczywistość / w morzu, jedynym dostępnym zwierciadle", a także statek, który zatrzymał się w bezruchu, i trwa. ©

TOMASZ RÓŻYCKI

Na jednym łóżku

Na całej wyspie nie ma już nikogo
oprócz ciebie, Kalipso. Kiedyś w sierpniu
przypływał tu polować na śmiertelnych
wynajętą łodzią jeden z tych bogów,

których imienia lepiej nie wspominać.
To było kiedyś. Jedyną boginią
teraz jesteś ty, dziewczyno, jedynym
teraz jestem ja widzialnym przyjezdnym

i wątpiąc w zdolności poznawcze zmysłów,
co rusz weryfikuję rzeczywistość
w morzu, jedynym dostępnym zwierciadle
położonym u stóp naszej sypialni,

i widzę czas, w który się obracają
na jednym łóżku dwa płonące ciała.

GRZEGORZ MEHRING / MATERIAŁY PRASOWE

TOMASZ RÓŻYCKI jest poetą, eseistą, tłumaczem z języka francuskiego. Wielokrotnie nominowany i nagradzany za swoją twórczość. Właśnie został zwycięzcą XI edycji Nagrody Poetyckiej im. Wisławy Szymborskiej za książkę „Ręka pszczelarza" (Znak 2022). W tym roku ukazała się jego powieść „Złodzieje żarówek" (Czarne).

KULTURA

SCHODZĘ Z ULICY URWAŃSKIEJ

WOJCIECH BONOWICZ, POETA I SPOŁECZNIK:

Próby ujmowania niedoskonałego życia w doskonałych zdaniach mnie nie interesują. Życie jest dynamiczne, indywidualne. I język musi tę jego indywidualność, różnorodność wyrażać.

ANNA GOC: Skąd jasność w Wojciechu Bonowiczu?

WOJCIECH BONOWICZ: Jasność? We mnie? Może dlatego, że jako dziecko byłem kochany. Po miłości zawsze zostaje jasny ślad.

W dzieciństwie dużą część wakacji spędzaliśmy na wsi, u dziadków. Doświadczyłem tam miłości, o której można powiedzieć, że była bezwarunkowa. Dziadkowie, babcie czasem próbują kupić miłość wnuków. Ale moi nie musieli. Babcie głównie karmiły. Krowy, kury, króliki, rodzinę, która wracała z pola, i nas – dzieci. Właściwie na nic więcej nie miały czasu. Ale też nic więcej nie musiały dla nas robić. Ich miłość wyrażała się pracą. Owszem, czasem też czułością, pogłaskaniem, spojrzeniem. Dziadkowie z kolei pokazywali, jak co robić. Albo opowiadali. Na wsi wieczorami dużo się wtedy opowiadało. Telewizora u dziadków nie było.

Zaznałem tam czegoś... Nie wiem, jakie słowa oddałyby to najlepiej? Mówimy czasami o zakorzenieniu w czymś, co jest podstawową materią życia. Trzeba napalić w piecu, przynieść wody ze studni, naciąć pokrzyw dla świń. Dopiero po pracy siada się przy wspólnym stole. Jedzenie wtedy inaczej smakuje.

W tamtym życiu było coś niesamowicie pięknego, czego nie da się już chyba odtworzyć.

Pierwotność?

Tischner powiedziałby, że była w tym jakaś wielka prawda. Przez lata denerwowało mnie to sformułowanie, ale teraz lepiej je rozumiem. W moich dziadkach i babciach nie było żadnego kłamstwa czy udawania. Z nikim nie rywalizowali, nie musieli też niczego nikomu udowadniać – co jest przekleństwem życia w mieście. Rytm ich życia wyznaczały pogoda i zwierzęta, które dawały znać, jeśli nie dostały tego, czego potrzebowały, w odpowiednim czasie. Każde stworzenie, od pszczoły do krowy, było szanowane.

Po wakacjach wracaliśmy do miasta wypełnieni zapachami lasu, pola, stodoły. Smakami tego, co się przyniosło z sadu, świeżej wody ze studni, miodu zlizywanego prosto z plastra. Także kurzem i brudem, bo to było życie pracowite i w sumie biedne. Ale nie mitologizuję, kiedy mówię, że żyłem w raju.

Niespieszne to obrazy.

I tak już w moim życiu zostało. Jeśliby się tak przyjrzeć osobom, które dziś są dla mnie ważne, to łączy je niespieszność. Bo ani o Krystynie Miłobędzkiej, ani o Wiesławie Myśliwskim, ani o Michale Hellerze nie mógłbym powiedzieć, że to osoby, które się w życiu spieszą.

Jakiś czas temu odwiedziłem z przyjacielem Krystynę Miłobędzką. Leżała w łóżku, kilka dni wcześniej przewróciła się w swoim pokoju. Zaproponowaliśmy, że poczytamy jej wiersze Leśmiana. Miała na karteczce spisane tytuły tych, które najbardziej lubi. Charakterystyczne, że wybierała takie, w których pojawiały się drzewa, rośliny. Czytaliśmy, a ona się uśmiechała, czasem skomentowała coś jednym zdaniem. Była to jedna z najpiękniejszych rozmów, jakie w życiu odbyłem.

JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Wojciech Bonowicz, Kraków, marzec 2021 r.

„Jak nie wiesz, co robić, to se siednij", mówią na Podhalu. Nie biegaj za byle czym, usiądź. Naturalnie nie chodzi o samo fizyczne siedzenie, tylko o zatrzymanie myśli.

Co jest istotą tego zatrzymania?

Stosunek do upływającego czasu. Chodzi o to, by ten upływ nie przejął nad nami władzy, nie sprawiał, że wpadniemy w panikę.

Jednym z moich ulubionych poetów jest Charles Reznikoff, którego u nas przekłada Piotr Sommer. Bohater Reznikoffa właściwie bez przerwy się kręci: chodzi po Nowym Jorku o różnych porach dnia, obserwuje, nasłuchuje. Ale można powiedzieć, że chodząc – siedzi. Nie ma w nim pędu, rozedrgania, więc też więcej widzi i słyszy. W życiu na ogół bywa na odwrót – ludzie mogą usiąść, a mimo to dalej być w biegu. Ulica Urwańska – tak mama mojej przyjaciółki określała stan, nad którym nie da się zapanować. Ulica Urwańska to wcale nie było coś zewnętrznego, tylko jej własne mieszkanie, do którego nieustannie ktoś wpadał, dzwonił, zawracał głowę. Inni ludzie są błogosławieństwem, ale czasem trzeba umieć im powiedzieć: stop, przestańcie, dajcie mi chwilę. Nie wchodźcie mi do głowy, bo zwariuję.

Jak to robisz?

Mnie pomaga np. sztuka. Patrzę na obraz, powiedzmy, Edwarda Hoppera i nagle zostaję wyrzucony z rzeczywistości, znajduję się w zupełnie innym miejscu. Schodzę z ulicy Urwańskiej. Za chwilę tam wrócę, ale przez moment jestem gdzie indziej.

Sztuka uświadamia nam, że to, co uznajemy za rzeczywistość, jest względne, że można na to spojrzeć inaczej. Sceny na obrazach Hoppera są proste: kobieta stoi przy oknie, pali papierosa, ktoś siedzi na ganku, pochyla się w stronę psa. Jeśli uważnie im się przyjrzymy, dostrzeżemy kolejne znaczenia. ↦

↦ Zobaczymy, jak w codzienność wkracza to, co wieczne. Pisarki, pisarze też to potrafią. Na przykład Hemingway, zwłaszcza wtedy, kiedy się nie rozpędzał, nie starał się być tym wielkim Hemingwayem.

Jak w „49 opowiadaniach".

Tak. Fascynuje mnie w literaturze, a Amerykanie są w tym chyba najlepsi, że można zrobić wspaniały kadr właściwie z niczego. Siedzisz i wpatrujesz się w ten kadr – wszystko jedno, czy to jest wiersz, czy opowiadanie – i nie wiesz do końca, co myśleć, ale czujesz, że tam jest coś więcej niż tylko to, co widać. Jesteś zafascynowany tym, jak autor czy autorka na to wpadli. Jak złapali kawałek rzeczywistości i sprawili, żeby zabłysnął.

W jednym z opowiadań Elizabeth Bishop opisuje swoje dzieciństwo, bardzo trudne, bo z powodu choroby matki była przerzucana z domu jednych krewnych do drugich. Którejś nocy staje pod oknem, przez które do pokoju wpada światło, rozpraszane przez lód, który zamarzł na drzewach i przewodach. Jest tym światłem poruszona, ale żeby zobaczyć więcej, prosi dziadka, żeby ją podniósł, a potem razem z nią zmrużył oczy. „I zrobił to" – tak kończy się ta scena. Wielkość amerykańskich pisarek i pisarzy na ogół polega właśnie na tym, że wiedzą, kiedy przerwać, nie dodać tego jednego zdania za dużo.

Gdy wspomniałeś o wieczności, pomyślałam o tekstach Wiesława Juszczaka.

Ci wielcy tak pisali, prawda? Tak, żebyś nagle mógł poczuć oddech wieczności – w zwyczajności. Żeby dana scena rozgrywała się „teraz" i równocześnie „zawsze". Wielkim odkryciem były dla mnie opowiadania Lucii Berlin. W jej prozie jest sporo takiego przeżywania rzeczywistości, które pamiętam z dzieciństwa na wsi. Cały czas rozmaitymi zmysłami coś jest chwytane. Ona zawsze wie, który zmysł w danym momencie jest najważniejszy. Życie Berlin było dzikie, spontaniczne, nie potrafiła nad nim zapanować. Wiele razy szła tam, gdzie prowadziło ją pożądanie, a nie rozsądek. Ale w literaturze, którą stworzyła, nawet to zagubienie jest piękne.

Oczywiście, istotne jest, jakim językiem jest to zrobione. Próby ujmowania niedoskonałego życia w doskonałych zdaniach mnie nie interesują. Życie jest dynamiczne, a przede wszystkim indywidualne. I język musi tę jego indywidualność, różnorodność wyrażać. Jeśli ktoś zaczyna mówić do mnie kalkami, przestaję słuchać. To zresztą łączy się z jeszcze jednym tematem, który mnie bardzo zajmuje: czy możemy przejść do takiego świata, w którym będziemy myśleć bardzo indywidualistycznie i równocześnie tworzyć silne wspólnoty, dobrze współpracujące, solidarne? Myślę, że znaczna część sztuki, w tym literatura, przygotowuje nas do budowy takiego świata.

Gotowy wiersz jest czymś odrębnym, już nie moim.

W pewnym momencie przestaję nad nim panować, nie mogę nawet powiedzieć, że to moja zasługa, iż powstał.

Literatura powinna przynosić ulgę?

Bardzo lubię porównanie, którego użył kiedyś Franz Kafka: że literatura powinna być jak uderzenie siekiery w lód. Chodzi o to, żeby przebić się przez tę zmarzlinę w człowieku. Ale można też zapytać, czy słońce nie poradziłoby sobie z roztopieniem tego lodu szybciej?

Zapytałam Cię o jasność, bo kiedy czytam Twoje wiersze, mam wrażenie, że jasność zagląda w ciemność. I ta ciemność też mnie ciekawi.

Nie wiem, czy zagląda. Może ona się tam rodzi? Jest ciemno, więc ktoś musi zapalić światło. Oddałem teraz do wydawnictwa książkę, która będzie nosić tytuł „Dziennik pocieszenia". Wyjdzie w lutym. To kolejny niby-dziennik, w którym trochę piszę o tych sprawach.

Na jednym ze spotkań autorskich ktoś zapytał, jak to jest możliwe, że jestem takim pogodnym człowiekiem, a piszę takie smutne wiersze. Nie potrafię tego wyjaśnić. Nie wiem, gdzie są źródła tej ciemności. Zresztą nie wszystkie moje wiersze są smutne.

Zatrzymajmy się więc przy zapalaniu światła.

Mogę powiedzieć, że moi rodzice, ale też dziadkowie, nie wychowywali nas do rozpaczy. Nie wyniosłem z domu poczucia, że człowiek jest bezradny. Owszem, przychodzą kryzysy, nawet głębokie. Ale każdy człowiek zawsze może coś zrobić, żeby świat był lepszy.

Rozmawiałem niedawno z kobietą, która w pierwszych dniach po wybuchu wojny rozdawała jedzenie uchodźczyniom na granicy polsko-ukraińskiej. Codziennie patrzyła na kobiety siedzące w śniegu i próbujące ogrzać swoje dzieci. Czuła rozpacz, ale nie poddała się jej, wybrała działanie. Kiedy wydawało się, że rozpacz ją złamie, z pomocą pospieszyły jej własne dzieci. Świat można uratować tylko w ten sposób. Dlatego kiedy mówię o zatrzymaniu się, to nie mam na myśli bezczynności. Nie przyjmuję do wiadomości takiej postawy, że niezależnie od tego, co zrobimy, wszystko skończy się źle. Jak wyglądałby nasz świat, gdyby każdy z nas zaangażował się na rzecz choć jednej dobrej sprawy?

Czasami jestem nawet zły, że rodzice przekazali mi gen społecznika. Mógłbym zająć się pisaniem, a mnie ciągle nosi, żeby coś robić.

To przeszkadza w pisaniu?

Od wybuchu wojny w Ukrainie przez ponad rok nie potrafiłem napisać ani jednego wiersza. To, co się dzieje tam, ale też w innych miejscach, choćby w Białorusi czy w Afryce, o której łatwo zapominamy, sprawia, że trudno mi skupić się na pisaniu. Wojna mnie zablokowała. Ale paraliżuje mnie też to, jak łatwo godzimy się ze śmiercią ludzi w lesie, czy z tym, jak wiele osób w naszym kraju umiera, bo nie otrzymują na czas pomocy medycznej. Na badania i zabiegi czeka się latami, a władza urządza sobie pikniki z orkiestrą i kiełbaskami z grilla. No i boli mnie, że osoby z niepełnosprawnością intelektualną – a mam trochę takich przyjaciół – wciąż są traktowane jako gorsze, niezasługujące na prawdziwe uznanie i wsparcie.

„Z twarzą poszarpaną / Jakby szedł przez drzewo / Jakby spadając ustami / Czepiał się gałęzi / Mówi – Niepokój wam – / A temu który nie wierzy / Skacze do gardła" – w Twoich dawnych wierszach jest niepokój, także wojenny. Czy o ciemność, której sami nie przeżyliśmy, pyta się inaczej?

Urodziłem się w Oświęcimiu i to miejsce mocno wpłynęło na moje wyobrażenie świata. Może stamtąd ta ciemność? Byłem dzieckiem ciekawskim, wszystkim się interesującym, dość wcześnie dowiedziałem się, czym było Auschwitz: coś zobaczyłem w telewizji, coś przeczytałem, coś wyłapałem z rozmowy. Rodzice nie wtajemniczali nas specjalnie w te ciemne historie, ale też niczego przed nami nie ukrywali. Przeżyli wojnę jako dzieci, doświadczyli strachu o bliskich, głodu, wysiedlenia. Mój ojciec jako mały chłopiec został zatrzymany w lesie przez żandarma, bo próbował z bratem ściąć suche drzewko na opał. Żandarm w biały dzień prowadził go pod bronią na posterunek. Mama z lękiem wspominała, jak przez jej rodzinną wieś przechodziły obce wojska. Kiedyś z hukiem otwarły się drzwi, do środka wszedł rosyjski żołnierz, rozejrzał się po kuchni, zdjął wiszący na gwoździu zegarek i wyszedł.

Rodzice opowiadali o tym?

W naszym domu sporo mówiło się o wojnie. Może dlatego, że nie były to wspomnienia bardzo dramatyczne. Ojciec najadł się strachu, ale poważniejszych konsekwencji nie było. Z naszej najbliższej rodziny nikt nie trafił do obozu, rodziny nie zostały rozdzielone.

Strach nie musi być przekazany w opowieściach.

Ciemne przenika w człowieka różnymi drogami. Pamiętam, że we wczesnym dzieciństwie przeżyłem silny lęk o ojca. Był rok 1968, dostał powołanie do wojska, w domu mówiło się, że może zostanie wysłany do Czechosłowacji. Byłem maleńki, nie mogłem przecież tego rozumieć, ale został ślad w postaci jakiegoś podświadomego lęku.

Kiedy wprowadzono stan wojenny, mama była przerażona. Myśmy z bratem na głos komentowali to, co się działo, a ona mówiła: „Cicho, cicho". Denerwowała się, kiedy tata słuchał Wolnej Europy. Czołgi na ulicach, podobnie jak pewnie wielu innym ludziom, przypomniały jej okupację. Miałem wtedy kilkanaście lat, dobry wiek, żeby wyjść na ulice i naparzać się z milicją.

Wyszedłeś?

Ani ja, ani mój brat nie wyszliśmy. Przytrzymał mnie w domu właśnie lęk mojej mamy, z którym nie wiedziałem, co zrobić. Zobaczyłem wtedy, że jest w niej wciąż tamtwwa dziewczynka, która przed laty przestraszyła się wojny. Mimo że niczego strasznego nie doświadczyła bezpośrednio, bała się tego, co słyszała i co mogło się wydarzyć. Stan wojenny odświeżył tę traumę. Nie pamiętamy dzisiaj o tym, ale jego ślady, moim zdaniem, wciąż mają wpływ na nasze życie społeczne, na polityczne wybory, także na to, jak reagujemy na wojnę w Ukrainie.

JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

WOJCIECH BONOWICZ – poeta, publicysta, społecznik. Autor wielu tomów poetyckich i wywiadów rzek, biograf ks. Józefa Tischnera. Laureat m.in. Nagrody Literackiej Gdynia, nominowany do Nagrody im. Wisławy Szymborskiej, Nagrody Literackiej Nike.

Mówisz o spokoju, który czułeś na wsi, w domu babci i dziadka, którzy przeżyli wojnę jako dorośli. Ten spokój jest też w wierszach – dwie kobiety idą przez wieś, trzymają się pod ręce, odchodzą.

Emilia i Maria, moje babcie. Byłem z nimi bardzo związany. Dziadek Wincenty, ojciec mojej mamy, zmarł, gdy miałem siedem lat. Dziadek Józef, ze strony taty, odszedł cztery lata później. Oni akurat o wojnie mówili niewiele, byłem zresztą trochę za mały, żeby pytać. Babcie z kolei miały inne zajęcia. W tym wierszu, o którym wspominasz, obie przekraczają granice wsi, odchodzą. To moje pożegnanie z nimi. I ze światem, którego już nie ma.

Oczywiście, takie pożegnania same z siebie nie tworzą jeszcze literatury. Sentyment jest złym doradcą, pamięć też, zwłaszcza że – jak często przypomina Myśliwski – sama bywa zafałszowana. Literatura zaczyna się tam, gdzie człowiek znajduje formę na opowiedzenie o swoim doświadczeniu. Formę, która może nawet dla niego samego będzie zaskoczeniem. Lubię, kiedy w wierszu jest więcej i coś innego, niż się spodziewałem. Mam jakąś ogólną ideę, jakieś zdanie, zaczynam pisać – i nagle okazuje się, że to zmierza w zupełnie innym kierunku.

W wierszu „Noc" próbujesz uchwycić ten moment, kiedy wiersz staje się autonomiczny wobec autora.

Bo gotowy wiersz jest czymś odrębnym, już nie moim. W pewnym momencie przestaję nad nim panować, nie mogę nawet powiedzieć, że to moja zasługa, iż powstał. Niby redaguję zdania, ale trochę tak, jakbym poprawiał na kimś ubranie, które się przekrzywiło czy pomarszczyło.

Mam oczywiście notatki, szkice, jednak w samym procesie pisania najistotniejsze jest to, żeby puścić się każdej liny, która miałaby być zabezpieczeniem. Tylko odwaga daje wolność. Oczywiście, to, co powstanie, nie musi być jakoś rewoltujące, może być całkiem grzecznym wierszem czy opowiadaniem, ważne, żeby coś się w nim „wydarzyło". Czasem chodzi o jakiś drobiazg, przesunięcie jednego czy drugiego słowa. Czasem o obraz, który okazuje się sugestywny i niejednoznaczny. Zmagając się z językiem, podejmujemy ryzyko, że to, co napiszemy, nie będzie nic warte. Ale samo podjęcie ryzyka jest czymś niesłychanie wyzwalającym.

„Znalazłem wiersz / Sprzed dwudziestu lat / Czy na pewno mój? / Chciałbym / Lecz ten kto go napisał / Od dawna milczy".

Bardzo bym nie chciał stracić w życiu jednej rzeczy – dystansu do siebie. Nawet gdybym przestał pisać wiersze, chyba bym aż tak nie żałował, jak wtedy, kiedy straciłbym poczucie humoru. Umieć śmiać się z własnych błędów to dla mnie jeden z warunków udanego życia. Jak mi ktoś zwraca uwagę, że to czy tamto mógłbym zrobić lepiej – a ludzie, jak wiadomo, bardzo lubią to robić – chętnie przywołuję anegdotę, której bohaterem jest Artur Rubinstein. Kiedyś jeden z dziennikarzy muzycznych zagadnął go: „Panie Rubinstein, pan się przecież ciągle myli". I padła genialna odpowiedź: „No tak, mylę się. Ale poza tym dobrze gram".

©℗ Rozmawiała ANNA GOC

MATERIAŁY PRASOWE

Bella Ramsey i Pedro Pascal w serialu „The Last of Us", 2023 r.

Kino grywalnego niepokoju

MICHAŁ WALKIEWICZ

Udane adaptacje gier – bo i takie istnieją – są wypadkową precyzyjnej rekonstrukcji wirtualnego świata oraz próby uchwycenia niewidzialnego „ducha" oryginału.

Świat się skończył, ale coś przecież trzeba robić. Na zgliszczach cywilizacji, w opuszczonym centrum handlowym, dwie dziewczyny stoją przy nieczynnym automacie do gier. Jedna marszczy czoło w skupieniu i stuka w przyciski – kamera spogląda na nią z wnętrza maszyny.

Druga jest poza kadrem i językiem literackiej pulpy rozpala wyobraźnię swojej koleżanki („Wcielasz się w niepowstrzymaną i zabójczo piękną nożowniczkę, Angel Knives. Twój przeciwnik to umięśniony, czteroręki Czarny Kieł..."). Tłumaczy jej, jak powinna wyglądać i brzmieć gra, której nie widać. Nam zaś – jak w nią grać. Wcielając się w jedną dziewczynę i słuchając wskazówek drugiej, odtwarzamy rytuał z własnego dzieciństwa.

Kombinacje przycisków znamy na pamięć. Uczyliśmy się ich godzinami w osiedlowych salonach gier.

Zagraj w to jeszcze raz

W grze „The Last of Us" powyższa scena jest precyzyjną ilustracją syntetycznego języka gier wideo. Kino, literatura oraz media interaktywne pracują wspólnie, by uruchomić naszą pamięć – zarówno nostalgiczną, jak i mięśniową.

W wyprodukowanym przez HBO serialu na motywach gry scena powraca. Dziewczyny wchodzą do salonu, wrzucają monetę, automat ożywa (skąd w tych ruinach prąd?). Plan amerykański, rozmowa o niczym, żadnych narracyjnych szaleństw.

Zestawienie obydwu scen uświadamia, jak trudne w przekładzie mogą być gry wideo i jak skomplikowana relacja łączy je z kinem. Warto zainteresować się nią teraz, gdyż wkrótce będzie relacją kluczową dla całej popkultury. Mimo tradycji pełnej artystycznych i kasowych porażek adaptacje gier wideo to w Fabryce Snów następny towar na taśmociągu.

Nikt nie da nam tyle, ile Hollywood obieca. Choć wydawnicze plany gigantów branży formatu Disneya oraz War-

ner Bros. rozpisane są na kolejną dekadę, już teraz wiadomo, że większość z nich pozostanie mrzonką. Rozdęte ponad miarę budżety, wysycenie rynku produkowanymi maszynowo serialami, nadmierna eksploatacja zespołów postprodukcji, przedkładanie kodeksu *woke culture* nad jakość scenariuszów – klapa goni klapę, a reprezentowane przez wielkie komiksowo-filmowe marki kino popularne jest dziś nie tyle w odwrocie, co w stanie całkowitej erozji. Nic więc dziwnego, że pieniędzy szuka się tam, gdzie są one owocem zupełnie innej strategii wydawniczej.

Gry wideo pozostają bodaj jedynym poletkiem rynku, na którym ograniczenia wiekowe mogą być marketingowym wabikiem, a wysokobudżetowe produkcje dla masowego odbiorcy – forpocztą awangardy.

Poligon technologii

W 2022 r. wpływy z przemysłu gier wideo wyniosły niemal 350 mld dolarów (liczba ta uwzględnia produkcje na urządzenia mobilne oraz platformy społecznościowe). To o 291 mln więcej niż połączony dochód branży filmowej oraz muzycznej (jeśli ktoś myśli, że wciąż tkwimy w pandemicznym impasie, spieszę donieść, że taki układ sił został scementowany przeszło dwie dekady temu). Z ekonomicznego punktu widzenia mariaż kina i gier staje się więc tym bardziej oczywisty, im agresywniejsza jest ekspansja cyfrowego medium w głównym obiegu kultury. Uwzględniając wyrównane proporcje płci wśród grających oraz infantylizującą wszystkie zainteresowane media narrację o grze wideo jako nowej „książce na wieczór" albo „filmie na randkę", nie dziwi, że w Fabryce Snów wrzucono szósty bieg.

„The Last of Us" to obok „Sukcesji" główny faworyt do tegorocznych nagród Emmy. Średnia oglądalność serialu wyniosła 30 mln widzów na odcinek. „Super Mario Bros." zarobiło w kinowych kasach 1,4 mld dolarów przy budżecie dwukrotnie niższym niż większość produkcji Disneya. „Gran Turismo" połączyło ekranizację gry z wysokobudżetową korporacyjną reklamą, symbolicznie zapowiadając nadchodzące trendy. Rezonans na rynku jest oczywisty, a pamiętajmy, że to tylko wierzchołek góry lodowej. W 2023 r. przeniesiono na mały i duży ekran aż siedem gier. W nadchodzącym roku liczba ta zostanie potrojona.

Jeśli chodzi o jakość samych produkcji, sprawa jest bardziej skomplikowana. Mówiąc delikatnie, tradycja ekranizacji gier to nie włoski neorealizm. Choć sięga początków lat 90. (rozpoczyna ją „Super Mario Bros." w reżyserii Annabel Jankel i Rocky'ego Mortona), udane filmy wciąż można policzyć na palcach jednej ręki. Przez lata nie pomagały im ani popularne gry (uchodząca za scenariopisarski gotowiec seria „Uncharted" to na ekranie policzek wymierzony entuzjastom Kina Nowej Przygody), ani imponujące budżety, ani nawet nazwiska reżyserów. Na tarczy z tej bitwy wracali m.in. autor świetnego „Makbeta" Justin Kurzel, brytyjski weteran Mike Newell („Cztery wesela i pogrzeb", „Harry Potter i Czara Ognia"), czy twórca „Speed: Niebezpiecznej prędkości" Jan de Bont.

W najlepszym wypadku adaptacje gier wideo były poligonem dla nowych technologii – wspomniane „Super Mario Bros." stanowiło w 1993 r. składzik z narzędziami do animacji komputerowej. W najgorszym zaś okazywały się pośmiewiskiem wśród entuzjastów elektronicznej rozrywki oraz rosnącej grupy neofitów. Spora w tym zasługa jednego człowieka. Reżyser Uwe Boll przez całe lata wykorzystywał luki w niemieckim prawie podatkowym, by skupować licencje i za astronomiczne pieniądze hurtowo kręcić adaptacje gier. Niemal wszystkie – „Postal", „BloodRayne", „Alone in the Dark", „W imię króla" – były komicznie złe. Sale kinowe świeciły pustkami, krytycy smagali bacikiem sarkazmu. Nie było jednak takiego muru, którego Boll nie był w stanie sforsować głową. Filmy zaczął kręcić z myślą o segmencie kina domowego, a krytyków stłukł na kwaśne jabłko. To nie metafora. W trakcie najdziwniejszego performansu w dziejach kina wymierzył im sprawiedliwość na prawdziwym ringu.

Sztuka przekładu

W posiadłości producenta filmowego Marka Bishopa stoi model babilońskiego dziedzińca – miniaturowa wersja dekoracji z „Nietolerancji" Davida Warka Griffitha. Znajdziemy go w grze „L.A. Noire", będącej gatunkowym destylatem czarnego kryminału. Makieta makiety – celna metafora kina jako jednej z „kieszonkowych" rzeczywistości w grach oraz symbol przenikania się obydwu światów.

Towarzyszące premierom kinowym gry na licencjach filmowych są elementem popkulturowego krajobrazu od niemal czterdziestu lat. Nikogo nie dziwi, że w „Widmie wolności", czyli fabularnym dodatku do „Cyberpunka 2077" Idris Elba gra jedną z najlepszych ról w swojej karierze, a szekspirowski weteran Patrick Stewart jest narratorem w „Castlevanii". Zaskoczeniem nie jest też medialna kariera gwiazd, które łączą obydwie galaktyki. Japończyka Hideo Kojimę złośliwi nazywają „niespełnionym reżyserem", a życzliwi – „artystą multimedialnym". W swoich produkcjach zaciera granice pomiędzy interaktywną rozrywką a filmowym doświadczeniem. To w jego „Death Stranding" francuska aktorka Lea Seydoux dzieliła czas ekranowy z cyfrowo odmłodzoną gwiazdą serialu „Bioniczna kobieta" z lat 70., Lindsay Wagner, a reżyserzy Guillermo del Toro i Nicolas Winding Refn wykładali nam ekologię teoretyczną.

W adaptacjach filmowych wszystkie te związki i namiętności mają oczywiście marginalne znaczenie. Liczy się jedynie to, czy jeden język da się przełożyć na drugi. Historia rozwoju gier wideo to w dużej mierze opowieść o ich pogoni za starszymi sztukami: literaturą, malarstwem, komiksem oraz kinem. Od zwyczajnej inspiracji fabułami oraz gatunkową ikonografią filmów, przez włączanie w obręb języka konkretnych środków stylistycznych i chwytów narracyjnych, po zaprzęgnięcie wszystkich tych elementów w służbę interaktywności. Stawką w tym pościgu była zmiana społecznego postrzegania gier wideo, wyabstrahowania ich jako tekstów kultury z kontekstu branży zabawkarsko-rozrywkowej. Chodziło o unieważnienie „transakcyjnego" modelu myślenia, wywiedzionego jeszcze z kultury salonów gier: płacę, więc wymagam; wrzucam monetę, więc oczekuję konkretnego doświadczenia. Czy kiedykolwiek odhaczaliśmy punkciki z listy potrzeb, płacąc za książkę albo bilet do kina?

W poszukiwaniu ducha

Możliwości narracyjne medium zwiększały się oczywiście wraz z rozwojem technologii. Lecz fakt, że gry zbliżyły się do granicy hiperrealizmu na odległość ↦

↦ kilku pikseli, wcale nie uczynił z nich wdzięczniejszego materiału do adaptacji. Pomijając bowiem „filmo-gry", w których udział gracza zostaje sprowadzony do prostych wyborów ścieżki oraz biernego seansu fragmentów filmowych, esencją medium pozostaje interaktywność i związana z nią swoboda prowadzenia opowieści. Problem jest fundamentalny: jaki ekwiwalent dla interaktywności, wrażeniowości gier wideo znaleźć w języku kina?

Udane adaptacje gier, bo i takie istnieją, są wypadkową precyzyjnej rekonstrukcji wirtualnego świata oraz próby uchwycenia niewidzialnego „ducha" oryginału. I tak jak nie ma wzoru na idealny materiał źródłowy („karateka idzie w prawo" to równie dobry i kiepski pomysł na film, co „dramat na szczytach władzy w dobie świetności Cesarstwa Rzymskiego"), tak i poszukiwanie tegoż „ducha" to zwykle błądzenie we mgle.

W świetnym „Ace Attorney" na kanwie tekstowych gier przygodowych o nieustraszonym prawniku reżyser Takashi Miike postawił na konwencję aktorskiego anime. Filtrując całość przez pośredniczące medium, perfekcyjnie oddał dynamikę sądowych pojedynków, które toczyliśmy w wirtualnym świecie. W horrorze „Silent Hill" Christophe Gans poszedł jeszcze dalej – filmowym ekwiwalentem architektury rodem z koszmaru oraz uczucia zagubienia, które udzielało się graczowi, uczynił dezorientujący montaż.

Z kolei twórcy fantastycznego serialu „Arcane" na podstawie gry „League of Legends" rozbudowali ledwie naszkicowane relacje między bohaterami do rozmiarów polifonicznego dramatu. Czasem – jak w przypadku udanego „Wilkołaki są wśród nas" Josha Rubena – wystarczy bezbłędne rozpoznanie konwencji. Kiedy indziej – to kazus serialu „Filuś i Kubuś" (czyli „The Cuphead Show!") – zadziała łańcuszek estetycznych inspiracji: dobra gra na podstawie kultowych kreskówek braci Fleischer to w zasadzie gwarancja dobrego serialu. Dużo alchemii, niewiele wyrytych w kamieniu zasad. Ale się da!

Wszystko w swoim czasie

Sposób opowiadania w grach wideo może przypominać narrację filmową, lecz zazwyczaj to iluzja. Jak w „The Last of Us", gdzie ulepiona z zer i jedynek opowieść o desperackiej walce o życie jedynie markuje klasyczną filmową strukturę. Pod spodem kryje się bowiem historia o znoju podróży, rozpisana na sporadyczne rozmowy o niebie i chlebie; zamieniająca nudę w szlachetne narracyjne tworzywo, operująca ciszą przez długie godziny pomiędzy fabularnymi tąpnięciami. Mówiąc krótko – niemożliwa do przełożenia na ekran, nawet w dziewięcioodcinkowym serialu.

> Jeśli adaptacje gier coraz rzadziej przypominają produkty filmopodobne, **jest to głównie zasługą pokoleniowej zmiany.** Generacja reżyserów, którzy wyrośli na grach wideo, rozdaje karty w Hollywood.

Właśnie z tego powodu produkcja Craiga Mazina („Czarnobyl") to kawał doskonałej telewizji, ale nie najlepsza adaptacja. Odpowiedź na pytanie, czy dobra ekranizacja gry powinna być wierna, nie jest tak łatwa, jak w przypadku literatury. Widzieliśmy wystarczająco dużo sfilmowanych książek, by wiedzieć, że „twórcza zdrada" przynosi zazwyczaj satysfakcjonujące rezultaty. Wierność nastrojowi oryginalnej opowieści w przypadku gier tożsama jest jednak z odtworzeniem nastroju i tempa samej rozgrywki. A to już trudniejsze zadanie. W kinie to reżyser, scenarzysta i operator zarządzają naszą uwagą. Akcentują to, co istotne, resztę wypychają poza kadr. W grach tymczasem mamy pełną swobodę percepcji i sami decydujemy o tempie zabawy. Nawiasem mówiąc, oddala to gry od kina i zbliża je do komiksu, w którym czas na kontemplację każdego kadru i dymku jest nieograniczony.

Jeśli adaptacje gier wideo coraz rzadziej przypominają produkty filmopodobne, jest to przede wszystkim zasługą pokoleniowej zmiany. Generacja reżyserów urodzonych w latach 80. i 90., którzy wyrośli na grach wideo, rozdaje karty w Hollywood. Ich filmowe CV staje się mniej istotne niż szczególny rodzaj wrażliwości, sygnalizowany często w nowych mediach. Australijczycy, bracia Danny i Michael Philippou (rocznik 1992), odnieśli sukces za sprawą niskobudżetowego horroru „Mów do mnie!", który wziął szturmem kina i stał się wydarzeniem w mediach społecznościowych.

Teraz przygotowują się do realizacji „Street Fightera" na podstawie popularnej serii gier. Wystarczy rzut oka na prowadzony przez nich na YouTubie kanał RackaRacka, by wiedzieć, że mają papiery na tę robotę: naładowanym dziką kinetyczną energią i zrealizowanym w zgodzie z prawidłami filmowego rzemiosła winietkom bliżej bowiem do elektronicznej rozrywki niż do kina. Emma Tammi (rocznik '95) podpisała adaptację kultowego cyklu opowieści z dreszczykiem „Pięć koszmarnych nocy". Z kolei Simon McQuoid (rocznik '94) przygotowuje *sequel* kolejnej filmowej adaptacji „Mortal Kombat". Choć na gali Oscarów pojawią się co najwyżej jako osoby towarzyszące, to widać w ich filmach jakiś rodzaj szacunku do materiału źródłowego. A także świadomość, że kino inspirowane grami musi być odpowiedzią na potrzeby zapalonych graczy, ale też widzów, dla których PlayStation to marka japońskich lodówek.

Przeprowadzona przez magazyn „Empire" rozmowa ze współtwórcą serialu „The Last of Us" Craigiem Mazinem odsłania jeszcze jedną interesującą perspektywę. „To nie podlega dyskusji: mówimy o najwybitniejszej historii, jaką dotąd opowiedziały gry wideo. A mówimy o medium, które często zapewnia wspaniałą rozrywkę, ale nie sprawdza się jako struktura dramatyczna" – przekonuje scenarzysta. I zupełnie nieświadomie powiela błędne założenie większości ludzi kina. Podobnie jak w przypadku najwybitniejszych filmów i książek, arcydzielność tekstu wynika z samej natury medium. „The Last of Us" jest arcydziełem nie dlatego, że oferuje filmowe panoramy i jazdy kamery, tylko właśnie dlatego, że opowiedziane jest językiem gier wideo.

Im prędzej w Hollywood zrozumieją, że ważniejsze od „uszlachetniania" młodszej sztuki jest jej zrozumienie, tym więcej będą mogli wygrać.

© MICHAŁ WALKIEWICZ

ADA I SOBIESŁAW PAWLIKOWSCY / MATERIAŁ PRASOWY

ANNA DYMNA ORAZ KONSTANTY GEBERT – OTO LAUREACI TEGOROCZNEJ NAGRODY ZNAKU I HESTII IM. KS. JÓZEFA TISCHNERA.

Na zdjęciu w towarzystwie Natalii Wiercińskiej (po lewej) oraz ks. Adama Bonieckiego i Dominiki Kozłowskiej (po prawej)

Odwaga patrzenia w twarz

W przejmującym wystąpieniu „Ludzie ludziom zgotowali ten los", wygłoszonym w 1994 r. w Państwowym Muzeum na Majdanku, ks. Tischner analizuje dwa spojrzenia na człowieka. Doświadczenie XX-wiecznych totalitaryzmów – przyznaje – skłania do pesymizmu. „Czy można wyjaśnić ogrom dokonanego zła bez założenia, że w głębi ludzkiej natury istnieje jakaś potrzeba okrucieństwa, która sprawia, że człowiek czuje zadowolenie z widoku zła?" – pyta. Nie poprzestaje jednak na tym, lecz przechodzi do perspektywy przeciwnej, zarysowanej przez wybitnego myśliciela Emmanuela Lévinasa.

„Lévinas pokazuje drogę odwrotu od totalitaryzmu: jest nią powrót do człowieka, do doświadczenia jego twarzy – tłumaczy. – Między mną a tobą pojawiło się tysiące krzywych zwierciadeł, które nie pozwalają nam widzieć bezpośrednio siebie w naszej prawdzie. Człowiek znieczulił się na doświadczenie dobra. Właściwym miejscem pojawienia się dobra nie są jednak abstrakcyjne zakazy i nakazy, lecz inny człowiek – człowiek w jego twarzy. Kto odkrywa twarz, ten przyjmuje odpowiedzialność" („Nadzieja mimo wszystko", Kraków 2020).

Myślę o powyższych słowach, mając przed oczami sylwetki dwojga niezwykłych ludzi uhonorowanych tegoroczną Nagrodą Znaku i Hestii im. ks. Józefa Tischnera. Tym, co ich łączy, jest zajęcie czytelnego stanowiska wobec zła; nie chodzi przy tym o zło abstrakcyjne, lecz konkretne, polegające na tym, że pewnej grupie ludzi nie chcemy „spojrzeć w twarz".

Wolimy nie patrzeć na niektóre twarze, bo uznajemy je za zbyt obce. Zbyt brzydkie. Zbyt niepokojące. Odwracamy wzrok, żeby nie napotkać spojrzenia innego – spojrzenia, które zobowiązuje. Pozbawiając kogoś twarzy, odmawia mu się godności, wartości, równych praw, ostatecznie – człowieczeństwa. A stąd tylko krok do tego, by odmówić mu prawa do życia.

Doskonale pokazuje ten proces Konstanty Gebert w książce „Ostateczne rozwiązania. Ludobójcy i ich dzieło", nagrodzonej w kategorii I: za pisarstwo stanowiące kontynuację „myślenia według wartości". Autor nie tylko opisuje liczne przypadki zbrodni ludobójstwa, ale wnikliwie analizuje mechanizm dzielenia ludzi na „swoich" i „obcych", „lepszych" i „gorszych", który do tych zbrodni prowadzi.

– Przypominamy sobie słowa Mariana Turskiego, że Auschwitz nie spadło z nieba – mówi Henryk Woźniakowski, członek Kapituły Nagrody. – Najpierw jest segregacja, odróżnienie, napiętnowanie, odczłowieczenie, i potem przychodzi katastrofa.

Jak czytamy w uzasadnieniu, nagrodzona książka „przywraca ofiarom ich twarze i mobilizuje, by przeciwdziałać próbom odczłowieczania całych grup społecznych". Gebert patrzy na zło – po to, żeby było nazwane, nieprzemilczane, ale przede wszystkim po to, żeby przestrzec, zawołać: uważajcie, bądźcie czujni.

Nagrodzona w kategorii II: za inicjatywy duszpasterskie i/lub społeczne, Anna Dymna wobec takiego zła przybiera postawę aktywną; cierpliwie, konsekwentnie próbuje je pokonywać konkretnym codziennym wdobrem. Działania podejmowane w ramach założonej 20 lat temu Fundacji Anny Dymnej „Mimo Wszystko" na różne sposoby wspierają osoby z niepełnosprawnościami, przede wszystkim z niepełnosprawnością intelektualną.

– Dymna daje coś więcej niż bezpośrednią pomoc: ona zmienia obraz tych osób w społeczeństwie, sposób, w jaki na nie patrzymy – podkreśla Wojciech Bonowicz, członek Kapituły.

Chciałoby się powiedzieć, że osobom wykluczonym, zmarginalizowanym, traktowanym często protekcjonalnie przywraca godność; przecież jednak one tę godność już mają, ona zaś wytrwale się o nią upomina. Przeróżne akcje Fundacji, konkurs poetycki „Słowa, dobrze, że jesteście", Ogólnopolskie Dni Integracji „Zwyciężać Mimo Wszystko", Festiwal Zaczarowanej Piosenki – wszystko to przełamuje stereotypowe spojrzenie na osoby z niepełnosprawnościami jako te, które raczej potrzebują pomocy, niż te, które same mogą coś zaoferować społeczeństwu. Dymna odsłania twarze tych osób i pokazuje ich piękno. © **Katarzyna Węglarczyk**

MATERIAŁ PARTNERA

Autoportret syreny

ANITA PIOTROWSKA

Ta opowieść o transpłciowej ośmiolatce ukazuje rozpacz dziecka, które chwilami nie wie, kim jest – albo raczej boi się być tym, kim się naprawdę czuje.

Nosi długie włosy i maluje paznokcie na turkusowo. Trzeba by go ostrzyc, bo wygląda jak dziewczynka – peroruje babcia, obawiając się komentarzy sąsiadek. Przejdzie mu to z wiekiem – uspokaja ojciec, a matka próbuje unieważnić różnicę płciową, bo sztywny podział na męskie i żeńskie wydaje się niepotrzebny na tym etapie rozwoju. I dlatego nazywa dziecko neutralnym imieniem Cocó. Tyle że Aitor wcale nie czuje się bezpłciowy – już wolałby nie mieć żadnego imienia. Ale to przecież tak, jakby nie istniał w ogóle.

Film „20 000 gatunków pszczół", opowieść o transpłciowej ośmiolatce, jest właśnie „dowodem na istnienie". Bez przesadnego dramatyzowania czy pedagogicznych tonów zarysowuje dynamiczny ekosystem rodzinny, którego centrum stanowi dziewczynka urodzona w chłopięcym ciele. Historia opowiedziana przez Estibaliz Urresolę Solaguren nie przypadkiem uwzględnia także transgraniczny charakter Kraju Basków oraz fakt, iż jego język w dużej mierze jest neutralny płciowo. Oto rzeźbiarka Ane (Patricia López Arnaiz), na co dzień mieszkająca we francuskiej Bajonnie, przyjeżdża z trójką dzieci do rodzinnego miasteczka w hiszpańskiej części regionu. Za chwilę mają się tam odbyć chrzciny siostrzeńca, poza tym bohaterka, aplikująca o pracę na uczelni artystycznej, chciałaby przygotować rzeźby na konkurs korzystając z pracowni należącej niegdyś do jej ojca. Ich tworzywem ma być wosk pszczeli, który pozyskuje od swej ciotki Lourdes (Ane Gabarain), zajmującej się pszczołolecznictwem. Kobieta funkcjonuje trochę na marginesie rodziny i z tego zapewne powodu tak bardzo lgnie do niej Aitor/Cocó. Tylko ona potrafi dostrzec w dziecku Lucíę – takie imię wybrała dla siebie mała bohaterka.

Z początku dostajemy intymne i dość klasyczne studium dysforii płciowej. Wielkooka dziewczynka woli bawić się babcinymi fatałaszkami niż pójść z rodzeństwem na basen. Nie lubi swojego ciała, krępuje ją korzystanie z chłopięcej przebieralni, wybiera towarzystwo innych dziewczynek. I na pozór nie doświadcza przemocy. Matka kocha ją bezwarunkowo i czule, babcia przekonuje, że „Bóg stworzył nas doskonałymi", a nowo poznana koleżanka traktuje po dziewczyńsku. Lucía odczuwa jednak na każdym kroku swoją niespójność i nie chce pozostać mniej lub bardziej akceptowanym domowym dziwadłem. Hiszpańska reżyserka pokazuje nadwrażliwość i zarazem narastający bunt bohaterki, która na zewnątrz musi przez cały czas odgrywać rolę brata, syna, wnuka. A potem moczy się w nocy i kiedy dostaje zadanie, by wykonać swój trójwymiarowy autoportret, lepi z miękkiego wosku figurkę syreny.

Scenariusz autorstwa Solaguren subtelnymi środkami zarysowuje okoliczności, w jakich dorasta transdziewczynka. Mimo że nikt tu nie próbuje naprawiać jej na siłę, raz po raz ujawnia się różnie motywowana hipokryzja lub po prostu brak odpowiednich narzędzi, by umożliwić dziecku bezpieczne wyjście z szafy. Jedynie wspomniana pszczelarka, rodzaj współczesnej wiedźmy, widzi w Lucíi bezdyskusyjnie piękną istotę. Właśnie takie spojrzenie przejmuje twórczyni filmu, czego wyrazem narzucająca się (trochę nawet za bardzo) pszczela metafora: natura, również ludzka, bywa wielce zróżnicowana i każdy, bez względu na „gatunek", powinien znaleźć swoje miejsce w człowieczym roju.

Unikając emocjonalnego dociskania, „20 000 gatunków pszczół" ukazuje rozpacz dziecka, które chwilami nie wie, kim jest, albo raczej boi się być tym, kim się naprawdę czuje. Czyżby coś poszło nie tak jeszcze u mamy w brzuchu? Film Solaguren polemizuje z owym „nie tak", lecz równocześnie pozostaje wyrozumiały wobec najbliższego otoczenia Lucíi. Nie podkreśla pokoleniowo-obyczajowych różnic – co prawda religijność, żarliwa w przypadku babci, wśród młodych ma już charakter bardziej obrzędowy, ale i tak najbardziej otwarta okazuje się osoba wcale nie młoda. Od miejscowego księdza zaś ciekawska dziewczynka

RADIO KRAKÓW
Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl

MATERIAŁY PRASOWE GUTEK FILM

20 000 GATUNKÓW PSZCZÓŁ *(„20.000 especies de abejas”) – reż. Estibaliz Urresola Solaguren. Prod. Hiszpania 2023. Dystryb. Gutek Film. W kinach od 8 grudnia.*

Estibaliz Urresola Solaguren pochodzi z małej miejscowości w Kraju Basków i do niedawna znana była z filmów krótkich czy dokumentalnych. „20 000 gatunków pszczół”, jej pełnometrażowy debiut fabularny, było pokazywane w konkursie Berlinale, a grająca główną rolę Sofía Otero otrzymała Srebrnego Niedźwiedzia jako najmłodsza w historii festiwalu laureatka tej nagrody.

Na zdjęciu: Sofía Otero jako Lucía w filmie „20 000 gatunków pszczół”.

otrzyma najbardziej dla niej adekwatną definicję wiary: oznacza „bycie przekonanym – czasem wbrew temu, co widać”.

Nie popadając w fabularną czy psychologiczną łatwiznę film sugeruje także, iż pełna akceptacja Lucíi może sprawić, że cała rodzina, żyjąca od lat pośród kłamstw i przemilczeń, wreszcie stanie w prawdzie. A prawdę w wymiarze filmowym zawdzięcza ta historia z pewnością Sofíi Otero (rocznik 2013), która jako Lucía/Aitor/Cocó dołącza do grona aktorek dziecięcych na miarę Any Torrent z „Nakarmić kruki” Carlosa Saury i „Ducha roju” Víctora Erice, równie mocno zanurzonego w pszczelej symbolice. Podobnie jak u katalońskiej reżyserki Carli Simón („Lato 1993”, „Alcarràs”) widać też bardziej instynktowne podejście do dziecięcego aktorstwa. Otero zdaje się doskonale wyczuwać biologiczno-genderową dwoistość swej bohaterki, a podczas pracy nad tą rolą reżyserka i mała aktorka mogły liczyć na wsparcie ze strony lokalnego stowarzyszenia rodzin wychowujących dzieci transpłciowe. Sprawia to, że ów film, pachnący ziołami i miodem, dymem z podkurzaczy i kościelnych kadzideł, jest czymś więcej niż kolejną fabułą emancypacyjną. I znakomicie dopełnia takie tytuły, jak „Girl” (2018) Lukasa Dhonta czy „Chłopczyca” (2011) Céline Sciammy, dotyczące dziecięcej tożsamości płciowej.

W pewnym momencie pada z ekranu ignoranckie stwierdzenie, jakoby zniewieścienie Aitora wynikało z faktu, iż wychowuje się w otoczeniu kobiet. Fakt – jest typem maminsynka, jego ojciec, chociaż troszczy się i kocha, wydaje się słabo obecny, a dziadek nie żyje. Solaguren podpowiada jednak, że mogło być dokładnie na odwrót: Lucía, nie utożsamiając się z tradycyjnie męskimi rolami, w naturalny sposób garnie się tam, gdzie wyczuwa pokrewne dusze. Przy okazji film podejmuje też dyskusję z jedynym słusznym modelem kobiecości, czego przykładem są Ane, jej matka i ciotka Lourdes, zupełnie inaczej spełniające się w życiowym ulu. Kiedy w jednej ze scen pszczelarka uczy dziewczynkę oswajania owadów, film okazuje się być o czymś jeszcze innym – o ujarzmianiu własnego strachu i o nadziei na ponowne narodziny. Mówi to wszystko na spokojnie, wręcz ściszonym głosem. Na dwie godziny pozwala wejść w skórę kogoś, kto bezskutecznie próbuje się z niej wyzwolić, i w skórę tych, którzy towarzyszą mu w tej codziennej szarpaninie. ©

Lektor:
Pakiet przetrwania

▪ *Tiya Miles*
WSZYSTKIE RZECZY NA DROGĘ. DZIEJE WORKA ASHLEY, DZIEDZICTWA JEJ CZARNYCH POTOMKIŃ
Przełożyła Teresa Tyszowiecka blasK!, Wydawnictwo Dowody, Warszawa 2023, ss. 422

Zniszczony, ale starannie połatany worek ze zgrzebnego płótna, na nim wyhaftowany bawełnianą nicią napis: „Moja prababka Rose / matka Ashley dała jej ten worek kiedy / ją sprzedano jak miała 9 lat w Karolinie Południowej / w środku była znoszona sukienka 3 garście / orzechów pekan warkocz z włosów Rose. Powiedziała jej / Moja Miłość jest w nim na zawsze / więcej się nie spotkały / Ashley to moja babcia”. I podpis: „Ruth Middleton 1921”.

Ten niepozorny przedmiot z gabloty w Narodowym Muzeum Historii i Kultury Afroamerykańskiej w Waszyngtonie staje się punktem wyjścia opowieści rozpisanej na 350 stron z obszernymi komentarzami. Historyczno-antropologicznej pracy, która jest zarazem osobistym wyznaniem, bo autorka identyfikuje się ze swoimi bohaterkami, wracając też do dziejów własnej rodziny. Swoimi nadzwyczaj szczegółowymi poszukiwaniami przywraca postacie Rose, Ashley i Ruth – na ile to w ogóle możliwe – społecznej pamięci; sama nazywa to „wywoływaniem duchów przeszłości”.

Historia worka zaczyna się na kilka lat przed wojną secesyjną, gdy umiera pewien karoliński plantator, a jego niewolnicy zostają sprzedani, przy czym mała Ashley zostaje na zawsze oddzielona od matki. Punktów zaczepienia tu niewiele, choć każdy zostaje starannie i drobiazgowo przeanalizowany. Dowiadujemy się, jak ważna i jak ściśle określona była kwestia stroju noszonego przez niewolników, jeden rozdział poświęcony został orzechom pekan, ich roli w życiu społeczności rdzennych i czarnych Amerykanów. W tym „pakiecie przetrwania”, jaki Rose pozostawiła córce, najważniejsza jest jednak miłość, do której prawa odmawiano ludziom traktowanym jak towar. A hafciarka i narratorka Ruth „tchnęła w kawałek płótna patos i tragizm historycznych arrasów przedstawiających czyny bogiń i królowych”.

To mocna i przerażająca chwilami książka o piekle niewolnictwa, o uprzedmiotowieniu i pozbawianiu godności czarnoskórych kobiet, o ich wyzysku, także seksualnym – i o tym, jak usiłowały się bronić. Książka wielu pytań, bowiem „wszelkie próby rekonstrukcji historii, zwłaszcza historii grup marginalizowanych, wymagają wyczulenia zarówno na to, co jest, jak i na to, czego nie ma”. ©℗

Muzeum Narodowe w Warszawie

Bruno Barbey

1/12/2023–
3/03/2024

Zawsze w ruchu
Always on the Move

FRANCJA. Paryż, maj 1968 / FRANCE, Paris, May 1968 © Bruno Barbey / Magnum Photos

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

MECENASI MUZEUM

PGE ORLEN

PARTNER STRATEGICZNY MUZEUM

PZU

PARTNERZY MUZEUM

TOTALIZATOR SPORTOWY KPMG PKP INTERCITY

WSPÓŁPRACA

AkzoNobel

PATRONI MEDIALNI

TYGODNIK POWSZECHNY FOTOGRAFIA fotopolis chillizet NATIONAL GEOGRAPHIC POLSKA

REKLAMA

Wystawa fotografii Brunona Barbeya w Muzeum Narodowym w Warszawie

Nie bał się zniekształceń, nieostrości, a nawet groteskowych ujęć. W fotografiach Barbeya jest drapieżność, obca klasycznym twórcom agencji Magnum.

PIOTR KOSIEWSKI: Skąd pomysł na wystawę Brunona Barbeya?

WERONIKA KOBYLIŃSKA: Nie jest to oczywisty wybór. Muzeum nie skupia się na fotograficznym reportażu, a Barbey nie jest znany w Polsce. Dlatego uznaliśmy, że warto zaprezentować ważnego fotografa, ale też pokazać inną twarz fotoreportażu. Zazwyczaj traktujemy go jako źródło informacji o konkretnych wydarzeniach. Na wystawie pokazujemy, że zdjęcia reportażowe mogą mieć walor estetyczny, wręcz malarski.

Barbey jako zaledwie 25-latek związał się z Magnum, najbardziej prestiżową agencją fotograficzną w świecie. Trzy lata później został jej pełnoprawnym członkiem.

Uwagę przykuły jego zdjęcia wykonane we Włoszech w pierwszej połowie lat 60. Zaskoczył jego nietypowy sposób kadrowania czarno-białych fotografii, przypominających ujęcia z filmów Vittoria De Sica, Michelangela Antonioniego czy Luchina Viscontiego. Jego zdjęcia okazały się punktem przełomowym dla reportażu. Barbey nie bał się zniekształceń, nieostrości, a nawet groteskowych ujęć. W jego fotografiach jest także pewna drapieżność, obca klasycznym twórcom Magnum, z humanistycznym podejściem do fotografowanych tematów. A jednocześnie miał umiejętność pokazywania ukrytych gdzieś pod powierzchnią zjawisk. Potem bardzo konsekwentnie kontynuował tę formułę w zdjęciach barwnych.

Wcześnie sięgnął po fotografię kolorową, co odróżnia go od większości ówczesnych członków Magnum.

To był kolejny powód, by zrobić tę wystawę. W Polsce znamy przede wszystkim klasyczny, czaro-biały fotoreportaż. Dla Barbeya kolor był bardzo ważny, a jego użycie wynikało z głębokiej analizy historii sztuki. On nie ukrywał fascynacji malarstwem. Nawet swoją żonę poznał w domu Matisse'a! Malarskie patrzenie, przewaga plamy barwnej nad linearnym myśleniem charakterystycznym dla czarno-białej fotografii sprawiły, że jego zdjęcia, niczym obrazy, wciągają. Możemy abstrahować od kontekstu, w jakim one powstały, i skupić się na tym, co zostało w tych pracach przedstawione. Nie musimy nawet wiedzieć, jakich wydarzeń one dotyczą. Tylko później się o nich dowiedzieć. Tymczasem w klasycznym reportażu zawsze w centrum jest konkretne wydarzenie, które fotografie jedynie ilustrują.

Jednocześnie nie naśladował konkretnych obrazów. Nie udawał malarza.

W wyrafinowany sposób inspirował się malarstwem, sposobem używania barw itp. Nie aranżował zdjęć. One są wynikiem długich poszukiwań. Gdy miał dla „Vogue'a" zrobić zdjęcia w Brazylii, nie pojechał tam na dwa tygodnie, lecz został na parę miesięcy. Jakby chciał mieć czas, by oddać prawdę o miejscu, do którego przyjechał. Nie chciał być białym, wykształconym, który fotografuje to, czego zupełnie nie zna. A jednocześnie nieustanie jeździł. Był, jak głosi tytuł wystawy, zawsze w ruchu. Spenetrował parę kontynentów.

Trafił też do Polski. W 1967 r. przyjechał przy okazji wizyty Charles'a de Gaulle'a. Co sprawiło, że potem tu wracał?

Podobno był zafascynowany pejzażem, zwłaszcza wiejskim, stąd jego wyprawy poza wielkie miasta. A także polską religijnością, ale pokazywał nie tylko katolicyzm, lecz także prawosławie czy żydowskie dziedzictwo. Jednak przede wszystkim uznał, że koniecznie trzeba udokumentować karnawał Solidarności. W 1981 r. objechał całą Polskę.

Czy z jego zdjęć możemy dowiedzieć się czegoś o naszym kraju, czego nie widzimy?

Barbey pokazuje wydarzenia z perspektywy zwyczajnego człowieka. Fotografuje nie tylko ważne postaci, jak Lecha Wałęsę, lecz to, co było pomijane. Zrobił np. zdjęcie na lekcji tańca. Tu walka z systemem, a gdzieś uczą się tańczyć. Celebrują codzienność. Jego zdjęcia ukazują podskórne śledzenie życia, krwiobiegu społeczeństwa.

Nie tylko Polskę tak fotografował. W każdym z krajów, do których trafił, pokazywał anonimowe osoby, a nie jedynie tych z pierwszych stron gazet. W 1982 r. na okładce „National Geographic" o Polsce w stanie wwojennym znalazł się jego portret górnika. Jakby chciał w ten sposób powiedzieć, że zwykli ludzie także wpływają na historię, a nawet są jej fundamentem.©

DR WERONIKA KOBYLIŃSKA - adiunkt w Szkole Filmowej w Łodzi, historyczka sztuki, kuratorka wystawy „Bruno Barbey. Zawsze w ruchu".

MATERIAŁ PARTNERA

OLGA

Drenda:
Dokręcanie babci kółek

Prof. Ronald Mallett, amerykański fizyk, twierdzi, że jest na najlepszej drodze do skonstruowania maszyny czasu. To dzieło jego życia – zagadnieniem możliwości podróży w czasie zajmował się przez większość swojej kariery zawodowej. To ta fascynacja stała właściwie za jego wyborem fizyki jako drogi życiowej, a dokładniej pewna misja: Mallett ma istotny powód, by odbyć podróż w przeszłość. Konkretnie do 1955 r., by uratować ukochanego ojca, który przedwcześnie zmarł.

Oczywiście to brzmi filmowo, jak z „Doktora Who" albo „Powrotu do przyszłości". W filmowym scenariuszu, możemy dywagować, Mallett nie natrafiłby na impuls, by zostać fizykiem, skoro nie miałby kogo ocalać – i mógłby powrócić do XXI wieku jako, dajmy na to, szczęśliwy księgowy. Czy to w ogóle możliwe, do tego na poziomie innym niż najmniejsze cząsteczki, to już zupełnie inna sprawa; fizycy prowadzą zaawansowane dyskusje teoretyczne na ten temat, napotykając paradoksy, które rodzą kolejne interesujące paradoksy. Dość powiedzieć, że ruch w czasie wstecz jest uznawany za najmniej prawdopodobny. Nie mówiąc o zmianie czegokolwiek w sekwencji wydarzeń, które już miały miejsce. Przyznam, że wolę sobie o tym dokładniej poczytać, niż udawać, że umiem opowiedzieć – niewiele jest na świecie rzeczy równie pożałowania godnych, co lamer (taki jak ja), który udaje, że zna się na czymś bardzo zaawansowanym.

Ten autobus jest w wieku babci, ale raczej nie jest babcią.

OLGA DRENDA

Ale Mallett przypomniał mi się z innego powodu. Dotarła do mnie zabawa łańcuszek z pytaniem: gdybym mogła przenieść się w czasie i podzielić się jakąś aktualną wiedzą z ludźmi z przeszłości, to co by to było? Gdybologia i spekulacja, jakkolwiek irytująca swoim odklejeniem od świata realnego, niestety bywa również napędem wyobraźni naukowej, eksperymentu, projektowania (tzw. *speculative design*, dziedzina, w której wymyśla się odpowiedzi na jeszcze nieistniejące, lecz możliwe wyzwania), a także – to już dla koneserów – fantastyki. Jeśli zatem chcemy, by powstawały nowe wynalazki, musimy godzić się z próbami dokręcania wymyślonym babciom kół (od jednego z moich ulubionych powiedzień: „czy gdyby babcia miała koła, to byłaby autobusem?").

Gdy znamy się na jakieś dziedzinie wiedzy bardziej niż trochę, może to być, owszem, bardzo pożyteczne ćwiczenie. Zmusza do testowania granic aktualnej wiedzy, sprawdzania teorii, którymi dotychczas dysponujemy, i znajdowania w nich dziur do załatania. Gdy mamy jednak tylko pobieżną wiedzę, lepiej uważać, by nie popaść znienacka w żenujące piekiełko kawiarnianych dywagacji: „Czy uważasz, że udałoby ci się przekonać Europę, że nie wolno ufać niespełnionym malarzom?" albo „Czy warto poświęcić Urszulkę Kochanowską, żeby mogły powstać »Treny«? A może gdyby gość z przyszłości wręczył jej antybiotyki, doczekalibyśmy się jeszcze lepszej poetki?".

Ale pytanie o oświecenie naszych praszczurów współczesną wiedzą jest łamigłówką tyleż ciekawą, co opartą na błędzie, bo zakłada, że nasza wiedza nieustannie się rozwija. A przecież bywało tak, że ludzie z czasem nabierali ignorancji. Czasem tracili na wieki jakąś wiedzę, czasem zapominali, przestawali korzystać z czegoś potencjalnie przydatnego, a czasami wybierali, powiedzmy, gorszą drogę. Np. w średniowieczu, jak twierdził historyk Terence McLaughlin, za sprawą wizyt w łaźni bywali nie tylko bardziej domyci i higieniczni niż w wieku XVII, ale i zapewne od tego weselsi, bo kąpiel uchodziła za zajęcie towarzyskie. Czasami z zacietrzewienia i pychy ludzie zaprzeczali wiedzy, która leżała pod nosem: pierwsze szczepionki przeciwko śmiertelnej ospie przyjmowały się początkowo z oporem w Europie, gdzie medykom zdarzało się powątpiewać w skuteczność dziwnej metody przywiezionej z pogańskich krajów. Bywało, że coś na zmianę zapominano i odkrywano ponownie, jak sposoby leczenia pelagry i szkorbutu. Gdyby przenoszenie się w przeszłość kiedykolwiek stało się realnie możliwe, być może najciekawszym momentem byłoby móc zaobserwować, kiedy ktoś decyduje: tam do licha, nie będę mył tych rąk!

Tymczasem prof. Mallett ma już 78 lat i nie ustaje w pracach nad realizacją swojego marzenia. Być może dojdzie ostatecznie do wniosku, iż dekady gromadzenia wiedzy i prób były mu potrzebne do zrozumienia, że czasu odwrócić się nie da. Ale tu już i we mnie odzywa się sentymentalno-kiczowaty scenarzysta. Po prostu życzę mu spokoju ducha. ©

Tygodnik Smaków – co piątek w Twojej skrzynce przepisy na Tygodnikowy lunch, deser, obiad. Zapisz się na **powszech.net/tygodnik-smakow**

PAWEŁ

Bravo: *Kuchnia Kissingera*

Sto „brzoskwiń długowieczności" leżało wśród bogatych zdobień na bankiecie wydanym w Pekinie dla Henry'ego Kissingera latem tego roku. Zwornikiem scenografii był mostek nad sztuczną rzeczką, mniemam, znając zmyślność gospodarzy, że pijalną. Czytelny sygnał tęsknoty za epoką odprężenia, jakie misternie utkał pół wieku temu dostojny gość. Zwieńczeniem jego cichej dyplomacji była spektakularna wizyta prezydenta Nixona w 1972 r. W toaście transmitowanym na cały świat mówił wtedy: „Nie ma powodów do wrogości między nami, żadne z nas nie chce zapanować nad światem".

Taki sam gładki fałsz, jak te pastelowe brzoskwinie, będące *de facto* kulistymi pierożkami z pastą z nasion lotosu, gotowanymi na parze i zabarwionymi na różowo. Jedyne, co miało prosty związek z prawdą, to liczba sto: tyle lat miał Kissinger i gospodarze wiedzieli, że jest to raczej ostatni już hołd dla jego długowieczności. Wybrali specjalnie tę samą salę, gdzie go podejmowali, gdy był w sile wieku, przygotowali wiele tych samych potraw. Jakby chcieli siłą symboli, układu czarek z różnobarwnym ryżem, sprowadzić z powrotem tamten ład międzynarodowy, geopolityczne cyniczne szachy, okrutne dla drugorzędnych narodów, ale tym wielkim zapewniające przewidywalne ramy mnożenia bogactw. Cała reszta się nie liczy, zwłaszcza jacyś tubylcy z indochińskiej dżungli, na którą można spuścić więcej bomb niż Ameryka zrzuciła na Niemcy, albo jacyś wiecujący studenci.

W 1989 r. Kissinger wydrukował w „Washington Post" tekst potępiający sankcje uchwalone przez Kongres po masakrze na placu Tiananmen. Owszem, to było straszne, ale mieli do tego prawo – tak rozumował i kreślił ze znawstwem mapę zawiłych rozgrywek mandarynów z chińskiej partii, gdzie studenci okazywali się tylko płytkami mahjonga, które po skończonej partyjce wrzuca się do pudełka. „Chiny pozostają zbyt ważne dla bezpieczeństwa narodowego Ameryki, by ryzykować te relacje pod wpływem chwilowych emocji. Stany Zjednoczone potrzebują Chin jako potencjalnej przeciwwagi dla sowieckich aspiracji w Azji" – pisał. Ale był zbyt bystry, żeby w równaniach całkiem ignorować emocje. Uwzględniał lęk chińskich elit przed dezintegracją ledwo zebranego do kupy po stuleciu chaosu państwa, rozumiał ich paranoję na punkcie ingerencji obcych.

Przenikał z rentgenowską dokładnością niewyrażone wprost motywacje i wartości rywala. W obliczu epokowej wizyty zadbał o wychowanie swego pryncypała, znanego z grubych manier, w duchu stołowego ceremoniału. Wiedział – z raportów, ale i z własnej obserwacji – jak bardzo Chińczycy są dumni ze swojej kuchni i czuli na punkcie najdrobniejszych gestów przy stole. „Choć mieszkańcy wielu krajów uznają swoją kuchnię za najlepszą na świecie, Chińczycy mają więcej od innych podstaw do swojej dumy" – czytamy w odtajnionym dokumencie przygotowawczym. Biedny Nixon długo ćwiczył jedzenie pałeczkami, z nagrań sądzić można, iż skutecznie.

Widać na nich też, że zachowuje życzliwy uśmiech, gdy kosztuje potraw – zresztą Chińczycy nie przesadzali z dziwactwami. Była zupa z płetw rekina, kaczka z ananasem, pędy bambusa na parze. Tylko raz obiektyw uchwycił zdumienie, gdy prezydent dostał coś naprawdę specjalnego: „cztery skarby kaczki" – danie złożone z łapek, skrzydełek, języków i żołądków. Wgapieni w telewizory Amerykanie odkrywali, że chińska kuchnia to nie tylko mdły *chop-suey* czy nieszczęsne „pięć smaków". Cztery skarby się co prawda nie przyjęły, za to kraj (a wkrótce i resztę Zachodu) podbiła kaczka po pekińsku, zresztą ulubione danie Kissingera.

Mawiał: „rzeczy nielegalne robimy od razu, te niekonstytucyjne zajmują nam trochę czasu". W czasach, gdy Trump albo Kaczyński załatwiają je na rympał, problem z tym wytrawnym dyplomatą nie polega na tym, że nas po prostu brzydzi. Tylko że raz po raz musimy mu przyznawać rację. Brzydząc się nami samymi. Kaczkę po pekińsku przygotowuje się w okrutny dla ptaka sposób (trzeba ją specjalnie zabić, żeby wtłoczyć pod skórę powietrze). A i tak nie przeszkadza nam to, by ją doceniać. Kto raz spróbował, wie, że genialna. Zaiste, powód do dumy. ©℗

Amerykański imperializm trwa w najlepsze. Kompetentny w sprawach kuchni orientalnej „New York Times" bredzi, gdy chodzi o skarby innego wschodu, europejskiego. Oto skądinąd smakowity makaron z duszoną kapustą określa jako „haluski", chociaż w naszym regionie haluszkami zwie się przecież kluseczki mączno-ziemniaczane z bryndzą. Mniejsza o to. Włosi też znają ten przepis (pasta al cavolo), tyle że dają dwa rodzaje kapusty. Na trzech łyżkach masła szklimy pomalutku drobno posiekaną cebulę. Dodajemy ok. 0,5 kg kapusty (biała albo biała na pół z modrą), cieniutko poszatkowanej, dusimy pod przykryciem na średnim ogniu, podlewając odrobiną wody, przez ok. 20 minut, aż porządnie zmięknie. Przerzucamy prosto z garnka ugotowane tagliatelle jajeczne, dodajemy jeszcze łyżkę masła i trochę wody, w której się gotowały, mieszamy. Włoska wersja przewiduje obecność podsmażonego na chrupko boczku i dodatek raczej niedostępnego u nas serka stracchino, który przyczynia trochę goryczki. Można go zastąpić odrobinką bryndzy, w ramach ukłonu w stronę prawdziwych haluszek.

DREW ANGERER / GETTY IMAGES

PLECHOKRACJA

MERLIN SHELDRAKE, MYKOLOG:

Sposób, w jaki opisujemy relacje zachodzące między innymi organizmami, najwięcej mówi o nas samych.

ADAM ROBIŃSKI: Czy wie Pan, co to jest grzybstagram?
MERLIN SHELDRAKE: Nie bardzo. Ale chyba się domyślam.

Zbieranie grzybów to dla Polaków narodowe hobby, więc każdej jesieni na polskim Instagramie roi się od grzybów. Jednocześnie nasz język, inaczej niż angielski, nie odróżnia owocnika od całego organizmu, na który składa się przede wszystkim grzybnia. Jedno i drugie to po prostu grzyb. Jesteśmy grzybiarzami nie do końca chyba rozumiejąc, w czym rzecz.

W wielu językach jest podobnie. Używając angielskiego „fungi" mamy na myśli całe królestwo życia. W jego skład wchodzą miliony gatunków organizmów. Do tej pory opisaliśmy albo nazwaliśmy mniej niż 10 proc. z nich. I tylko niewielka część z tych organizmów, może 30 tys. gatunków, wytwarza owocniki, czyli angielskie „mushroom", które wiele języków również nazywa grzybami. Stosując wobec jednego i drugiego wymiennie ten sam rzeczownik, plątamy znaczenia. Równamy drobną cząstkę wielkiego organizmu, jego strukturę reprodukcyjną, do ogromnego królestwa istot, które na ogół takich struktur nie wytwarzają. *Fungi* większość swojego życia spędzają w formie grzybni, które są rozgałęzionymi, splątanymi sieciami zbudowanymi ze strzępków. Za ich pomocą m.in. się żywią.

Jak w Panu, urodzonym w mykofobicznej Wielkiej Brytanii, zrodziła się fascynacja grzybami?

Od zawsze interesowały mnie przemiany i rozkład. To, jak jedno staje się czymś innym. To się chyba zaczęło w ogródku, kiedy pomagałem tacie nosić wiadra odpadów z kuchni do kompostownika. Kilka miesięcy później zabieraliśmy z niego to, co teraz stało się glebą. Pytałem tatę, jak to możliwe, a on opowiadał mi o organizmach dekompostujących. To mi się wydało niezwykłe. Istoty, które to potrafią, muszą być potężne. I na dodatek robią to w taki sposób, że nie jesteśmy w stanie tego dostrzec. Widzimy tylko efekt końcowy.

Potem, oczywiście, zafascynowałem się owocnikami. Obserwowałem, jak rosną. Ale na poważnie zająłem się mykologią dopiero na studiach botanicznych. Wszedłem w świat grzybów mikoryzowych, które są kluczowymi symbiontami roślin.

W szkole grzyby są zwykle wrzucane do jednego worka z roślinami.

Dopiero w latach 60. XX w. królestwo grzybów wybiło się na niepodległość. Wcześniej uważano je za rośliny, i to niższego rzędu, prymitywne. To ugruntowało stronniczość, która uwidacznia się nawet dziś. Dlatego gdy w tamtych czasach ktoś chciał się zajmować biologią grzybów, szedł np. na genetykę, medycynę lub ekologię. Brakowało myślenia, które unifikowałoby te organizmy w granicach jednego królestwa.

Ja też trafiłem na studia botaniczne w Cambridge, bo to był wówczas najlepszy sposób na naukę o grzybach. A więc od lat 60. niewiele się w tej kwestii zmieniło. Dyscyplinarne uprzedzenie względem grzybów wciąż jest faktem. Możemy je nazwać kacem czasów, gdy uważano je za rośliny.

Z tym kacem wiąże się też fakt, że tak niewielu naukowców bada grzyby?

Mniej jest możliwości, profesur i grantów badawczych. To królestwo, któremu nie poświęca się uwagi należnej królestwu. Mam na myśli wiele sfer. Także medyczną. Choroby wywoływane przez grzyby są o wiele rzadziej badane niż wirusowe albo bakteryjne. Dotychczas nie opracowano ani jednej szczepionki na choroby grzybopochodne. Ale mam poczucie, że nawet gdybyśmy już w XIX w. zajęli się nimi na poważnie, i tak wiele spraw wciąż byłoby dla nas zagadką. To organizmy mocno zanurzone w swoim środowisku. Ich badanie jest bardzo trudne.

O to chciałem zapytać – można powiedzieć, że tkwiąc pod ziemią, pozostają niewidzialne.

Tymczasem żeby zrodzić badacza, potrzeba u młodego człowieka przede wszystkim fascynacji. W przypadku grzybów drogi są tylko dwie. Dłuższa, czyli związana z procesami rozkładu, tak jak to było w moim przypadku, oraz droga na skróty, poprzez zbieranie i badanie owocników. Jest jeszcze jeden problem – czasem mam wrażenie, że ludzie boją się grzybów. Właśnie dlatego, że kojarzą się im ze śmiercią i rozkładem.

Lektura Pana książki „Strzępki życia" dostarcza czytelniczkom i czytelnikom szeregu nowych metafor opisujących świat. Wood Wide Web, czyli leśny internet – strzępki splatają się z korzeniami roślin, tworząc międzygatunkową mozaikę, którą rządzi handel wymienny. Do tej pory o świecie przyrody myśleliśmy raczej w kategoriach konkurencji i rywalizacji. Współczesne nauki przyrodnicze proponują nowe spojrzenie.

Rzeczywiście. Ale z metaforami trzeba uważać. Są przydatne, jednak tylko dopóty, dopóki pamiętamy, że to wyłącznie metafory. W przeciwnym razie prowadzą nas do zguby. Owo splątanie grzybów i roślin w sieci mikoryzowe bywa opisywane w sposób utopijny, jako przestrzeń wzajemnej troski i dzielenia się. Tymczasem gdy rośliny wiążą się z grzybami mikoryzowymi, zachodzą pomiędzy nimi różne procesy, których nie da się opisać takim uproszczeniem. Leśny internet to bardzo ograniczona metafora. Grzyby są tak zróżnicowanym królestwem, że wrzucając wszystkie do jednego wora wyrządzamy im krzywdę.

Przychodzi mi na myśl „Sekretne życie drzew" Petera Wohllebena sprzed paru lat. To właśnie Niemiec rozsławił leśny internet wśród szerokiej publiczności. Pisał o lesie jak o krainie sprawiedliwości i szczęśliwości.

Brakuje w tym niuansów. Od XIX w. przetoczyło się wiele dyskusji na temat relacji symbiotycznych. Kiedy przyjrzymy się ↦

MERLIN SHELDRAKE to brytyjski mykolog z tytułem doktora ekologii tropikalnej, który uzyskał na Uniwersytecie Cambridge. Nakładem wydawnictwa Insignis ukazała się jego książka „Strzępki życia". W przyszłym roku kina pokażą film poświęcony jego pracy nad grzybami „Fungi: Web of Life", którego narratorką jest Björk. Po godzinach warzy, kisi, fermentuje, gra na akordeonie i pianinie.

Na zdjęciu z książką, na której wyhodował boczniaki.

ARCHIWUM PRYWATNE

↦ historii ich badań, zobaczymy masę porównań i metafor. Swego czasu pisano, że to relacja pana i niewolnika. Że rośliny i grzyby są jak mężczyźni i kobiety. Że ich związki przypominają relacje pomiędzy narodami. Z czasem staje się jasne, że symbioza jest soczewką, w której skupiają się wartości społeczne danej epoki. Metafory mniej nam mówią o grzybach, za to więcej o ludziach, którzy zdawali sprawozdania na ich temat. Historia badań natury to nieustanne poszukiwanie ludzkich narracji na jej temat.

Ekologia to nauka o relacjach. Pisze Pan, że grzyby są fizyczną materializacją tych relacji. Jeszcze jedna metafora: rośliny to routery, a grzyby są kablami, które je łączą.

Rzeczywiście myślę o nich jako o ucieleśnieniu podstawowej zasady ekologii, jaką są relacje między organizmami. Sprawiają wrażenie pasywnych kanałów przekazu informacji i jako takie wpisują się w opartą na ludzkim doświadczeniu technologicznym metaforę leśnego internetu. Ale wcale takie nie są. Daleko im do pasywności. To są organizmy, które żyją własnym życiem. Posiadają własne interesy ewolucyjne.

No dobrze, to jak się te kable bada?

Jednym ze sposobów, który praktykuję z zespołem na Wolnym Uniwersytecie w Amsterdamie, jest patrzenie na sieci mikoryzowe na szalkach Petriego. W laboratorium, pod mikroskopem. Obserwujemy przepływ substancji w granicach tych sieci. Czyli najpierw analizujemy jej strukturę, która przypomina trochę mapę komunikacji publicznej Londynu. Potem patrzymy, co się w niej dzieje. Gdyby to rzeczywiście było metro: gdzie są wszystkie pociągi, z jaką prędkością się poruszają, skąd i dokąd jadą? Żeby zrozumieć życie tych organizmów, musimy poznać jedno i drugie – budowę sieci oraz to, co w nich zachodzi. W laboratorium to wychodzi sprawnie. Co innego w terenie.

Pisze Pan: „Biolodzy terenowi rzadko mają kontrolę. Sami znajdują się wewnątrz naczynia, którym jest świat".

Gleba nie jest przezroczysta, a kiedy pobierasz jej próbki, wyciągasz korzeń i siłą rzeczy uszkadzasz dokładnie tę sieć, którą próbujesz zbadać! Poza tym nie masz większego wpływu na to, co się dzieje dookoła. A w terenie nie da się robić tego, co udaje nam się w laboratorium. Robimy więc wtedy inne rzeczy. Możemy pobrać próbki DNA. Albo wyodrębnić DNA z gleby, aby spróbować ustalić, kto tam mieszka. Jaka społeczność grzybów zajmuje w tej chwili tę przestrzeń? A jeśli uda ci się pobrać wspomniane próbki przy różnych gradientach, czyli rozkładach parametrów fizyczno-chemicznych, będziesz mógł wyciągnąć wnioski na temat zachowań grzybów. Sposób badania grzybni w dużej mierze zależy więc od pytań, które stawiasz, i miejsca, w jakim to robisz.

Zdarza się Panu antropomorfizować grzyby?

Owszem. Bo gdy za wszelką cenę tego unikamy, nawet nie zauważamy, że zaczynamy opisywać inne organizmy, jakby były maszynami, automatami ograniczonymi robotyczną rutyną, która ma za zadanie jedynie zwiększyć ich szansę przetrwania. I wtedy lądujemy w ślepej uliczce – w tle tej opowieści również znajdują się ludzie, przecież to oni są konstruktorami maszyn. Wychodzi nam z tego jakiś dziwny kryptoantropomorfizm! Mogę to ująć jeszcze inaczej: żeby unikać porównywania innych organizmów do ludzi, musielibyśmy najpierw ustalić sztywne ramy człowieczeństwa.

Co ma Pan na myśli?

Możemy np. powiedzieć, że ludzie to jedyne organizmy, które przejawiają uczucia. Albo emocje. Więc opisywanie emocji u innych zwierząt będzie ich antropomorfizacją. Ale wtedy mogą pojawić się głosy, że przecież inne organizmy też przejawiają uczucia czy emocje, tylko na swój, inny od naszego sposób. W tym znaczeniu po prostu rozszerzymy albo pogłębimy koncept emocji i uczuć oraz zastosujemy go do tego organizmu. No więc ja też uważam, że nie tylko ludzie znają emocje.

No to w jaki sposób porównać grzyba do człowieka?

To rodzaj zabawy. Czasami ważne jest, żeby spróbować zrozumieć życie z perspektywy innego organizmu. Oczywiście nie wiem, jak to jest być grzybem. Jak to jest nie mieć głowy, serca ani mózgu jako centrum operacji. Jak to jest smakować całym ciałem. Różni nas niemal wszystko. Ale my, ludzie, mamy wyobraźnię, więc mogę spróbować to sobie wyobrazić, oczywiście na podstawie naukowej wiedzy, którą mam.

Pisze Pan o grzybach, że za sprawą relacji, w które wchodzą, są zaprzeczeniem konceptu indywidualności. Porost, który uważamy za jeden organizm, jest tak naprawdę związkiem paru innych. Tymczasem ja to ja – wszystko inne to już nie ja.

Ale przecież składa się pan z masy komórek, które umierają i rodzą się na nowo.

To, z czego zbudowane jest pana ciało, nie jest tym samym, czym było pięć lat temu. Poza tym ma pan w sobie więcej komórek bakterii niż ludzkich. Bez owych społeczności bakterii, które w panu żyją, nie byłby pan w stanie robić rzeczy, które pan robi, i zachowywać się tak, jak się pan zachowuje. Traktując samych siebie jako niepodzielne jednostki, zaprzeczamy istnieniu procesów i związków, dzięki którym w ogóle istniejemy.

Teraz mnie Pan fungomorfizuje.

Wiele się uczę, obserwując inne organizmy. Od grzybów choćby tego, że nie da się żyć w odseparowaniu od innych bytów. To właśnie demonstruje nam królestwo *fungi*. Ale to nie wszystko. Możemy się uczyć również otwartości, bo większość sieci grzybni nie ma płaszczyzny ciała. One nigdy nie będą w pełni wyrośnięte, w takim sensie jak my, gdy osiągamy kres swojego wzrostu. Nasze ciało jest zamkniętą całością. To nam może uświadomić, że wszystkie formy życia są procesami, które odsłaniają się wraz z upływającym czasem. Mogę wymieniać dalej...

Proszę.

Patrząc na grzyby możemy myśleć o naszych dysfunkcyjnych systemach zarządzania odpadami. Bo w przyrodzie nie ma czegoś takiego jak odpady. Jest tylko przemiana. Możemy uczyć się od grzybów tego, w jaki sposób doprowadzają do rozkładu martwe ciała innych organizmów i przekształcają je w materiał biologiczny, z którego budowane jest nowe życie. Nasza go-

Patrząc na grzyby możemy myśleć o naszych dysfunkcyjnych systemach zarządzania odpadami. Bo w przyrodzie nie ma czegoś takiego jak odpady. **Jest tylko przemiana.**

AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN

Hełmówka jadowita (Galerina marginata)

spodarka odpadami mogłaby funkcjonować podobnie, a więc w sposób cykliczny.

Sprawia Pan wrażenie badacza, który jedną nogą stoi na gruncie twardej nauki, a drugą szuka innych podpór. Czym jest „radykalna mykologia"?

Na pewno nie jest niczym wywrotowym. Mykologia sprofesjonalizowała się dopiero w XIX w., ale to nie znaczy, że nikt się nią wcześniej nie zajmował. Robili to amatorzy, pasjonaci. Badali grzyby i przeprowadzali eksperymenty, nie mając formalnego zaplecza akademickiego.

Tak samo jest dziś. Istnieje duża grupa tzw. naukowców obywatelskich, którzy poszerzają naszą wiedzę na temat grzybów. Stawiają pytania, których nie możesz zadać, jeśli masz za sobą poważną instytucję naukową. Jeśli ograniczają cię granty albo presja wyników. Albo uprzedzenia kolegów po fachu. To, co nazywam radykalną mykologią, jest przestrzenią do prowadzenia mniej zobowiązujących wywodów naukowych. To naprawdę ekscytujące rzeczy.

Jak eksperymenty z psylocybiną?

Akurat nad nią prowadzi się dziś całą masę oficjalnych badań akademickich. To naukowy *mainstream*. Trudno zatem powiedzieć, by mniej oficjalne badania nad magicznymi grzybkami były działalnością wywrotową. Owszem, tam, gdzie jest to nielegalne, taka działalność będzie wywrotowa względem prawa. Ale w sensie intelektualnym na pewno nie.

Pan też z nią eksperymentował.

W czasach, gdy w Wielkiej Brytanii było to legalne. Robiłem to z ciekawości, bardzo mi się to podobało, więc powtarzałem te eksperymenty. Prowadziły mnie do stanów świadomości, w których wpadałem na zaskakujące pomysły. To były bardzo owocne badania.

Czy doprowadziły Pana do odpowiedzi na jedno ze stawianych w książce pytań: do czego służyły grzybom substancje psychoaktywne, zanim na Ziemi pojawili się ludzie?

Nie ma na nie dobrej odpowiedzi. Jest wiele hipotez. Jedna z nich mówi, że te substancje nie były grzybom do niczego potrzebne, a i tak je produkowały. Pojawienie się ludzi zmieniło stan rzeczy. Dziś możemy już uznać, że to nieprawdziwa hipoteza. Skoro cały zbiór genów odpowiedzialnych za wytwarzanie psylocybiny przemieszcza się poziomo pomiędzy liniami ewolucyjnymi grzybów, i to w sposób nienaruszony, to sugeruje nam, że miało to pewną wartość adaptacyjną dla grzyba, który wyprodukował je jako pierwszy. W przeciwnym razie zniknęłyby podczas transportu między liniami.

Pytanie brzmi: jaka jest ta wartość adaptacyjna, biorąc pod uwagę, że pierwsze magiczne grzyby pojawiły się prawdopodobnie 65 mln lat temu, na długo przed ludźmi? Niektórzy uważają, że chodziło o wpływanie na układy nerwowe innych zwierząt, choćby owadów. Co chciały im w ten sposób zrobić? Może chodziło o odstraszanie. Albo wręcz przeciwnie, o nakłonienie do ich spożywania. To też może być prawdą, tylko że mamy moc przykładów, w których psylocybina nic tym owadom nie robi. Niektóre więc mogły się na nią uodpornić, a inne nie. Jesteśmy w miejscu, w którym najłatwiej jest nam sugerować, że psylocybina ma związek z owadami.

W ostatnich akapitach książki pisze Pan, że zostanie ona zjedzona. Widziałem filmik – na jednym z egzemplarzy wyhodował Pan boczniaki, a potem je usmażył. A co z drugą obietnicą – czy udało się Panu wypić nawarzone z książki piwo?

Żeby to zrobić, trzeba najpierw usunąć kartki, zamienić w miazgę, a potem rozłożyć zawartą w niej celulozę na cukry, które następnie się sfermentuje. To wszystko jest dość trudne. Próbowałem to zrobić za pomocą enzymu zwanego celulazą, innym razem przy zastosowaniu grzyba, który potrafi zarówno zamienić celulozę na cukier, jak i przeprowadzić fermentację. Staram się zoptymalizować proces, pracuję nad nim, ale na razie bez sukcesu. Nie wypiłem jeszcze tego piwa.

© Rozmawiał ADAM ROBIŃSKI

Merlin Sheldrake
STRZĘPKI ŻYCIA,
przeł. Urszula Gardner,
Wydawnictwo Insignis 2023

STANISŁAW

Mancewicz: *Na żywo*

Od dawna wołamy, by częściej, najczęściej jak się da, zadawać w Polsce pytanie: „po co?”. Przypomnijmy tu w dwu słowach naszą znakomitą opinię: nikt w kraju naszym tego pytania nie zadaje. Jeżeli już jakimś cudnym przypadkiem ono pada – nie słyszymy, by ktoś się wysilał i szukał na nie odpowiedzi. Dodajmy: prawdziwej, bo oczywiście odpowiedzi kłamliwych jest niemało. Ogólnie rzecz biorąc, zauważyliśmy, że życie w nieprawdzie jest w Polsce nader chętnie praktykowane, mimo rytualnych przestróg zarówno osób świeckich i duchownych, mądrych i mniej mądrych.

No więc uważamy – odkrywczo, trzeba przyznać – że udzielanie kłamliwych odpowiedzi na pytanie „po co?” jest niepoważne, choć kłamią w żywe oczy ludzie na najwyższych stanowiskach państwowych. Tu przychodzi nam do głowy kolejna uwaga, godna – każdy to przyzna – jakiegoś akademickiego wyróżnienia: oto poważne stanowiska obejmują w Polsce ludzie całkowicie niepoważni. To niemal zasada. Ostatnie osiem lat nadały szalonego tempa tej praktyce. Wręcz można powiedzieć o jakimś szokującym wyścigu, już nie tylko „im głupiej, tym lepiej”, ale „im ktoś nie poważniejszy, tym poważniejsze zadania do wykonania dostaje”. Co rusz człowiek się łapie na spostrzeżeniu, że w kwestiach najistotniejszych i najpoważniejszych wypowiada się klaun. Gdyby sąd kazał nam teraz wymienić jakieś nazwisko, nie musielibyśmy sięgać do żadnych notatek, nazwiska klaunów znamy na wyrywki, wryły się bowiem w naszą pamięć na stałe. Budzi to – rzec trzeba – zaniepokojenie. Zobaczymy, oczywiście, co będzie za chwilę, bowiem słyszymy, że ma nastąpić naprawa i odnowa. Na razie – popatrzmy – trwa przydługi antrakt i jest on dla wielu śmieszniejszy niż przedstawienie, na które nas zaproszono.

Niestety, nie możemy sobie pozwolić na luksus śmiania się, bowiem okoliczności skłaniają po prostu do płaczu. Ktoś z uśmiechem zapyta, co nas znowu tak martwi. Otóż martwi nas brak zdrowej i poważnej reakcji na powstanie tzw. rządu M. Morawieckiego, a generalnie brak pytania, po co ten rząd powstał. Ktoś teraz powie, że chyba mamy kłopoty ze słuchem, bowiem to pytanie akurat padło. Padły także odpowiedzi. Oto powiada się powszechnie, a na nikim nie robi to najmniejszego nawet wrażenia ani nikt temu nie przeczy, włącznie z ministrami owego marionetkowego ciała – że obecny rząd M. Morawieckiego to po prostu skok. Że to rabunek publicznych pieniędzy w biały dzień, że to czas moszczenia się na posadach w obawie przed chudymi latami, że to ułatwianie jakichś ciemnych machinacji, że to wreszcie działanie na złość – i tak dalej, w tym guście. Nie ma bowiem ani jednego dobrego powodu, dla którego rząd ten powstał i dla którego istnieje.

Ale że się o tym mówi, nie załatwia przecież sprawy. Otóż stawiamy tezę taką, że Polska osiągnęła mistrzostwo świata w niemoralnej pomysłowości, że owa skłonność do kombinowania spuściła nas na dno, spod którego już naprawdę nikt nie puka. Nie przypominany sobie nazwy żadnego innego państwa, w którym by powoływano rząd z takich intencji i w takich zamiarach. Bo nie ma takiego.

Warto może rzec jeszcze kilka słów o pomysłowości w tym gatunku. Nikt nie może mieć wątpliwości, ktokolwiek cokolwiek na temat moralności w życiu przeczytał, że powołanie obecnego rządu M. Morawieckiego i zatrudnienie się w nim zapisze się na trwałe w historii Polski jako objaw najgłębszego zepsucia, braku jakichkolwiek zasad i szacunku dla własnego państwa i obywateli. Brzmi to, każdy przyzna, poważnie, bądź może za poważnie, ale tak po prostu jest. Niestety, wszystko to przyjmowane jest z uśmiechem, z pobłażliwością, żartobliwie, ale, co może najważniejsze i najgorsze, ze zrozumieniem. Owo zrozumienie robi na nas największe wrażenie. Jak nam się wydaje, z podobnym zrozumieniem ogół przyjmował nowinki w obyczajowości politycznej i moralności w ogóle w czasach saskich. Dla ułatwienia podpowiemy, że był to okres generalnego upadku.

Ktoś może być dziś rozczarowany. Ale prosimy o zrozumienie właśnie, że sobie tu wszystko sumujemy, patrząc i słuchając, rozglądając się wokół i notując na żywo. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

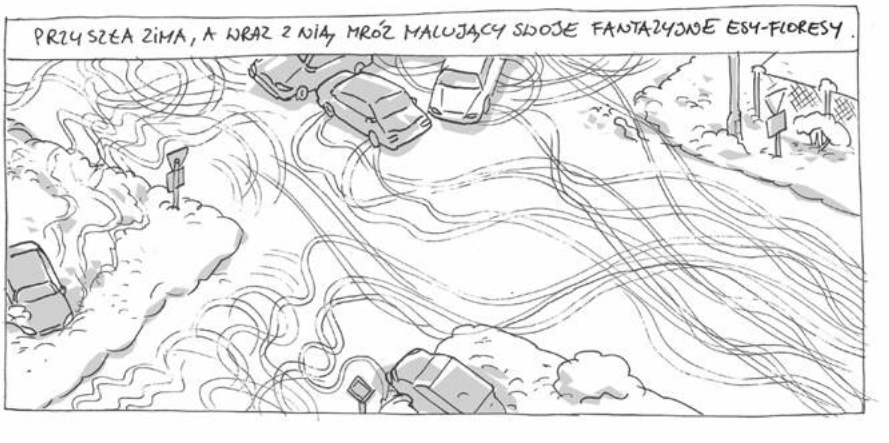

REKLAMA

XXVII EDYCJA KONKURSU

Grand Press 2023

GALA OGŁOSZENIA WYNIKÓW 11 GRUDNIA, TRANSMISJA NA ŻYWO W TVN24 O GODZ. 20:25

Grand Press

w kategoriach tematycznych

Dziennikarz Roku

NAGRODY SPECJALNE:

- **Grand Press Digital and Technology**
- **Grand Press Economy**
- **Nagroda im. B. Tomaszewskiego**
- **Książka Reporterska Roku**

ORGANIZATOR KONKURSU

GRAND PRESS FOUND.

PARTNERZY KONKURSU

GRUPA LUXMED, KRUK, zaks sprzyjamy wyobraźni, REPROPOL DZIENNIKARZE I WYDAWCY

PARTNER NAGRODY GRAND PRESS DIGITAL & TECHNOLOGY

asseco

PARTNER NAGRODY GRAND PRESS ECONOMY ORAZ NAGRODY IM B. TOMASZEWSKIEGO

BNP PARIBAS

PARTNER NAGRODY KSIĄŻKA REPORTERSKA ROKU

Wrocław miasto spotkań

PARTNERZY GALI

TEATR POLSKI IM. ARNOLDA SZYFMANA W WARSZAWIE, BAT POLAND, GPW DAI, PILOCI STUDIO, COCOSOUND, F25.

REKLAMA

Włącz Święta
z RMF Classic
20 LAT
RMF CLASSIC
Od 1 grudnia gramy
tylko świąteczne przeboje